

Dominika Bel

Wiśniowy jogurt

Replika 2012

Osoby z rodziny oraz najbliższego otoczenia Płoninów, które spotka Czytelnik na początku książki:

Profesor Sylwester Płonin - profesor socjologii, ginie w zamachu bombowym w dniu sześćdziesiątych urodzin.

Magdalena Płonin - córka profesora, przyjechała z Niemiec. Wcale nie ma takiej znowu dużej nadwagi.

Mikołaj Płonin - syn Profesora, znikąd nie przyjechał, nigdzie się nie wybiera. Bywa nerwowy.

Irmina Dobrzyńska - siostra profesora, elegancka oaza spokoju. Na pewno przecież nie zaatakowałaby nikogo wieszakiem na ubrania.

Teresa Chociej - szwagierka Irminy, siostra jej zmarłego męża. Osobiście jest zdania, że...

Adrianna Chociej - córka Teresy Chociej. Przebywanie z rodziną Płoninów jest dla niej szkołą przetrwania.

Luiza Drogosz - płomiennowłosa sąsiadka profesora. Bywa zaskoczona miejscem przebywania kubka po jogurcie.

Robert Gondor - siostrzeniec żony profesora. Nieladnie jest nazywać go bałkańskim draniem.

Karina Wińska - znajoma profesora (poprzez byłego męża). Oczywiście, że już w ogóle nie myśli o swoim eks.

O godzinie szóstej dziesięć w niedzielę rano, w samochodzie przed swoim domem zginął w zamachu bombowym profesor Sylwester Płonin.

Wybuch zniszczył również zaparkowany obok motor i część ogrodzenia willi, w której po południu miało się odbyć przyjęcie w związku z sześćdziesiątymi urodzinami profesora.

Policję wezwała mieszkanka sąsiedniej posesji Luiza Drogosz i zaraz potem zbiegła na dół, ściskając w ręce apteczkę. To, co ujrzała, nie tylko uświadomiło jej, że już nikt nie potrzebuje pomocy, ale także odebrało chęć do wszystkiego, z oddychaniem włącznie.

Gdy po kilku minutach pojawił się radiowóz, policjanci zobaczyli jakby migawki z centrum Bagdadu, ale obok szczątków samochodu-pułapki, na krawężniku, siedziała całkiem europejska, rudowłosa kobieta otulona w czarny skórzany płaszcz.

- Ja akurat żyję i dzwoniłam do was - wykrztusiła, podciągając kolana, by nie potknęto się o jej nogi w za dużych czerwonych drewniakach.

- Czy pani jest ranna? - spytała policjantka. - Lekarz już tu idzie.

Kobieta potrząsnęła głową. Płomienne, kręcone włosy załśniły złotem w porannym lipcowym słońcu, dziwnie kontrastując z czernią płaszcza.

- Więc niech nie idzie. - Powoli, z wysiłkiem podniosła się z chodnika. - Nic mi nie jest, bo huk usłyszałam z domu. - Ruchem podbródka wskazała dawno nieodnawianą przedwojenną willę. - Jeśli chcecie wiedzieć, było dziesięć po szóstej.

- Tak dokładnie pani natychmiast sprawdziła? - zainteresował się policjant.

Rzuciła mu bardzo nieprzychylnie spojrzenie.

- Chciałam zaparzyć kawę i właśnie patrzyłam na zegar w kuchni, gdy to się stało. Było jak trzęsienie ziemi. Kiedy stwierdziłam, że koło mnie wszystko w porządku, wyjrzałam przez okno i potem już automatycznie wybiegłam.

- W domu pani chodzi tak ubrana? - kontynuował.

Uniosła brwi.

- Oczywiście, że nie.

Płynnym ruchem odchyliła poły skórzanego płaszcza ukazując rozciągnięty, bawełniany T-shirt w kolorowe misie i parasolki. Kończył się on znacznie wyżej, niż w połowie jej smukłych ud, a zaczynał dekoltem żywo przypominającym osiemnastowieczne portrety.

- Bardzo słusznie. Upały mamy nie do wytrzymania - stwierdziła jasnowłosa dziewczyna w mundurze. - Czy willa profesora jest pusta? - zmieniła temat.

- Chyba nie. - Luiza włożyła ręce w kieszenie. - Taki jeden tam jeszcze został. - Wzruszyła ramionami i oddaliła się, głośno stukając po chodniku krwistoczerwonymi drewniakami.

W istocie. U szczytu schodów prowadzących na piętro rzeczywiście ktoś siedział. Skulony młody człowiek w plażowych spodenkach i fioletowym podkoszulku ukrył głowę w ramionach. Na

wołanie policjantów wyprostował się i zaprezentował obecnym starannie wykonanego przez fryzjera kolorowego irokeza.

- Jestem Przemek Rosiński - powiedział drżącym, zachrypniętym głosem. - Nie mieszkam tutaj.

- To co pan robi... - zaczął pytać policjant, ale nie dokończył, bo nagle świeże lipcowe powietrze rozdarł naprawdę przeraźliwy krzyk.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Luizy Drogosz, która stała jak wryta przed ogrodzeniem swojej posesji i wydawała z siebie przeciągły, mrozący krew w żyłach dźwięk.

- A jednak trzeba lekarza - stwierdził podkomisarz. - Co się stało? - zawołał, biegnąc w jej kierunku.

Zamilkła. Drżącą ręką wskazała żywopłot, jakby w nim czaiło się coś przerażającego. Miała trochę racji.

Wśród gałęzi dzikiego wina, oparty o ogrodzenie, siedział jakiś człowiek. Nie ruszał się. Jego twarz zasłaniały zmierzwiłone włosy nieokreślonego koloru i taki sam zarost. Spod liści wyglądało nie bardzo zachęcające ubranie i jeszcze gorsze buty.

Luiza zakryła twarz rękami.

- On żyje - uspokoił ją policjant. - Czy to pani znajomy? - zapytał grzecznie.

Nerwowo wzruszyła ramionami.

- Raczej pana - syknęła.

- Możliwe - uniósł brwi - a jeśli nie, to zaraz się poznamy.

- Rozmawiałam z tym Przemkiem - podeszła jego koleżanka. - To doktorant profesora, nocował tu, obudził go wybuch. To jego harley stał obok samochodu. Niestety. Chłopak przyjdzie złożyć zeznania.

- Bardzo dobrze. Natomiast tego przyjaciela - wskazał na mieszkańca żywopłotu - zabierzemy ze sobą. - Luiza skinęła głową z wyraźną aprobatą. - Poproszę pana dokumenty.

Brodacz naprawdę był żywy, bo nieoczekiwanie zareagował uśmiechem. I niczym więcej.

- Nie mam.

- To znaczy?

- Chyba zginęły.

- Aha. Gdzie pan mieszka i czym się zajmuje?

Uniósł brwi w filozoficznym zastanowieniu i wzruszył ramionami.

- Przy Zielarskiej. Blisko Wisły.

- Znam. Ogródki działkowe - domyślił się policjant.

- Kiedy pan ostatnio pracował?

- Przedwczoraj. Na budowie - stwierdził z nutką dumy.

Luiza miała nieprzyjemne wrażenie, że cały czas jest przez niego obserwowana. Teraz nie spuszczał oczu z jej dekoltu, który objawił się światu w rozchylonym z emocji płaszczu.

- Dlaczego pan siedział pod moim domem? - zapytała. ostro, zbierając poły skórzanego okrycia.

W odpowiedzi otrzymała westchnienie, jakby temat nastroczał zbyt wiele trudności.

Podkomisarz zaprosił go energicznym gestem.

- Zaraz wszystko się wyjaśni. Jedziemy.

Nieznajomy powoli wstał i spokojnie przeciągnął się.

- Żaden problem - stwierdził. - Jestem towarzyski.

Był wysoki, silnie zbudowany i nie wyglądał na zagłodzonego. Rozejrzał się dookoła i zatrzymał wzrok na młodej dziewczynie w mundurze.

Zmarszczyła brwi.

- My się już gdzieś spotkaliśmy, prawda?

Nie zaprzeczył i szybko, bez cienia protestu, wsiadł do policyjnego samochodu.

Luiza Drogosz na znak dezaprobaty potrząsnęła bujnymi, opadającymi na ramiona włosami i, otulona płaszczem, bezpiecznie pokonała mocno zdewastowane schody swojego domu. Przed wejściem do środka odwróciła się i oparła o drzwi. Patrzyła w zamyśleniu na to, co zostało z samochodu. Jej twarz, o jasnej cerze i mocno zarysowanych kościach policzkowych, nie zdradzała żadnych emocji.

Wokół pracującej ekipy, mimo alarmującego zajścia, panowała niemalże pustka. Willa profesora położona u zbiegu dwóch ulic, otoczona była dużym trawnikiem z drzewami iglastymi i z drugiej strony sąsiadowała z nowym, jeszcze niewykończonym podwójnym segmentem. Naprzeciw znajdowało się zamknięte biuro spółdzielni. Obok - działka, czekająca na nowego właściciela. O tej wczesnej porze, w lipcową niedzielę, towarzystwo ekipy stanowiło tylko dwoje emerytów idących w kierunku dość odległego kościoła i bury kot, który zaraz zniknął za rogiem.

W oknie willi profesora Płonina zafalowała firanka. Luiza skrzywiła się odruchowo. W kieszeni jej skórzanego płaszcza brzęknął krótki sygnał SMS-a, przypominając, że przecież ma obowiązek wysłać parę wiadomości o tym, co się stało.

A teraz? Jasne. Można się było domyśleć: *Mnóstwo szczęścia z okazji czterdziestych urodzin Życzy babcia.*

Co oznacza „mnóstwo szczęścia”? Może na przykład życie takie jak Sylwestra Płonina? Same sukcesy, wszystko zdobyte uczciwą drogą, a słowo „pech” wykreślone ze słownika? Aż do dzisiaj.

Luiza wzniosła oczy ku bezchmurnemu niebu.

- Ja poprosiłabym, jeśli można, odrobinę szczęścia. Nie musi być dużo - westchnęła, naciskając obłuzowaną klamkę. - Prawdę mówiąc, wystarczy mi byle co.

*

Magdalena Płonin, córka profesora, nie śpiesząc się dopijała filiżankę naprawdę dobrej kawy. Może powinna była wcześniej zrobić sobie taki relaks, ale kiedy wyjeżdżała o świcie, nie chciała tracić czasu, tylko po prostu dotrzeć do celu. Zazwyczaj, kiedy coś zaczęła, nie zajmowała się już niczym poza realizacją swojego planu i właściwie w tym bardzo przypominała ojca, ale chyba tylko w tym.

Podróż zaczęła wczoraj wieczorem, nie mogła odwołać ani przełożyć popołudniowych zajęć. Jechało jej się dobrze. Po kilkugodzinnej przerwie na sen i symbolicznym śniadaniu niedaleko granicy, rozpoczęła rankiem końcowy etap drogi na urodziny ojca.

Taras kawiarni w motelu, który wybrała na przystanek, był o tej porze oczywiście pusty. Wygodnie położyła nogi na sąsiednim krześle, z przyjemnością patrząc na opalone, kształtne, choć na pewno nie szczupłe łydki. Lubiła swoje ciało. Mimo pewnej nadwagi i zdarzających się czasem problemów z dobraniem dzinsów.

Chyba nie musi mieć figury modelki, żeby sprawić sobie dobry krem albo perfumy. A w ogóle, założyła na nie własną, rzetelną pracę. Ma doktorat, jako językoznawca sprawdza się w zawodzie i w Niemczech jest im z Markiem pod każdym względem lepiej niż w tutaj.

Zostanie tylko dwa dni. Nie więcej.

Odezwał się dzwonek komórki. To Mikołaj.

- Czego chcesz? - nie traciła czasu na powitania.

- Obudziłem cię?

- Nie, kretynie. Dojeżdżam do Warszawy.

- Racja. - Nastąpiła chwila dziwnej ciszy. - Słuchaj, siostra, muszę ci coś powiedzieć.

Prowadzisz?

- Teraz kończę kawę. O co ci chodzi?

- No to mówię. - Słysząc było, jak bierze głęboki oddech. - Ojciec nie żyje.

- Co? - krzyknęła. - Zwariowałeś?

Po chwili siedziała nieruchomo, ściskając w dłoni telefon, ledwie rozumiejąc, co się stało. Tylko z oczu kapąły jej łzy.

*

Karinę obudziło ćwierknięcie komórki. Półprzytomna sięgnęła ręką, by odebrać wiadomość. Nieskutecznie, ponieważ telefon złośliwie spadł z stolika. Na szczęście na dywan, jednak, żeby go podnieść, musiała odbyć spacer na kolanach z sięganiem pod szafę. Poranny koszmar, ale wiedziała, że to SMS od Bartosza. Ściskając w dłoni czarne, gładkie pudełko ułożyła się z powrotem na łóżku, opierając długie, smukłe nogi o zwiniętą kołdrę.

Chciała spokojnie przeczytać, co miał jej do powiedzenia w niedzielę rano. Wiedziała, niestety, że będzie przeżywać, a nawet analizować każde słowo.

Zamrugła oczami. Nie, niemożliwe. To nie Bartosz, lecz Luiza, sąsiadka profesora Płonina, z którą ostatnio trochę się zaprzyjaźniła.

Poczuła chłód, mimo ciepłego poranka. Oczywiście niepotrzebnie się nastawiała. Ale przecież wczoraj dzwonił, żeby jeszcze raz przypomnieć, że nie będzie na przyjęciu i jak bardzo tego żałuje.

Właściwie, dlaczego odbiera jego telefony? Ma żyć własnym życiem i zapomnieć o tym człowieku. Wie aż za dobrze, że nie jest wart ani jednej jej myśli. Dlaczego nie może być silna i stanowcza, przynajmniej wobec samej siebie?

Spróbuj od dzisiaj. Dobry moment, bo po południu będzie na urodzinach u profesora. W jego otoczeniu nie można czuć się źle.

Luiza jest mądrą, sympatyczną kobietą. To, co napisała, na pewno pomoże dobrze zacząć dzień. Karina wcisnęła guzik odczytu.

Nie wiedziała, czy do końca zrozumiała treść, czuła tylko, że płyną jej łzy.

Nie umiałaby powiedzieć jak długo płakała. Z twarzą wtuloną w poduszkę wylewała z siebie cały żal do świata. O niesprawiedliwość, o to, że jest sama, chociaż niczym nie zawiniła, a teraz nagle zginął najlepszy człowiek, jakiego знаła.

Po tym na krótko zasnęła.

Obudził ją hałas psów wyprowadzanych na spacer. Już uspokojona, powlokła się do łazienki. W lustrze zobaczyła to, czego mogła się spodziewać. Masakra. Ale jakie znaczenie ma jej wygląd? Kiedyś się podobała i co z tego? Mniej, niż zero. Klęska życiowa, która dotknęła nie ją pierwszą na świecie. Bo oczywiście, ważna jest nie tylko uroda, ale bogata osobowość, której ona przecież najwyraźniej nie ma.

Automatycznie umyła twarz zimną wodą i wzięła prysznic. Śniadanie? Nie, raczej zadzwoni do Luizy.

Sąsiadka profesora odebrała telefon błyskawicznie. Mówiła, jak na nią, bardzo nerwowo.

- Rano było całkiem pusto, teraz naleźli gapie. Więc ogrodzili to wszystko taśmą, kręcą się mundurowi i niemundurowi. Powietrze stoi, czuć wredny zapach, jakieś kawałki czegoś doleciały aż tutaj. Dom wariatów.

- Jak to się stało?

- Zwyczajnie, moja droga. W swojej stałej porze na joggingu wsiadł do samochodu, a w nim czekała na niego bomba. Tak po prostu. Wyobrażasz sobie?

- Nie - odpowiedziała szczerze Karina. - Co ty teraz robisz?

- Gryzę słone paluszki. Z nerwów. Bo jeszcze, jakby było mało, przyszedł do mnie kloszard.

- Do ciebie?

- Do mojego płotu. Siedział w dzikim winie. Nie wiem, od kiedy.

- Akurat wtedy, kiedy bomba?

- Nie mam pojęcia. Zabrała go policja, ale może w każdej chwili wrócić. Mieszka na ogródkach działkowych na Zielarskiej, a przyszedł wypoczywać w moim ogrodzeniu - westchnęła zmęczona. - Tkwę na górze. Przyjedź do mnie.

- Dobrze. Aha, Luiza, czy Bartosz wie?
Chwila ciszy.
- Jak długo jesteś z nim po rozwodzie?
- Pół roku.
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia osiem.
- Bardzo dobrze. Ile lat on jest starszy od ciebie?
- Piętnaście.
- No widzisz, jak ładnie odpowiadasz. Więc wyciągnij wnioski i przestań się zastanawiać, co on wie, a czego nie wie.

*

- Nie, nie mogę na to patrzeć.
Irminda Dobrzyńska, siostra profesora, z chusteczką w dłoni odwróciła się od okna. Jego syn, Mikołaj, otaczając ciotkę ramieniem, zaprowadził do fotela w drugim końcu salonu.
- Z nikim teraz nie chcę rozmawiać. Załatw to.
- Oczywiście, ciociu. Naprawdę nic w tej chwili nie musisz - dodał uspokajająco młody człowiek, chociaż sam nie wyglądał dobrze.
Szary na twarzy, drżącymi rękami zaczął nerwowo przetrząsać kieszenie długiej, bawełnianej koszuli.
- Idź na papierosa - powiedziała cicho kobieta. - Chcę zostać jakiś czas sama.
Popatrzył, jakby w obawie, czy naprawdę może wyjść. Ich spojrzenia spotkały się. Skinęła głową.
Oboje byli podobni do siebie i do zmarłego Sylwestra Płonina. Wysocy, szczupli, z dużymi, szarymi oczami w ciemnej oprawie i klasycznym, delikatnym profilem. Tylko że ona, z racji wieku, zmieniła kolor włosów na czarny, a on, jak ojciec, pozostał szatynem z gęstą, falującą czupryną.
- Mikołaj - zawołała, gdy zbliżał się już do otwartych szklanych drzwi - powiedz, co się działo wczoraj w sklepie.
- W sklepie? - zdziwił się.
- Tak, w „Muszce” - spojrzała mu uważnie w oczy. - Wiesz, że Żaneta pracuje tam przy kasie.
- Pamiętam. Studentka praktykuje w twojej poradni i musi zarabiać na życie. Bardzo socjologiczne. - Usiadł naprzeciw ciotki na małym, rzeźbionym stołeczku. - Czy to ta, co dostała hysterii i wydawała taki rytmiczny, piszczący dźwięk?
- Na pewno nie. Była przy sąsiedniej kasie, kiedy zaatakowała człowieka.
- Człowieka? Zapłaciłem, pakowałem zakupy, kiedy ten mięśniak, ładując do torby swoje puszki piwa, wyciągnął bezczelnie łapsko po mój, wyobraź sobie, program telewizyjny.
- I za to go pobiliś?
Młody człowiek uśmiechnął się bezradnie.
- Nie pobiliem, tylko przycisnąłem mu tę jego grubą łapę, a on zaczął wyc na cały regulator.
- Musiałeś naprawdę dobrze przycisnąć - zauważyła zrezygnowana.
- Umiarkowanie. Ale zrobił się masakryczny hałas, bo on wył, dziecko płakało: „Tatusiu, złamał ci rękę”, dwie babcie wrzeszczały: „Pogotowie, policja”, a kasjerka właśnie nadawała w sposób pulsujący.
- Ochrona?
- Oczywiście. Chłopcy przyszli, stwierdzili, że nic gostkowi nie jest, ale ten twardo żądał policji, bo napad. Patrol był blisko. „Muszkę” już zamykali, protokół poszedł szybko, zapytali idiotę, czego chciał od mojej gazety, powiedział, że miał taką samą kupić i myślał, że synek włożył mu ją do koszyka. Poradzili, żeby na przyszłość zapytał. I koniec.

- Chyba wystarczy.

- Ciociu, ja specjalnie poszedłem do „Muszki” po ten program, bo się do niego przyzwyczaiłem. Tylko przy okazji wziąłem trochę jarzyn i owoce morza. Wiem, że mnie rozumiesz.

Potarła czoło palcami szczupłych, eleganckich dłoni.

- Jak zwykle, rozumiem i ciągle mam jedno marzenie. Usłyszeć o tobie coś, co by mi poprawiło humor, a nie przeciwnie. Chociaż teraz to nieistotne - westchnęła. - Idź, przynajmniej sobie zapalisz.

Na tarasie, położonym od strony ogrodu, pozornie nie widać było śladów tragedii. Te same co zawsze wiklinowe fotele i okrągły, ozdobny stolik, jak ze scenografii do filmu kostiumowego. Ale przy nim nalewała sobie wody mineralnej bardzo współczesna dziewczyna w bojówkach i rzadkich o tej porze roku ciężkich butach. Mimo iż temperatura wskazywałaby raczej na podkoszulek, ona założyła grubą bluzę z długimi rękawami. Ciemne, związane w węzeł włosy podkreślały wyrazistość jej regularnych rysów i harmonizowały z dużymi, ciemnymi oczami. Całości dopełniały okulary w dość ciężkiej, czarnej oprawie.

Naprzeciw, ze zmarszczonymi brwiami, szukając czegoś w płóciennie-skórzanej torbie, siedziała kobieta ze starannie wymodelowaną, krótką, dobrze utlenioną fryzurą i lekko uszminekowanymi zaciętymi ustami. Mieniące się złotem okulary dodawały trochę lekkości jej twarzy, która przed laty musiała mieć kształt łagodnego owalu.

- Popatrz, Ada, nie zabrałam tabletek - stwierdziła z irytacją. - A czuję, że będą mi potrzebne. No i jak zwykle muszę sobie bez czegoś poradzić. - Z westchnieniem zasunęła zamek torby. - Swoją drogą, odczuwam to wszystko dużo bardziej, niż bym się spodziewała. W sumie - zamrugła powiekami okrągłych, jasnych oczu - Sylwester nie był naszym krewnym ani nikim szczególnie bliskim. Szwagier brata. Żadna rodzina, w zasadzie znajomy.

Córka w zamyśleniu bawiła się szklanką.

- Dla mnie, owszem, był wujkiem. Od zawsze go podziwiałam.

- O, tak, tak - zaczęła matka z ironicznym grymasem, ale przerwała, bo na taras wszedł Mikołaj.

- Witam, pani Tereso.

Zignorowała go. W przeciwieństwie do córki, która podeszła i uściśnęła mu rękę.

- Szalenie mi przykro. Czy Magda wie?

- Wie i zaraz będzie. Ale na razie muszę przejść przez to sam.

Pani Chociej zaczęła szukać czegoś w bocznych kieszeniach pakownej beżowej torebki.

- Bo ludzie dzielą się na bardzo dobrze dających sobie radę z wszelkimi przeżyciami, nawet traumatycznymi - stwierdziła dobitnie - i innych, po których nigdy nic nie spłynie jak woda po gęsi. Ci pierwsi oczywiście - rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku młodego człowieka - mają w życiu sporo łatwiej.

Mikołaj usiadł przy stoliku, absolutnie nie zwracając na nią uwagi.

- Brakuje profesora Bogockiego, jego żony, no i Roberta.

- Z Sandrą? - Ada uniosła brwi.

- Jasne. Natomiast za dużo jest o tego całego Przemka, wyskubanej małpy na harleyu.

- Też tak myślę.

- Z zaproszonych mamy jeszcze kogoś ważnego, jakiegoś artystę, czy coś w tym rodzaju, i dziewczyny: Luizę jako sąsiadkę, i Karinę jako ekszonę Wińskiego.

- A on, szanowny doktor habilitowany?

- Za granicą.

- Całe szczęście. - Ada spojrzała na panią Teresę, ostentacyjnie bawiącą się komórką. -

Mamo, co mówiłaś o ich rozwodzie?

Nie podniosła głowy.

- Że dobrze zrobiła - stwierdziła sucho. - Bo to bałwan.

*

Autobus, prawie pusty o tej porze, był niespodziewanie chłodny i przyjemny. Karina odrzuciła do tyłu swoje długie, ciemne włosy. Powinna je związać w upalny dzień, ale na razie tak jest wygodniej.

Chyba właśnie dzięki nim zwróciła na siebie uwagę Bartosza, chociaż nawet o tym nie marzyła. Profesor o znanym nazwisku, który przyjechał z Warszawy zaszczyścić prowincjonalną uczelnię kilkunastoma wykładami, podczas przerwy zatrzymał na niej wzrok i bardzo serio zapytał, jak ocenia to, co mówił.

Nie wie i nie chce wiedzieć, co wtedy mówiła. Pamięta tylko jego mądre oczy za szklami okularów, na które opadała jasna, trochę chłopięca, trochę romantyczna grzywka. Potem było jak w bajce. W ciągu pięciu miesięcy, tydzień po egzaminie magisterskim wyszła za mąż i przeprowadziła się do tutaj. Warszawa. Znana Karinie przedtem głównie z wycieczek, nagle stała się jej miastem. Dużym, pięknym, tętniącym życiem i z każdym dniem bardziej jej.

Autobus szybko przemierzał puste ulice, a za jego oknami przesuwała się, jak na filmie, uderzająca lipcowym przepychem zieleń drzew, kolory kwiatów na balkonach i rabatach. Dziewczyna westchnęła, opierając się o szybę. Tyle jest piękna naokoło. A mało brakowało, żeby od dawna już nie oglądała Nowego Świata ani Biblioteki Uniwersyteckiej. Po rozwodzie miała wrócić do siebie, mieszkałaby u rodziców, wujek załatwił jej już pracę u kolegi, kierownika domu kultury.

Tutaj nie miała gdzie się podziać, więc sprawa była oczywista. Właśnie chciała złożyć w pracy wypowiedzenie, gdy Wiola, koleżanka z pokoju, wystąpiła z propozycją zmieniającą wszystko. Przeprowadza się do chłopaka, zobaczą, jak im wyjdzie mieszkanie razem. Chce, żeby Karina zaopiekowała się jej kawalerką, opłacając tylko czynsz i świadczenia. Dziewczyna przyjęła ofertę z entuzjazmem, dodatkowo świadoma tego, że miejsce w wydawnictwie dostała jako Wińska-małżonka, a nie jako Wińska-rozwidzona i, w związku ze zmianą sytuacji, nie powinna się do niego za bardzo przyzwyczajać.

Gdy autobus minął Łazienki, nie mogła obronić się przed uczuciem ogromnej przykrości. Ile ma stąd pięknych wspomnień! Tak wspaniale się czuła, spacerując tu z Bartoszem. Przymknęła oczy. Jak sobie z tym poradzić? Mnóstwo fazy słyszała, że powinna zacząć nowe życie, ale przecież cały czas jest tą samą osobą. Niestety, rozwód wcale nie uczynił jej nikim lepszym, głębszym, godnym podziwu.

Mokotów był coraz bliżej. Karina przyjrzała się temu, co bez zastanawiania włożyła na siebie. Szorty nie bardzo krótkie i nie obcisłe, w piaskowym kolorze, granatowy T-shirt bez żadnych napisów. W sumie może być.

Od przystanku miała do przejścia kilkadziesiąt metrów niezbyt szerokim chodnikiem, lśniącym idealnie ułożoną kostką. Z przyjemnością wciągnęła orzeźwiający zapach. Obie strony ulicy Floksowej wypełnione były zielenią i najróżniejszymi kwiatami, kokieterijnie wyglądającymi zza starannie utrzymanych ogrodzeń, tylko częściowo odwracając uwagę od naprawdę ładnych architektonicznie i zadbanych willi.

Niewątpliwy wyjątek stanowił dom Luizy Drogosz. W ogródku nie kwitło na pewno nic, a wątpliwe, czy rosło cokolwiek niebędące chwastem. Tym bardziej też rzucały się w oczy odrapane ściany oraz bardzo niepewnie wyglądający dach.

Karina przeszła przez otwartą furtkę i zadzwoniła do drzwi. Najpierw długo niczego nie słyszała, potem dudnienie zbiegania po schodach zakończone odgłosem sugerującym upadek. Nareszcie w drzwiach pojawiła się właścicielka.

- Nie mogę sobie poradzić z tą chałupą - stwierdziła rozcierając kolano. - Ale ty się nie bój, goście wychodzą stąd cało. Oczywiście, ci zaproszeni - dodała, popychając ją w kierunku piętra

- Jadłaś śniadanie? - spytała krótko, gdy znalazły się w dużym pokoju o świeżo odmalowanych, białych ścianach, w którym, prócz licznych stert książek, rezydowało duże biurko, niski drewniany stół i wygodne fotele kontiki.

Widząc niezdecydowanie Kariny, energicznie wskazała wiktuały na kolorowej serwecie.

- Nie jestem zbyt tradycyjna i polykam to, co akurat się nawinie. Na przykład dzisiaj, proszę cię bardzo: kawa w termosie, czekolada w opakowaniu, banany w skórce i oczywiście, co w kubeczku...?

- Jogurt wiśniowy.

- Bardzo dobrze. A wiesz, dlaczego?

- Smakuje ci?

- Już nie.

Luiza usiadła naprzeciw. Zdążyła zamienić nocny strój na krótkie, białe szorty i brązową skąpą koszulkę na cienkich ramiączkach.

- Nasza agencja dostała zlecenie na reklamę tej substancji. No i jak się domyślasz, niezbyt nam robota idzie. A mnie w szczególności. - Zmarszczyła niezbyt wyraźnie, ale równo zarysowane brwi. - Chciałam mu przynieść dzisiaj na przyjęcie cały karton.

- Profesorowi? - Karina wpatrywała się w nią swoimi kontrastującymi z kolorem włosów, niebieskimi oczami.

- Powiedz, dlaczego, o co mogło chodzić?

- No tak... Jak widać, Płonin komuś bardzo się naraził.

- Ale przecież zamachów z bombami dokonuje mafia.

- Pewnie też na zlecenie. - Luiza patrzyła w okno, przez które zaczęło zaglądać coraz ostrzejsze słońce.

- Nie, nie żartuj! Nie mówisz poważnie.

- Jak najpoważniej. A fakty z kolei mówią za siebie. - Ułamała kawałek czekolady. - Sylwester był człowiekiem z zasadami i one mogły się komuś nie spodobać. Tak mi sprawa wygląda na pierwszy rzut oka. - Wzruszyła ramionami.

Karina nie była pewna, czy oryginalne śniadanie dodaje jej sił, czy wręcz przeciwnie. Starczyło ich jednak na wyjaśnienie tego, co usłyszała.

- Byłaś z nim na ty? - spytała, niezadowolona ze swojego wścibstwa.

Luiza Drogosz uśmiechnęła się. Podeszła do okna i przez chwilę w milczeniu studiowała dość banalny krajobraz z drzewami i domami z sąsiedztwa.

- Jak najbardziej - powiedziała w końcu. - Nie mam powodu kłamać. Sprawa i tak przy okazji wyjdzie. Powiem ci zwyczajnie. - Spojrzała jej prosto w oczy. - Piętnaście lat temu byłam kochanką Płonina. Zdziwiona?

- Tak - wykrztusiła dziewczyna. Na więcej nie było ją stać.

- No właśnie. Wie o tym pewnie jego siostra i może któreś z dzieci. Rzecz trwała dwa lata. Ja kończyłam studia, mieszkałam tutaj u babci, on niedawno wprowadził się do wybudowanej willi. - Usiadła i nalala sobie kawy. - Płoninowie zamieszkali w nowym domu, a ich małżeństwo sypało się. Sylwester, naukowiec, niesamowicie przystojny i cierpiący wewnętrznie. Nie potrzeba więcej młodej dziewczynie, w dodatku z instynktem opiekuńczym. Niestety, u jego żony wykryto chorobę nowotworową. Stało się jasne, że jej nie opuści. Był ze mną cały czas uczciwy, nigdy mi nic nie obiecywał.

- Ale potem został wdowcem.

- Tak. I po prostu wyjechał.

- Bez ciebie?

- I bez słowa. Nie, sorry, przysłał mi róże. Przez kuriera zamówionego z Alp, gdzie szusował na nartach. Wielkie, czerwone, z podziękowaniem za wszystko na pięknym bileciku.

Karina pokręciła głową.

- Niesamowite. W dodatku raczej wredne. Zupełnie do niego nie pasuje. Przynajmniej teraz.

- Nie pasuje? Przecież był w porządku. - Luiza wstała, rozciągając ramiona jak na aerobiku. - Robi się już duszno. Bierz jogurt i idziemy do tak zwanej altanki. O, nie! - krzyknęła nagle w wyraźnej rozpaczy. - Dlaczego właśnie ja? Dlaczego na mnie padło?

- Co się stało? - Karina podbiegła do okna, czując, że udziela się jej panika koleżanki.

- Patrz, jest! Już tu przylazł! - Luiza prawie dusiła się złością i nerwowo wbiła szczupłe palce w rude, puszyste włosy.

- Boże Świąty, kto?

- No, nie widzisz? Kloszard! - Bezradnie szarpnęła zasłonkę. - Wrócił. Chociaż rano gliny go stąd wywiozły.

- Myślisz, że na pewno jest kloszardem? - Karina wyjrzała przez mały balkon, bacznie przyglądając się nieznanemu. - Może niekoniecznie. Może po prostu jest ubogim człowiekiem. Zobacz, nie wygląda na specjalnie brudnego.

- Nie zejść na dół - ogłosiła Luiza, ostrożnie zerkając zza firanki. - Co z tego, że niebrudny, skoro notowany? Sam się przyznał.

Sytuacja była bez wyjścia. Należało coś zrobić.

- Pójdę do niego. - Wińska automatycznym ruchem poprawiła szorty i obciągnęła T-shirt. - W razie czego dzwoń na 112.

Nieproszony gość zachowywał się spokojnie. Z zainteresowaniem patrzył na odrapane ściany w otoczeniu resztek czegoś, co kiedyś służyło za ogród. Rzeczywiście, w porównaniu ze stanem o szóstej rano, sprawiał dużo lepsze wrażenie. Trochę przyszyżone włosy i broda nabrały zdecydowanego, jasnego koloru, a podejrzany strój został zastąpiony przez bardzo znoszony, ale całkiem czysty, szary dres.

- Dzień dobry - powiedziała z oficjalnym uśmiechem.

- Czy pan kogoś szuka?

Podrapał się w głowę z zastanowieniem.

- Może takiej pani z włosami jak... jak młoda marchewka. - Głos miał kulturalny i mówił z poprawną dykcją, co wzbudziło w niej odruchowe współczucie. Kiedyś musiał prowadzić inne życie.

Chciała mu zaproponować jakąś pomoc, choć przecież nie była u siebie, gdy nieoczekiwanie wybawił ją z kłopotu.

- Ten ogródek mógłbym skopać i jeszcze coś posadzić.

Brzmiało obiecująco, a nawet rozsądnie, ale decyduje właścicielka.

- Nie mam nic do posadzenia! - Usłyszeli z góry bardzo dobitną odmowę.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Coś się wymyśli - stwierdził spokojnie.

Luiza zamachała rękami.

- Lepiej bez wymyślania. A ile by to kosztowało?

- Co panie uważają.

Pewnym krokiem podszedł do sterty uskładanej z desek, narzędzi, kilku garnków oraz innych dziwnych przedmiotów. Wydobył z niej całkiem dobrą łopatę i bez słowa rozpoczął pracę.

Luiza również w milczeniu zeszła z góry, niosąc tacę z jogurtami, z których jeden wręczyła swojemu nowemu pracownikowi, ostentacyjnie odwracając się w drugą stronę.

Altanka, lub raczej jej pozostałość, wyglądała bardziej romantycznie niż bezpiecznie, dzisiaj jednak możliwość jej rozpadnięcia nie robiła na nikim wrażenia.

- Chciał przynieść kradzione sadzonki - stwierdziła gospodyni. - Ciekawe z czyjego klombu.

- Możemy się jeszcze dowiedzieć.

- Czy ty widziałaś, w jaki sposób on na mnie patrzył?

- Tak. - Karina skinęła głową z przekonaniem.

- Jak na przedmiot użytkowy. Nie jak facet, tylko bardziej jak kupiec.

- Zgadza się.

- Naprawdę też tak uważasz?

- Tak. - Karina nie robiła jej żadnych złudzeń. - Oglądał cię dokładnie i wycenił. Chyba nawet wysoko. - Uśmiechnęła się krzepiąco.

- Dziękuję bardzo. Ale gdyby handlował żywym towarem na przykład do Niemiec, byłby znacznie lepiej ubrany.

- To znaczy, że nic ci na razie nie grozi - podsumowała koleżanka, oblizując łyżeczkę.

Reklamowany produkt był całkiem dobry.

Luiza odsunęła swój kubek z niechęcią.

- Słuchaj, kochana - zmieniła temat - znamy się z paru imprez u sąsiadów, jeszcze z czasów, gdy byłaś panią Bartoszkową, fajnie nam się wtedy gadało. Czy będzie dużym chamstwem, jeśli zapytam wprost, dlaczego rozwód?

Jeden z tutejszych wróbli, zdenerwowany działalnością świeżo powołanego ogrodnika, nastroszył pióra i najgroźniejszym wrzaskiem próbował go odpędzić.

Mężczyzna wbił łopatę w ziemię.

- Czy on mnie przypadkiem nie obraża? - zastanowił się głośno.

Ponieważ jego rozmówca z szeroko otwartym dziobkiem wymyślał mu w dalszym ciągu, postanowił nie brać udziału w dyskusji i przeniósł się z robotą na drugą stronę alejki. Teraz od rozmawiających kobiet dzieliło go kilka metrów. Zdjął bluzę od dresu i spod białego podkoszulka widać było jego potężne, nawykłe do pracy fizycznej, opalone ramiona. Karina pomyślała, że hipoteza o zdeklasowanym inteligencje jest w jego przypadku raczej nietrafiona.

- Ten bydlak potrafi pyskować od piątej rano. - Luiza rzuciła wróblowi nieprzyjemne spojrzenie swoich zielonkawych, efektownie wykrojonych oczu. - Może wezmę sobie kota - oznajmiła wyraźnie w jego kierunku.

Nie przejął się. A w odpowiedzi jeszcze bardziej się postarał.

Mimo dokuczliwego akompaniamentu wróbla, ekszona docenta Wińskiego postanowiła zaspokoić ciekawość koleżanki, ale najpierw wzięła głęboki oddech.

- Rozwód naprawdę był stąd, że ślub brałam jako Królowna Śnieżka, a już na drugi dzień stałam się Kopciuszkiem.

- Miałaś królewicza.

- Nie za bardzo. Ale, oczywiście, bardzo chciałam go mieć i żałośnie godziłam się nawet na to, że jego koledzy nazywali mnie Cindy - westchnęła mimo woli. - Ładne imię, niestety dość szybko stałam się już bardziej Kopciuchem i nie umiałam nic na to poradzić.

Gospodyni uniosła brwi.

- Czekaj, chyba sobie wyobrażam. Traktowanie z wyższością, ironia, może odsyłanie do garów?

- Dokładnie. W dodatku gotowanie nigdy mi nie wychodziło i czułam się kompletnym zerem.

- Pokręciła głową. - Nie byłam w stanie przeciwstawić się jego ocenianiu, chociaż wiedziałam, że powinnam.

- Ale jednak się rozwiodłaś - przypomniała Luiza.

- O, cholera!

- Co się stało? - Karina drgnęła na serio przestraszona.

- Ten typ jest blisko i słucha - syknęła kobieta.

Miała rację i teraz też słyszał.

- Sorki, szefowo - oparł się o łopatę - ale widać, że trafiła pani zwyczajnie na frajera.

- Co za idiotyczne określenie. - Rudowłosa kobieta pogardliwie wykrzywiła swoje delikatnie wykrojone usta. - Nie zwracaj na niego uwagi.

Mężczyzna z pełną aprobatą skinął głową i zabrał się dalej za kopanie.

- Oczywiście - Karina Wińska zaczęła mówić z coraz większą energią - czułam, że muszę od niego odejść, ale, myśl o mnie, co chcesz, nie miałam odwagi. Na szczęście on mi rzecz znakomicie ułatwił. Pewnego dnia przyszedłam wcześniej do domu i zastałam go z jego asystentką. Nawet się nie ubrali na mój widok. Zapytał rzeczowo, trochę kpiąco, czy chcę rozwodu. Odpowiedziałam automatycznie, że tak. Wzięłam urlop i pojechałam do domu. Później miałam wyjątkowo dołujące święta... W sądzie poszło szybko, chyba jakoś w ogóle wyrzuciłam to z pamięci.

Odgarnęła włosy.

- Wiesz, co mi powiedzieli rodzice? Że nie umiałam utrzymać męża przy sobie.

- Aha - skinęła głową Luiza - wszystko jasne. A ty też tak uważałaś?

- Nie wiem. - Uniosła leciutko ramiona. - W sumie na to wychodzi. Ale z pewnością stało się dobrze. A jeszcze lepiej, gdybym go nigdy nie spotkała.

*

Przemek Rosiński, asystent profesora Płonina, trzymając butelkę coli usiadł bez słowa na stolku w rogu tarasu.

Zebrani przy stoliku nie zaszczycili go ani jednym spojrzeniem. Mikołaj Płonin i Adrianna. Chociej wymieniali grzecznościowe uwagi, udające rozmowę, a jej matka, odwrócona bokiem, przeglądała lśniące kolorowymi zdjęciami pismo.

- Dobrze, że je przyniosłaś, córeczko. Chyba stałaś w długiej kolejce?

- Jak na niedzielę rano, był rzeczywiście niespodziewany tłok.

- Bo ludzi w ogóle jest za dużo - wyjaśnił Mikołaj. - Da się nawet wskazać, których.

Pani Teresa podniosła wzrok znad okularów.

- Rozumiem, że to jedna z tez twojej pracy doktorskiej. Z socjologii, o ile dobrze pamiętam.

Rosiński podniósł się z taboretu, biorąc głęboki oddech.

- Profesor Płonin niejednokrotnie wspominał, że pan jest utalentowanym naukowcem i wcale się nie marnuje jako PR-owiec, bo zdobywa doświadczenie.

- Miał sporo racji - wtrąciła Ada.

- Również dystans potrzebny do napisania doktoratu, wyrastającego ponad przeciętność...

- No tu już przesadziłaś, człowieku! - Mikołaj wstał gwałtownie. - Nigdy w życiu nie słyszałem podobnych bredni. - Zdecydowanym krokiem skierował się do schodków. - Lizusostwo też musi mieć jakieś granice. I dam ci dobrą radę...

Chyba na szczęście, nikt rzeczonej rady nie poznał, bo właśnie na taras z rozpędem wpadła Magda Płonin. Jej wzburzone, jasne włosy wymknęły się z kolorowego wiązania, spadając na czoło i opalony dekolt luźnej białej bluzki.

Rodzeństwo przez chwilę obejmowało się bez słowa.

- Jak to się dokładnie stało? - przerwała ciszę siostra.

- Wsiadał o zwykłej porze do samochodu i nie wiedział, że ktoś podłożył mu bombę. Że ktoś go tak nienawidził.

- Nie zdążył cierpieć ani nawet się przerazić. - Podeszła do nich Irmina Dobrzyńska.

- Ciociu! - Magda rzuciła się jej na szyję.

- Wiesz, myślę, że chyba twój ojciec był za bardzo... nie wiem, jak to powiedzieć...

Córka profesora spojrzała jej głęboko w oczy.

- Ja rozumiem. On po prostu ze wszystkim był za bardzo.

*

Robert Gondor wyprowadził samochód z podziemnego garażu. Trzeba przyznać, iż krótka i zwięzła wiadomość, którą dostał od Mikołaja, mocno wytrąciła go z równowagi. Sylwester Płonin wprawdzie formalnie nie był dla niego nikim bliskim, zaledwie mężem ciotki, ale nie da się zapomnieć, że do około dziesiątego roku życia Robert spędził w jego domu tyle czasu, co w

swoim. Nie, w sześćdziesięciu procentach przesiadywał w mieszkaniu cioci przy Koszykowej, a na resztę zabierała go zadowolona, uśmiechnięta mama i wtedy dopiero zaczynał się nudzić.

Przyznaje, podziwiał Płonina, który nie tylko tolerował u siebie praktycznie nieślubnego syna szwagierki, ale jeszcze potrafił znaleźć dla niego trochę czasu. Nawet, kiedy pojawili się i dorastali mała Magda, a potem Mikołaj, Robert nie stracił miejsca w jego rodzinie. Odróżniał się od nich wyglądem, nikt jednak nie dawał mu tego odczuć. Rysami podobny do matki i ciotki, zwracał uwagę ciemną karnacją, czarnymi, sterczącymi wtedy włosami i oczami jak węgielki.

Nie przypuszczał, żeby on sam zachował się w podobnej sytuacji jak wujek. Pewnie dałby po prostu samotnej matce pieniądze na dobrą opiekę nad dzieckiem. Ale jemu to nie grozi. Sandra nie ma rodzeństwa, a on tak naprawdę nie ma nikogo.

Nie zdawał sobie sprawy, że cały czas chodzi w kółko naokoło klombu. Wprawdzie ulice są teraz puste, ale chyba jeszcze przez chwilę nie powinien prowadzić.

Nie ma nikogo, bo trudno liczyć matkę, która wreszcie normalnie wyszła za męża. Oczywiście; znając jej sympatię do czarnych włosów, za Włocha, i teraz podziwia z okna widok na skały i ciepłe, przejrzyste morze.

Formalny ojciec, Jerzy Gondor, starszy, schorowany człowiek, który z sympatii i współczucia wziął ślub z jego matką, nie dożył pierwszych urodzin swojego niby syna. Ciotka zmarła na nowotwór kilkanaście lat temu. Dzisiaj rano ktoś zamordował jej męża, człowieka, który, nie okłamujmy się, sporo dla niego znaczył.

Dlaczego ktoś to zrobił? Cóż, mówiąc bez ogródek, wujek musiał być nieostrożny.

Zostały jego dzieci. Lubi Magdę, bo przypomina swoją matkę. Mikołaj natomiast, wbrew marzeniom i staraniom ojca, chyba się nie udał. Z młodych ludzi, będzie jeszcze udziwniona Adrianna z rodziny siostry profesora i Luiza z sąsiedztwa. Bardzo dobrze, jeśli o nią chodzi. No i pewnie zaprosili tę głupią od Wińskiego.

Ona go irytuje. Właściwie niesłusznie, bo jak świat światem, takie sprytne samiczki istniały i będą istnieć, jeśli mają warunki. Tej się akurat nie do końca udało, ale najpewniej rozpoczęła już następne polowanie. Jedno, co można o niej dobrego powiedzieć, to fakt, że jest świadoma własnej głupoty i trochę się jej nawet wstydzi. Ale też dlatego nie do zniesienia są niebieskie oczęta pani eksdodcentowej Wińskiej, patrzące z lękiem, jakby zaraz miała być przez kogoś bardzo ciężko skrzywdzona.

Sandra zbiegła po schodach. Mimo dwudziestu sześciu lat i wysokiej, szczupłej budowy, ciągle ruszała się jak podłotek. Właśnie tym zwróciła na siebie jego uwagę dwa lata temu, zachwyciła też wyrazistymi, orzechowymi oczami, złotą opalenizną na tle jasnych włosów, równo przyciętych w asymetryczną fryzurę. Teraz przytuliła się do niego pełna orzeźwiającego zapachu perfum.

- Wiem, jak go lubieś. Makabryczna historia. Daj kluczyki, poprowadzę.

Ich usta złączył długi, ciepły pocałunek.

*

- I wszystko jasne - powiedziała Teresa Chociej, dokładnie mieszając kawę, zrobioną przez Magdę Płonin. Córka profesora od razu po przyjeździe objęła funkcję gospodyni i tym samym wzięła ma siebie powtórne rozmowy z policją oraz udział w następnych oględzinach domu.

- Ktoś był naprawdę sprytny - kontynuowała. - Dobrze, że cukier jest trzcinowy, teraz nikt inteligentny nie będzie używał białego. Ada, córeczko, skosztuj, dobrze ci robi.

Dziewczyna nie odwróciła głowy.

- Wiesz, że nie piję kawy - rzuciła krótko, przewracając kartkę w książce.

- No i popatrz sama - rzekła matka i odruchowo poprawiła kołnierz jej bluzy - jak to się dzieje. Wspaniała rodzina, wszystko, co najlepsze, piękny dom, prawie własna uczelnia, wykłady za granicą. I proszę, można się tak zaplątać, że ceną jest życie.

- W co zaplątać? - Adrianna podniosła na nią oczy zza okularów. - W co, według ciebie, zaplątał się profesor?

Pani Teresa uniosła w górę leciutko pokryte piegami ramiona.

- Ja nie jestem policją, ale przyznasz, że nie ma skutków bez przyczyny, prawda? - Z lubością pociągnęła łyk kawy. - Ciekawe, czy w najbliższym czasie dostaniemy coś do jedzenia.

Irmina Dobrzyńska znalazła w lodówce sernik ze sklepu spożywczego. Pokiwała głową. Cały Sylwester. Na nic więcej nie mogła u niego liczyć. Natomiast na popołudniowe przyjęcie miał zamówiony elegancki catering. I bardzo dobrze! Niech wszystko odbędzie się tak, jak zaplanował. Na chwilę usiadła przy stole i odruchowo podparła czoło. Dzisiaj straciła starszego brata. Dziesięć lat temu jej mąż zmarł na zawał. Została ze swoją pracą i studentami. Będzie musiała się przyzwyczaić, bo nic więcej już jej nie czeka.

- Wezmę tacę. - Przyszedł Mikołaj. - A ten pajac z cyrku, co tu jeszcze robi?

- Przemek? Pakuje się na górę - uspokoiła go.

- Mam nadzieję, ciociu, że policja dobrze go przesłuchała.

- W każdym razie najdłużej z nas wszystkich. Był przecież z Sylwestrem praktycznie do ostatniej chwili - westchnęła.

- Ja myślę, że my też powinniśmy z nim porozmawiać.

- O, na pewno... - Wyrzała przez okno. - Przyjechał Robert.

Gondor w szarych dżinsach i beżowym podkoszulku wyglądał tylko odrobinę mniej południowo, niż zwykle. Kruczoczarne, proste włosy zaczesane do tyłu i śniada cera z każdym innym kolorem kontrastowałyby dużo bardziej.

Za nim Sandra, w świetnie leżącej niebieskiej tunice, próbowała uśmiechać się do wszystkich.

- Jestem z wami. - Robert objął oboje rodzeństwa.

- Zawsze byłeś. - Magda wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Mówcie, jak to się stało. - Przywitał się z panią Irminą.

- Teraz wiemy dużo więcej. - Podała mu kawę. - Otóż, policja stwierdziła, że przyczepiony do podwozia ładunek wybuchowy został... nie umiem powtórzyć po nich... uruchomiony przez komórkę.

- No, nie! - Robert aż wstał z miejsca. - Czyli dokładnie każdy mógł to zrobić. Jeśli nie sam, to wynajęć kogoś, kto z Wrocławia czy innego Koszalina zadzwonił i zabił. Nawet nie musiał wiedzieć, o co chodzi.

- Musiał wiedzieć kiedy - dodał Mikołaj. - Ale ojciec miał bardzo ustalone zwyczaje. O szóstej rano zawsze wsiadał w samochód i jechał na bieganie. Masz rację, że każdy. I nie ma mowy o żadnym alibi, bo niepotrzebne.

Teresa Chociej sięgnęła po sernik, uważnie oglądając jego wypieczony spód.

- Ano nie trzeba alibi, może sprawca na drugiej półkuli siedzi sobie teraz przy smacznym lunchu, a motywu - uniosła brwi - należy się domyślać, z branży powszechnie wiadomej.

Nikt nie odpowiedział, tylko Gondor posłał jej, nienależące do miłych, spojrzenie swoich lekko skośnych oczu.

- Poczekajcie - zaniepokoiła się Irmina Dobrzyńska. - Co z Magdą?

Patrzyła na bratanicę, która przed chwilą odeszła, aby odczytać wiadomość z komórki. Teraz, kredowo biała, stała na progu salonu, oparta o framugę.

- Co się stało?

Bez słowa, drżącą dłonią Magda pokazała telefon. SMS był krótki.

Na ekranie wyświetlało się jedno zdanie: *No i co teraz? J.* Numer nieznany.

Mikołaj zaczął nerwowo szukać papierosa.

- Może to pomyłka - zaproponowała niepewnie pani Irmina.

- Dużo miałyście ostatnio pomyłek? - zapytał szybko bratanek.

- W ogóle - odpowiedziały jednocześnie.

Zapanowała przygniatająca cisza.

- Słuchajcie - przerwała ją córka profesora. - Wiecie, że się przestraszyłam. Dobrze wiecie. Ale śmiesznie by było od razu lecieć z czymś takim na policję. Poczekajmy, jeśli się powtórzy, pokażemy.

- Niech będzie. Ale - brat pogroził jej palcem przed nosem - kiedy tylko zdarzy się cokolwiek w tym stylu, idziesz do psiarni. Obiecujesz?

- Obiecuję, głupku! - Skinęła głową.

Wyszli na taras.

Robert z rękami w kieszeniach, chodził wzdłuż balustrady.

- Co się jeszcze działo? Diabli wam wzięli roślinki? rzucił zdenerwowany. Irmina Dobrzyńska nerwowo machnęła ręką.

- Poprzedniej nocy była potworna burza. Zacinało z tej strony i kompletnie rozmyło mój ogródek skalny. Bo to ja go praktycznie założyłam i pilnowałam. Sylwester miał kogoś zawołać, ale nie zdążył. - Zacisnęła palce na poręczy. - A chciałam, żeby wszystko było w porządku.

Podbiegła Sandra, świetnie poruszając się na dziewięciocentymetrowych obcasach.

- Może weźmiemy tego człowieka od Luizy? - Popatrzyła z troską.

- Luiza i człowiek? - zdziwił się syn profesora. - Odważny jakiś.

- Nie do końca, bo był tylko w ogrodzie - opowiedział Gondor. - Dosłownie przed chwilą widzieliśmy w sąsiedztwie kulturystę, wywijającego motyką między drzewami. Zapytałem, czy to jej facet i ... nie chcę cytować, ponieważ - błysnął bielą uśmiechu - treść wspomnianej wypowiedzi jest krzywdząca i całkowicie dyskwalifikuje mnie jako mężczyznę.

- Ona to potrafi - stwierdził Mikołaj. - Zajrzę i przyprawdzą fachowca, choćby siłą. Bardzo duży?

- Jak gladiator - uściśliła Sandra, a Robert w odpowiedzi pogroził jej palcem.

- Więc raczej go ładnie poproszę.

Młody człowiek zniknął za furtką.

*

Profesor Ryszard Bogocki patrzył na żonę z poczuciem pełnej bezradności. Od godziny siedziała w fotelu ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora. Wiedział, że musi jej pomóc, jednak na razie sam nie umiał się pozbierać. Śmierć Płonina spadła na niego jak piorun z jasnego nieba. Sylwester był od lat jego najbliższym przyjacielem, kolegą ze studiów i współdziałowcem w ich prywatnej, dobrze rozwijającej się uczelni.

Co się stało? Jaki błąd popełnił, narażając się na taki odwet ze strony ludzi, których w ogóle nie powinien znać? I co to za ludzie, dla których życie człowieka jest niczym?

Czuł niewyobrażalną pretensję do losu. Dlaczego Sylwester? Jak dać sobie z tym radę?

- Irmina mówiła, żeby przyjść o ustalonej porze - spróbował zagadnąć żonę. - Prosiła nie zakładać żałoby. Wszystko ma wyglądać tak, jakby był między nami.

Kobieta przymknęła oczy.

- Jakby był - powtórzyła.

- Słuchaj, Gosia - przetarł okulary - czasu nie cofniesz. - Dotknął jej włosów

- Oczywiście - skinęła głową, nie podnosząc powiek - całkiem zrozumiałe.

- I trzeba próbować się uspokoić, potem idziemy do Płoninów.

- Jakby był między nami - powtórzyła znowu, ale już bardzo sennym głosem.

*

Karina nie czuła się przekonana, że pójście teraz do Płoninów to dobry pomysł. Może każde inne miejsce byłoby teraz lepsze. Natomiast Luiza nie miała najmniejszej wątpliwości.

- Dostarczamy im świetną siłę roboczą, a poza tym, Mikołaj nas jeszcze raz specjalnie zaprosił.

Siła robocza rzeczywiście wyglądała na fachową i sprawną. Nieduży, pagórkowaty ogródek skalny w oka mgnieniu powrócił do swojego kształtu, a nawet, poprzez nowe ułożenie kamieni, zdecydowanie zyskał na urodzie.

- Powiedz tylko, skąd on się tutaj dzisiaj wziął? - Magdalena Płonin podeszła do Luizy.

- Mówi, że twój ojciec zatrudnił go do czegoś.

- Pewnie do tego. I jak zwykle widać, że znał się na ludziach. - Odgarnęła z czoła jasne kosmyki. - To znaczy, wcale nie jak zwykle. Gdyby naprawdę znał się na ludziach, ja bym była przy nim, a nie w Niemczech, i może by teraz żył.

Karina nie mogła tego słuchać. Nagromadziło się w niej za dużo żalu, o którym chciałyby zapomnieć, a zwierzenia tej atrakcyjnej i wartościowej kobiety powodują, że niezdolnie wracają jej wspomnienia.

Podeszła do balustrady, za którą widać było pracującego kloszarda. Wyglądał na autentycznie zadowolonego. Słusznie. On prawdopodobnie realizuje receptę na szczęście. Życ w zgodzie z samym sobą, cieszyć się drobiazgami. Oczywiście, słuchała o tym setki razy bez specjalnego przekonania, a teraz ma przed oczami namacalny przykład. Może czegoś się dzisiaj nauczy?

Miałaby więc jakiś pożytek z wizyty, bo, po zdawkowych powitaniach, nikt nie zdradzał ochoty na rozmowę z nią, a Gondor nawet tym jej nie zaszczycił.

- Czy powiedzieliście w końcu policji, gdzie mają szukać? - zapytała Sandra. - O Jakubku?

- Jasna sprawa. Wiesz, o co chodzi? - Mikołaj spojrzał na siostrę. - Otóż, ojciec kupił spory kawałek ziemi jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd po szosie, w Przeglądzie. Taka wieś, a raczej koło tej wsi. Działka pięknie położona, jest kawałek lasu i nawet prawdziwe jezioro. Zamierzał wybudować tam ośrodek dla dzieci z problemami. Fizycznymi, psychicznymi i wszelkimi innymi.

- Zgadza się. - Kiwnęła głowa Teresa Chociej. - Piękna inicjatywa.

- Ale na tę ziemię miał również ochotę niejaki Tomasz Jakubek, któremu ogromnie pasowało wystawić tam hotel. Z jakichś powodów nie zdążył jej kupić i teraz, od kilku tygodni, po prostu molestował ojca w sprawie odsprzedaży. Proponował, o ile wiem, kosmiczną cenę, ale bez skutku. Nie dawał za wygraną i nawet, ciocia to słyszała, powiedział coś w rodzaju: „Jeszcze pan pożałuje”.

- To prawda - westchnęła pani Irmina. - I niestety, on mógł sądzić, że śmierć Sylwestra mu się opłaci.

- Bo należy do ludzi - jej szwagierka uniosła brwi nad złotawe okulary - dla których jedynym wyznacznikiem przy podejmowaniu decyzji jest ewentualna opłacalność. A przecież możemy znaleźć jeszcze inne wartości. I one również wzbogacają, tylko inaczej.

- Toteż właśnie były ważne dla Sylwestra. - Dobrzyńska gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie rozumiem, nie rozumiem.

W tym samym czasie jej bratanica na trawniku, oparta o ścianę tarasu, oglądała w telefonie nową wiadomość.

Na ekranie wyświetliło się: *Teraz ty uważaj! J.*

Magdalena nie krzyknęła, nie wydała żadnego głosu. Patrzyła nieruchomo w dal, nie zauważając pracującego mężczyzny.

- Iglaki siedzą na swoim miejscu. Przydałoby się parę nowych kwiatków. - Oparty o łopate spoglądał przyjaźnie na zebranych. - Na jutro załatwię białe i niebieskie.

Luiza chwyciła Karinę za ramię.

- Czyżby w okolicy ktoś miał ogródek skalny? - syknęła.

- Oczywiście, że policja wie o sprawie i pogrózkach - tłumaczyła siostra profesora. - Nie możemy jednak mieć pewności, że pan Jakubek ma coś wspólnego z morderstwem.

- Przychodzi ci do głowy ktoś inny? - spytał bratanek, zeskakując do ogrodu, by sfinalizować sprawę z ogrodnikiem. Za chwilę jednak wrócił, rozkładając ręce.

- Nie chce kasy, mówi, że rozliczy się potem.
- Niech się chociaż czegoś napije. - Dobrzyńska bezradnie spojrzała na stolik z wodą i kawą. Robotnik wszedł na taras, prezentując się w całej okazałości. Wysoki, barczysty, mocno opalony, pewny swojej wartości po dobrze wykonanej pracy.
- A może kieliszek czegoś mocniejszego? - zaproponował młody Płonin.
Mężczyzna uśmiechnął się rozbijając.
- Dziękuję, ale jestem samochodem.
Cisza, jaka zapanowała, świadczyła o tym, że każdy sądził, iż się przesłyszał. Przerwał ją Gondor.
- Mówi pan oczywiście o tym stojącym za rogiem *sport utility vehicle* z kwietniowego katalogu? - zapytał grzecznie.
Sandra parsknęła śmiechem, a Magda Płonin, jeszcze blada, skrzywiła się z niesmakiem. Nieznajomy drapał się po głowie w głębokim zastanowieniu.
Karina poczuła żal i złość. Czy już każdy zasługuje na drwinę?
- Co w tym śmiesznego, że ktoś jest biedny? - spytała nagle Roberta.
Chyba głos jej drżał, ale trudno.
Spojrzał na nią z góry błyszczącymi, czarnymi oczami.
- Ma pani na myśli swoją nową sytuację materialną?
Poczuła, że oblewa ją gorąco.
- Całe życie jestem w tej samej sytuacji materialnej.
Gondor wzruszył ramionami.
- Z konieczności, domyślam się. Natomiast ten osobiście wybrał dla siebie ogródki działkowe.
Wzmiankowany lokator ogródków w skupieniu, lecz bez zdenerwowania zaczął przeszukiwać głębokie kieszenie spodni szarego, mocno spranego dresu.
- Taki granatowy, prawie czarny? - upewnił się.
- Dokładnie - przypomniał sobie z uśmiechem Mikołaj. - Ciemny, duży, tam na dole, przy skwerze.
Nieznajomy pokiwał głową z aprobatą.
- Wychodzi na to, że mój - stwierdził. - O, właśnie.
Z jednej kieszeni wyciągnął kluczyki, a z drugiej coś w plastikowej oprawce. Na to coś, stojący obok syn profesora rzucił tylko jedno spojrzenie, które wystarczyło, by najpierw oniemiał, a za moment wybuchnął prawdziwie histerycznym śmiechem.
- Wiedziałem - zaczął mówić Mikołaj, ledwie łapiąc oddech - wiedziałem, że pan mi kogoś przypomina.
Na chwilę zamilkł, chyba zbierając siły. Robotnik, obracając w silnej dłoni kluczyki, patrzył na niego z wyraźną troską.
- Był pan w programie świątecznym razem z Bartoszem Wińskim. - Młody człowiek przetarł oczy. - Jan Reising, światowej sławy rzeźbiarz. Ostatnio podobno zaprzyjaźniony z moim ojcem.
- Co? - krzyknęła jego siostra. - Zgłupiałeś do reszty! Widziałam wystawę Jana Reisinga.
- Naprawdę? - ucieszył się mężczyzna w dresie. - I jak ją pani ocenia?
- Rewelacyjna! - Potrząsnęła włosami. - Nic nie rozumiem.
Pozostali stopniowo przychodzili do siebie.
Teresa Chociej zaczęła nerwowo szukać ręki Adrianny, która ze zmarszczonymi brwiami patrzyła w dal. Pani Irmina tylko ścisnęła chusteczkę. Luiza Drogosz wstała z miejsca. Z rozprostowanymi szczupłymi palcami i podbródkiem wysuniętym do przodu wyglądała raczej drapieżnie. Były pracownik przezornie cofnął się.
- Dlaczego udawał pan kloszarda? - wyskandowała. Jej zwężone oczy nie wróżyły niczego dobrego.

- Niczego nie udawałem, szefowo. - Uśmiechnął się rozbijająco, ale na wszelki wypadek zrobił jeszcze krok do tyłu.

- Jak to nie? - Przypominała dzikiego kota naprzeciw zdobyczy.

- Zaraz opowiem. - Usiadł na balustradzie ze szklanką wody. - Wiem, że muszę się wytłumaczyć.

Wszystkie spojrzenia były skierowane na jego twarz, może z powodu przystrzyżonej już brody, trochę przypominającą grecką rzeźbę ożywioną niebieskimi, mieniącymi się srebrem oczami.

- Chciałem powiedzieć, że ani razu nie skłamałem. Wszystko powstało z domysłów.

Mieszkam na Zielarskiej, ale w swoim domu, nie na działkach, ostatnio pracowałem rzeczywiście na budowie, a o to mnie dokładnie pytano. Z profesorem Płoninem umówiłem się na dzisiaj. Miał mnie zachęcić do biegania, a potem pokazać Przeględę. Planowaliśmy prowadzić tam w przyszłości zajęcia ze sztuki i myśleliśmy również o rzeźbie.

- Skąd się wzięło, że jest pan notowany? - zapytała Karina, sama zaskoczona tym, że się wyrywa. Sandra poszła w jej kierunku uśmiezek mieszający zdziwienie z politowaniem.

- Z pewnością wtedy, gdy pani podkomisarz skądś sobie mnie przypomniła, bo rzeczywiście spotkaliśmy się już, ale zupełnie towarzysko. Wszystkiemu, rzecz jasna, był winien mój trochę nietypowy wygląd - westchnął. - Ale to już osobna historia.

- Czyżby zwykle pan nosił się inaczej? - powątpiewała Luiza.

- Oczywiście, szefowo, nawet mieszkam w domu. - Jego pogodny uśmiech zaczął wyprowadzać ją z równowagi. - A sadzonki będą wieczorem, jak mówiłem.

Nie odpowiedziała. Po prostu odwróciła się i wyszła.

Gdy zeskoczyła z tarasu, głęboko odetchnęła. Szczęśliwie dzisiaj udało jej się opuścić towarzystwo bez słów, których potem mogłaby żałować.

Goście nie odrywali wzroku od niedawnego ogrodnika.

- Sylwester opowiadała mi o panu - odezwała się niegłośno, ale wyraźnie siostra profesora. - Był zachwycony, że pana poznał i przekonany, iż razem zrobicie dużo dobrego. - Mężczyzna skinął głową. - Sprawdzałam w Internecie. Jest pan znany na świecie bardziej, niż w kraju. Kilka lat spędził pan w Stanach. Każda pana wystawa jest sukcesem, albumy również, choć w Polsce wydał pan tylko jeden. Urodził się pan w Starym Sączu, ma za sobą cztery małżeństwa.

- Tego ostatniego faktu proszę nie brać pod uwagę - wtrącił szybko rzeźbiarz. - Może być całkowicie mylnie interpretowany. Jeśli chodzi o ogrodnictwo, to akurat bardzo je lubię i chyba nieźle wszedłem w nową rolę. Natomiast - spoważniał - z powodów, o których powiem później, spóźniłem się na spotkanie z profesorem Płoninem i być może dzięki temu żyję. Ktoś prawie na moich oczach zamordował mojego znajomego. Nie zostawię tej sprawy swojemu biegowi. Obiecuję - popatrzył po obecnych - że dorwę sprawcę, choćbym miał w ogóle nie robić niczego innego.

*

Luiza wpadła do domu, jak furia. O mało nie zabijając się na schodach, pobiegła na górę i natychmiast włączyła laptop. Niestety, Internet nie odczuwał potrzeby pośpiechu w takim samym stopniu.

- Ruszaj z miejsca, ty chamie! Może ci pomóc? - Stukała pięścią, na razie w krzesło.

Konkretna groźba odniosła skutek i nazwisko „Jan Reising” znalazło się w wyszukiwarce.

Oczywiście zdjęcie. Krótko ostrzyżony i bez zarostu.

Świetne fotografie kilku jego tak zwanych dzieł. Któż za to płaci?

Cztery małżeństwa! Wstyd.

Obdarzyła ekran złym spojrzeniem.

- Niech ja jeszcze raz usłyszę „szefowo”. Pożałujesz do końca życia - zapowiedziała głośno i spokojnie. Niezycliwie przyjrzała się uśmiechniętej twarzy na ekranie.

- I teraz proszę z daleka ode mnie - odetchnęła z ulgą. Natychmiast jednak drgnęła, coś sobie przypominając: - I nie waż się nawet myśleć o jakichkolwiek sadzonkach! - krzyknęła ze złością.

Dalszy ciąg jednostronnego, lecz niebywale konstruktywnego dialogu przerwał, niestety, dzwonek do drzwi wejściowych, który niespodziewanie zadziałał.

- Właż! - krzyknęła. - I co, zebranie skończone? - Nie miała wątpliwości, kto przyszedł.

- Dla mnie tak. - Karina szczęśliwie pokonała schody. - Już tylko zachwycają się artystą rzeźbiarzem. Nie chciało mi się zostawać.

- Nie musiałaś. - Luiza wycelowała w nią palec. - Powiedziałaś, co trzeba i wystarczy. Bardzo się cieszę, że przygadałaś Robertowi.

- Ja? Chyba raczej jemu się to udało.

- O, nie! Ty mu słusznie zwróciłaś uwagę, a on zareagował jak cham. Nie było czasu, żeby go objechać, ale nic straconego. W sumie dziwię się - stwierdziła i wyłożyła nogi na stolik - bo zawsze uważałam go za normalnego, fajnego faceta. Mimo zawodowego zajmowania się pieniędzmi i posiadania ich.

Karina pokręciła głową.

- Nigdy nie lubiłam tego człowieka. I najwyraźniej z wzajemnością. Widzę, że - zmieniła temat - na wszelki wypadek sprawdzasz, z kim miałaś do czynienia.

- Słusznie użyłaś czasu przeszłego. Wierzę, że rzecz się nie powtórzy.

- No, nie wiem. Przecież pamiętasz, jak mówił - przypomniała bezlitośnie koleżanka - o sadzonkach. Przyniesie ci je wieczorem.

- Chyba żartujesz! - Luiza zacisnęła dłonie. - Mówić może, co chce, to wolny kraj. Ale o dalszym ciągu tak zwanej znajomości musi zapomnieć.

- Wiesz - Karina nawijała na palec długi kosmyk czarnych włosów - Bartosz wyraża się o nim bardzo dobrze. Z uznaniem.

Luiza aż odsunęła się na obrotowym krześle. Wbiła w nią badawcze spojrzenie kocich oczu.

- Rozmawiałaś z byłym? - zapytała spokojnie.

Wińska wyjęła z kieszeni niebieską frotkę i zaczęła wiązać koński ogon.

- Mów! - powtórzyła gospodyni.

Karina wzruszyła ramionami.

- Dzwonił przed chwilą - odpowiedziała szybko. - Ciesz się, że Jan Reising wziął sprawy w swoje ręce - nie speszył jej wyraz twarzy rozmówczyni - bo to jest mądry i odpowiedzialny człowiek.

Rudowłosa kobieta patrzyła nieruchomo, jakby widziała ją po raz pierwszy.

- No, nie! Mniejsza o zafascynowanie wykształconego człowieka przyglupem, takie mamy czasy. Ale dlaczego, powiedz uczciwie, z ręką na sercu, eksmąż wciąż jeszcze jest dla ciebie autorytetem?

Karina milczała. Nie potrafiła zebrać myśli, żeby sformułować coś rozsądnego. Czuła się winna, że w ogóle rozmawia z Bartoszem, ale przecież wolno jej.

- Wiem, nikt nie odebrał mu tytułu naukowego - kontynuowała Luiza - natomiast on nie ma już prawa wpływać na twoje życie.

- Nie wpływa.

- Ale na to, jak myślisz, owszem, prawda? Obiecuj mi, że przestaniesz odbierać telefony od niego. Jesteś w stanie?

Dziewczyna skinęła głową. To dobry pomysł.

- Obiecuję. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Dam radę.

*

Przemek Rosiński opuścił dom profesora tak szybko, jak potrafił. Z poczuciem całkowitej klęski spakował lap-top i kilka sztuk garderoby, które wziął ze sobą. Właśnie stracił promotora i

wizja doktoratu odeszła dalej, niż można by się spodziewać. W dodatku nie ma motoru. Dobrze chociaż, że go ubezpieczył. Pieniądze mu się przydadzą. Niewątpliwie.

Bardzo powoli, prawie noga za nogą, dotarł do skweru i usiadł na ławce. Rozumiał, że zaczyna odczuwać skutki porannego szoku i działanie tabletki uspokajającej, którą poczęstowała go pani Irmina. Powoli świat zaczął odpływać i, nie wiedząc kiedy, Przemek przymknął oczy i zapadł w sen.

Nie poczuł, gdy ktoś do niego podszedł. Nie słyszał, jak kilka minut później grupka przechodniów wezwała pogotowie. Nie wiedział, jak bardzo przeraził ich widok jego pociętego ubrania, a jeszcze bardziej, krwawej czerwieni, oblewającej ciało i wymodelowane na irokeza włosy.

*

- Mam nadzieję, że nie sklasyfikował mnie pan na podstawie jednego kretyńskiego tekstu. - Robert Gondor podszedł rzeźbierza z uśmiechem elegancko rozświetlającym jego smagłą twarz. Ten zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- A ma pan ich więcej? - spytał z zainteresowaniem.

- Głupich odezwań? Oczywiście. Na każdą okazję i szybciej, niż zdążę się zorientować.

- Mówi prawdę! - zawołała Sandra oparta o samochód.

Jan Reising w zastanowieniu zaczął skubać jasną, kędzierzawą brodę.

- Niebieskooka czarnowłosa, która się oburzyła, to kto?

Gondor machnął ręką z lekceważącym śmiechem.

- Była żoną Wińskiego, a teraz jest z powrotem sobą, czyli nikim. - Wzruszył ramionami. - Tak jej się po prostu coś powiedziało, chciała robić za inteligentną.

- Nie jest?

- Raczej sprytną, ale nie do końca, bo nie wyszło jej na stanowisku pani profesorowej.

- Jasne. Mówił, że się rozwiódł. A w ogóle - rzeźbierz spojrzał w sposób, o którego skuteczności musiał być przekonany - mam propozycję. Ja zreferuję panu, jak doszedłem do stanu kłoszarda, a w zamian dostanę opowieść o wszystkich, których teraz spotkałem. Na przykład odwożę pana do domu, a blond Wenus pojedzie sama. Może być?

Mężczyzna odgarnął czarne, proste włosy. Palce miał, mimo swojej budowy zadziwiająco długie i szczupłe.

- Dlaczego ja? - spytał.

- Bo tylko facet jest w stanie słuchać o moich przygodach. Potem rozpowszechni je pan w dowolnym wymiarze. Dla przyjaciół jestem Janek.

- Robert. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Widzę znowę. - Podeszła Sandra, krzywiąc się ostentacyjnie. - Dobra, wezmę kluczyki. Ale się nie zgub.

Obaj mężczyźni, ciemnowłosy, nieskazitelny, jakby prosto z okładki kolorowego pisma, i drugi z jasnym, kręconym zarostem, kłujący oczy obdartym dressem, poszli prosto w kierunku skweru, gdzie został zaparkowany granatowy SUV.

- Otóż pod koniec czerwca wyjechałem na plener - zaczął mówić Reising - z kilkoma znajomymi i grupą fajnych, zdolnych młodych ludzi. Już wtedy zapuściłem dość sporą brodę na usilne żądanie mojej przyjaciółki, której miałem pozować. Stwierdziłem, że nie ma sensu się golić, bo i tak planowałem warunki kompletnego luzu i oddalenia od nudnej cywilizacji.

- Gdzie byliście?

- Za piękną wsią o nazwie Mysice. Całkiem na ścianie wschodniej. W takie miejsca nie zabieram ze sobą żadnych niepasujących rzeczy, czyli niczego, co ma określoną wartość materialną. Byłem bez komórki, karty, kluczy, nawet prawa jazdy, bo używaliśmy starej terenówki

kolegi. Również bez kobiety, ponieważ dokładnie przed wyjazdem przyjaciółka, o której mówiłem, zerwała ze mną. Poinformowała mnie, że jestem egocentryczny, despotyczny i toksyczny.

Gondor aż zatrzymał się z oburzenia.

- Namalowała cię i rzuciła. Czyli wykorzystana. Trzeba było spisać umowę.

- Wiem, profesor mówił, że jesteś doradcą finansowym. Ale dla mnie - machnął ręką - zaczęły się większe problemy, chociaż nic ich nie zapowiadało. Córka naszych gospodarzy była rewelacyjna. Wyobraź sobie porcelanową figurkę z czarnymi, naturalnie skręcającymi się włosami i oczami jak płonące węgle.

- Nie chcę sobie wyobrażać - zaprotestował finansista. - Już czuję nieszczęście.

- Słusznie. Byłem od niej ze dwa razy starszy i wbrew pomówieniom na trzech pierwszych rozwodach, wcale niezrozumiała, toteż przewidywałem zadowolić się uczuciem estetyczno-romantycznym. Dziewczyna miała zresztą jakiegoś narzeczonego, ale bardziej umówionego, niż z miłości.

- I bardzo dobrze, trzeba było trzymać się z daleka.

- Oczywiście. Jednak rano przed naszym wyjazdem zjawiała się posiniaczona. Powiedziałem moim, żeby wracali sami, bo muszę coś załatwić, i wybrałem się szukać damskiego boksera. Znalazłem i nie miałem skrupułów z powodu różnicy wzrostu i wagi. Przeżył, bo nie jestem zabójcą.

- Podziękowała ci, jak należy?

- Bardzo jak należy. Uwierz mi, wiedziałem, że seks w warunkach stodoły może być dobry, ale nie przypuszczałem, że aż tak.

Doszli do samochodu. Reising zadowolony, że niczego nie zgubił w przepastnych kieszeniach rozlatującego się ubrania, otworzył samochód. Kilku przechodniów obrzuciło ich spojrzeniami.

- Jedziemy, zanim ktoś zaproponuje mi umycie również jego wozu. - Zaśmiał się wyraźnie usatysfakcjonowany swoim wyglądem.

Powoli ruszyli wąską ulicą, mijając siedzących na ławeczkach starszych ludzi i poprawnie ogrodzony plac zabaw za drzewami.

- Mów dalej, bo na razie ci zazdroszczę.

Rzeźbiarz skinął głową.

- Masz rację, że na razie, ponieważ następne, co pamiętam, to wieczór, kiedy się obudziłem całkowicie otumaniony i w jakichś krzakach. Nie miałem portfela, a mój dowód leżał pocięty i rozdeptany w najbliższej kałuży. Również ubranie zastąpiono mi czymś, co już wtedy pasowało mnie na kloszarda. Żeby było jasne, w ogóle nie kojarzyłem, dokąd zostałem wywieziony. Na szczęście pamiętałem, kim jestem i jak bardzo idiotą.

Gondor nie ukrywał zdenerwowania.

- Słuchaj, przecież to koszmar. Nie mam pojęcia, co bym zrobił. Jak sobie poradziłeś?

- Na początku w ogóle. Dowlokłem się chyba do sągu drewna, nie wiem dokładnie i przespałem noc. Rano byłem oczywiście kompletnie połamany, ale już wyparowało ze mnie to, czego mi dosypano najpewniej do kompotu z wiśni. Przyniosła go dla mnie, oczywiście po wszystkim, moja czarnooka dziewczyna. Zobaczyłem również, że znajduję się na kompletnym pustkowiu. Nie mogłem czekać na cud, powlokłem się miedzą w kierunku przeciwnym niż las, mający gdzieś daleko. Dalej pamiętam niezbyt dokładnie, że spotkałem jakiegoś dziadka z krową, który przysłał mi przez dzieci chleb i garnek mleka. Dowiedziałem się od nich, jak dojść do szosy.

- Bez pieniędzy, dokumentów, z wyglądem stracha na wróble?

- Dokładnie. Tyle, że wtedy już miałem szczęście. Zatrzymała się rozklekotana furgonetka i ktoś zapytał, czy chcę popracować na budowie. No i nic lepszego nie mogło mnie wtedy spotkać. Przez pięć dni, zanim dojechali spóźnieni zamówieni robotnicy, kilku takich jak ja stawiało jakieś

wielkie domisko, z dala od wszystkiego, ale w luksusowych warunkach. Mam na myśli dach nad głową, prowiant utrzymujący przy życiu i kilka złotych na wódkę.

- Naprawdę nie mogłeś zadzwonić?

- Naprawdę - roześmiał się rzeźbiarz. - Gdy usiłowałem to negocjować, posyłano mnie do diabła. Pomyślałem, że zdobywam niezwykle doświadczenie. Niespodziewanie zostałem wyizolowany ze swojego otoczenia, nie liczyło się nic, czym byłem do tej pory. Trochę jak w kosmosie.

Jechali Puławską, mijając park Morskie Oko, ulubione miejsce do biegania Sylwestra Płonina.

- Oczywiście chciałem wrócić na swoją planetę i wczoraj rano rozpocząłem podróż.

Najtrudniejszy był pierwszy etap, do Radzyna. Kawałek mnie podrzucono, potem musiałem złapać stopa.

- Ja bym się nie zatrzymał.

- Ja też nie, choć w czystym ubraniu wyglądałem dużo lepiej. Na szczęście innego zdania niż wszyscy był beżowy mercedes, a raczej jego kierowca, niesamowicie atrakcyjna kobieta.

- Brunetka?

- Ależ nie. Jasne, króciutkie włosy, czarna, wycięta bluzka i ogromna inteligencja.

Rozmawiało się nam świetnie, w pewnym momencie powiedziałem coś, czego nie pamiętam, ale ona zareagowała uśmiechem, stwierdziła, że pora na przystanek i skręciła w boczną leśną drogę. Opowiadając zachwycająco o ekologii, zaprowadziła mnie nad mały, bagnisty stawek. Bardzo malowniczy. Niestety, gdy pochyliłem się, żeby wyłowić jej chusteczkę, która nagle do niego wpadła, to wyobraź sobie, znalazłem się pod wodą. Zimną i ohydnie gęstą. Jak się domyślasz, moja znajoma popchnęła mnie, chyba z zamiarem utopienia, bo słyszałem, jak krzyczała: „Popływaj sobie trochę, głupia, seksistowska świni!” I oczywiście natychmiast odjechała.

Robert Gondor zdjął ciemne okulary i potarł czoło.

- Wiesz, jej się musiało bardzo nie spodobać to, co powiedziałeś w samochodzie. Może lepiej sobie przypomnij, bo w razie powtórki, niekoniecznie przeżyjesz.

Reising raczej lekceważył przestrożę.

- Ale ja nigdy nie miałem tego typu problemów. A wtedy akurat myślałem tylko o jednym.

Dostać się do miasta, czyli dojechać. Udało mi się późnym popołudniem. Za moje budowlane honorarium coś zjadłem i kupiłem bilet na nocny pociąg do Warszawy. Starannie, z powodu wyglądu, unikając policji i straży miejskiej, rano byłem na Dworcu Centralnym.

- Ja bym pojechał od razu do domu.

- Właśnie. Pamiętałem, że jestem umówiony z Płoninem za piętnaście szosta. Zamiast budzić moich sąsiadów, żeby odebrać klucze i dzwonić do niego, że się spóźnię, wolałem od razu pojechać na Floksową. Była mi w tym momencie bardzo potrzebna rozmowa z mądrym człowiekiem.

- To prawda. Od dziecka mogłem liczyć, że powie mi, jak postąpić.

- Nawet dałem mu się namówić na bieganie.

- I to o barbarzyńskiej porze.

- Lubię wczesnie wstawać, ale mieliśmy jechać na działkę w Przeglądzie i najpierw ją obiecać naokoło, a potem dopiero oglądać. Nie rozumiem, czemu przyjąłem takie warunki. - Reising rzucił krótkie spojrzenie na miejsce, gdzie kiedyś stał supersam. - Pod dom profesora dotarłem kilkanaście minut za późno.

- Na co? Żeby wylecieć w powietrze?

- No, nie. Może coś poszłoby inaczej.

Gondor roześmiał się krótko.

- Jakie inaczej? Mieliście wyjechać o szóstej i zero dyskusji. O szóstej dziesiątej ktoś dzwoni na numer komórki połączonej z bombą. Koniec z wami.

- Dlatego też znajdę drania - podsumował rzeźbiarz.

- Jeśli to nie tajemnica, skąd znałeś blondynkę policjantkę?

- Poznałem ją przy okazji takiego jednego morderstwa.

A właściwie dwóch. Pomagałem im trochę i z panią Kasią widzieliśmy się kilka razy. Natomiast z jej szefem, inspektorem Staniszem, niestety spotkaliśmy się dużo wcześniej i zaraz przestałem mieć narzeczoną.

- Żartujesz!

- Potem jego też rzuciła. - Finansista z zadowoleniem skinął głową. - Teraz on wyjechał do Stanów, a ja dziś rano miałem szczęście, że zostałem w końcu zidentyfikowany. Odwieźli mnie do domu, mogłem się trochę ogarnąć i być ogrodnikiem.

- Właściwie po co?

Jan Reising przez chwilę nie odpowiadał, z zastanowieniem skubiąc brodę w oczekiwaniu na zmianę światła.

- Czasem robię rzeczy bez większego sensu, bo mam taką potrzebę. Potem najczęściej okazuje się, że wyszło coś fajnego.

*

- Magda, nie płacz! - Mikołaj Płonin podszedł do siostry. - To nic nie da.

Wzruszyła gwałtownie ramionami.

- A wszystko musi coś dać? Do czegoś być potrzebne? Najpierw ucz się, bo to podstawa. Chodź na kursy, zaliczaj olimpiady, minimum dwa języki - mówiła coraz głośniej. - Na studiach licz średnią, musisz skończyć z wyróżnieniem, bo inaczej wstyd. Do tego koniecznie jakikolwiek sport, ponieważ zdrowie jest najważniejsze - wyjęła chusteczkę i rzuciła torebką przez pół pokoju - a naprawdę najważniejsze, żeby ktoś mógł się tobą spokojnie, rzetelnie pochwalić. Przed znajomymi, też wspaniałymi i z porównywalnie rewelacyjnymi dziećmi.

Mikołaj usiadł w rogu skórzanej kanapy. Jak automat zaczął przeszukiwać kieszenie dzinsów i podręcznego plecaczka.

- Rzuciłbyś, matole, wreszcie to cholerne palenie! krzyknęła. - Ciebie oczywiście cały czas chwalono dokładnie za wszystko, a mnie jeszcze dokładniej za nic! U mnie zawsze mogło być lepiej, tylko się nie postarałam, a tobie po prostu nie wyszło. - Wykrzywiła się w jego kierunku, przedrzeźniając, jak dziecko na podwórku. - Pamiętasz? Ja skończyłam ósmą klasę, a ty szóstą, było rozdanie świadectw. Ja na piątkach dostałam się do liceum wybranego przez ojca, drugiego w Warszawie, a ty miałeś co? Średnią trzy i pół. Dzięki wuefowi oraz - skandowała - zajęciom praktyczno-technicznym.

Zaczęła energicznie zbliżać się do brata, który odruchowo odsunął się i zasłonił poduszką.

- Pamiętasz, co wtedy dostałeś w nagrodę?

- Tak, rower.

- Najlepszy, jaki można było sprowadzić. Że się w końcu wyciągnąłeś z matmy. I z polskiego. Jeszcze, żeby ci nie było smutno z powodu moich piątek. A przypominasz sobie może, co ja otrzymałam z łaski ojca? Oczywiście, że nie. - Na chwilę zabrakło jej oddechu. - Dwa wypasione słowniki. Bo będą mi potrzebne. Miałam być wdzięczna i już myśleć o tym, jak będę pracować w liceum. Właśnie - odgarnęła jasne, gęste włosy, usiłując je zebrać i związać - pracować, bo to miał być mój atut. Ja pracowita, a ty zdolny. Po tatusiu. Następca - wycelowała w niego palcem - genialna kopia, przedłużenie życia.

Rozpłakała się na dobre.

Mikołaj wstał i objął ją. Przez chwilę milczeli przytuleni do siebie.

- Myślisz, że ja miałem fajnie? - spytał cicho. - Całe, dokładnie całe świadome życie pod presją tego właśnie, co powiedziałaś. Wiedziałem, że moje zadanie to być godnym ojca. Kontynuatorem. Nie cierpiałem szkoły, z wyjątkiem może lekcji chemii, ale musiałem studiować nauki społeczne.

Siostra, ze zmarszczonymi brwiami, poprawiła mu grzywkę.

- Nie mogłeś po prostu powiedzieć?

- Że nie chcę? W ogóle nie wyobrażałem sobie takiej akcji. To ty byłaś od kłótni z ojcem. - Skinęła głową z przekonaniem. - Wiesz, jak ci tych awantur zazdrościłem? A ja nie byłem w stanie nic powiedzieć, może dlatego, że on nigdy, przenigdy mnie nie skrytykował. Zawsze tylko dowartościowywał, zachęcał.

- Nawet nie wiem, jak to jest.

- Właśnie. I tego też ci zazdrościłem. Że jesteś silna, że chociaż ojciec cię nie docenia, wszystko ci się udaje. W szkole oczywiście też funkcjonowałem jako młodszy brat Magdy, świetnej uczennicy. Szkoda, że słabo ją przypominający.

- To przecież było dawno.

- Ale niewiele się zmieniło. Zobacz różnicę. Masz trzydzieści lat i tytuł doktora, dobrą, godziwie opłacaną pracę, fajnego faceta. Ja dwadzieścia osiem, skończone studia, napoczęte coś udające doktorat, czego zresztą nienawidzę, i nudną, bezsensowną pracę. W dodatku zawdzięczam ją wyłącznie mojemu nazwisku.

Siostra cofnęła się o krok i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- A wiesz, co chciałbyś robić?

- Oczywiście! - Skinął głową. - Nawet powiedziałem ojcu, ale on na to zaczął się dusić i wziął coś na serce. Więcej nie było rozmowy.

- No to gadaj - zaczęła, ale przerwała, ponieważ do pokoju weszła, a raczej wpadła, roztrzęsiona Irmina Dobrzyńska.

- Dzwonili z pogotowia - mówiła bardzo szybko. - Nie uwierzycie, po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić.

Rodzeństwo patrzyło na nią z niepokojem.

- Chodzi o Przemka Rosińskiego. Zasłabł z przerażenia. Bo ktoś rozciął na nim koszulę i oblał czerwoną farbą. Wyglądało podobno, jakby cały był we krwi i nieprzytomny, dlatego że zasnął. Ludzie wezwali pogotowie, on się obudził i od razu zemdlał. Ze strachu. - Usiadła zmęczona na kanapie. - Podał nasz numer stacjonarny.

- Nieprawdopodobne. - Magdalena rozdarła lśniące opakowanie dużej bombonierki i podsunęła ją ciotce.

- O co tu do cholery chodzi?

- Nie wiesz? - Mikołaj błyskawicznie chwycił czekoladkę. - O to samo, co w twoich SMS-ach. O zastraszenie. Idź na policję.

- Magda, idź na policję - powtórzyła Dobrzyńska.

Córka profesora uważnie obejrzała objaśnienia na dnie pudełka i wybrała pralinę kawową.

- Jasne, że pójdę - wzięła jeszcze cytrynową - ale najpierw muszę się zrelaksować, najlepiej na zakupach. Włożę pod prysznic, zmieniam ciuchy, jadę do galerii. - Stała już w drzwiach. - Pogadam z Luizą, może do mnie dołączy. - Wyciągnęła palec w kierunku brata. - A ty, kołku, na nic nie czekaj. Już dzisiaj bierz się za robienie tego, na co masz ochotę.

*

Wychodząca od Luizy Karina usiłowała zamknąć furtkę ogrodzenia, niestety, z powodu zepsutej klamki - bezskutecznie. Spojrzała na ogródek. Wyglądał już zupełnie inaczej, a jeśli dojdą jeszcze sadzonki, cała posesja naprawdę zyska na wyglądzie.

Poczuła ostro świeżące słońce, odbijające się od rozgrzanych płytek chodnika. Włosy wysunięte spod frotki opadały jej na ramiona. Może powinna nosić krótkie, skoro nie potrafi ich porządnie związać.

Zamyślona, szła w powoli, ściągając na siebie spojrzenia długimi, zgrabnymi nogami, których opaleniznę podkreślały jasne, dobrze leżące szorty. Wiedziała, bo nie mogła nie zauważyć, że jej figura podoba się mężczyznom. A jednak dałaby wszystko, co ma, żeby wyglądać tak jak Lila, jej młodsza siostra, która odziedziczyła po matce drobną budowę, a po ojcu kręcone włosy.

Karina, odkąd pamięta, czuła się za duża, za ciężka i ogólnie niezgrabna. Wprawdzie po rozwodzie trochę straciła na wadze, ale jakoś nie sprawiło jej to specjalnej przyjemności.

Właśnie skręcała w ulicę z pięknym skwerem i przystankiem autobusowym, gdy w jej płóciennej torbie odezwał się melodyjny dzwonek komórki. Jak zwykle, zanim w efekcie nerwowych i chaotycznych poszukiwań, spod kosmetyczki, portfela i kluczy wyciągnęła zaplątany w zeszyt telefon, sygnał ucichł.

Na ekranie wyświetlił się Bartosz.

Nie. Absolutnie nie oddzwoni. Zamknęła oczy i wrzuciła telefon tam, skąd go wydobyla.

Nie chce z nim rozmawiać. Nienawidzi go.

Z zaciśniętymi ustami, czując trochę złości, a przede wszystkim ogromny żal, nie zauważając nawet upału, dotarła do przystanku. Autobusu nie było pewnie od dawna, bo czekała już grupka złożona z kilku opalonych na brąz nastolatek, starszego małżeństwa zaopatrzonego w białe kapelusze i dwóch młodych kobiet z dziećmi w różnym wieku. Karina zapragnęła cienia i na szczęście mogła oprzeć się o gruby pień rozłożystego klonu. Po chwili nadeszło jeszcze kilka osób, a w oddali ukazał się wyczekiwany kwadratowy, czerwony kształt. Tak jak inni, nawet nie patrzyła na numer. Każdy wywiezie ich w kierunku centrum.

Automatycznie przepuszczając przed sobą wszystkich, wreszcie była, wprawdzie ledwie mając się czego uchwycić, ale niewątpliwie w drodze do domu. Do pustej kawalerki z miniaturową kuchenką i w dodatku zupełnie cudzej.

Młody człowiek tuż przy niej, obezwładniając zapachem dezodorantu, głośno rozmawiał przez telefon. Profil miał podobny do Bartosza, ale wzrost dużo wyższy.

Na kolejnych przystankach jacyś ludzie wchodzili i wychodzili, Karina oparta o chłodny drążek przy drzwiach nie zwracała na nich uwagi. Myślała o tym, że wcale nie chce iść na przyjęcie wieczorem, że niedługo skończy się jej umowa o pracę, a Wiola w każdej chwili może pokłócić się z chłopakiem i wtedy uprzejmie wyprosi ją ze swojego mieszkania.

Kilkanaście minut temu usłyszała brzęknięcie SMS-a w telefonie, ale w tym tłoku nie będzie go odczytywać. Nie spodziewa się zresztą niczego dobrego.

Autobus w małym niedzielnym ruchu szybko pokonywał odległości i już mijał uniwersytet. Magiczne miejsce. Dumna klasycystyczna architektura - wyglądająca zza ozdobnej, wijącej się czarnym żelazem bramy - która prawie dwieście lat wcześniej powstała w wyniku represji, a teraz jest symbolem godności i niezależności.

No właśnie. Patrzymy na coś, wydaje nam się, że rozumiemy. Jakoś nazywamy, popełniamy błędy. Potem za nie płacimy.

Karina westchnęła. Pora przestać rozmyślać, za chwilę trzeba wsiąść.

Poczekala, aż wyjdą dwie młode kobiety z dziećmi, i jako ostatnia schodziła ze schodków. Gdy była na najniższych i chciała postawić nogę na chodniku, stało się z nią coś, czego w przerażeniu nie mogła określić.

Poczuła na plecach silne pchnięcie i straciła równowagę.

Nagle, koszmarnie uczucie bezradności, błyskawiczna świadomość, że leci i nie wie, co się z nią za sekundę stanie.

Ból.

Leżała na chodniku. Wiedziała, że ma stłuczoną rękę i biodro. Zupełnie nie chciało jej się wstawać. Ostatnie, co pamiętała, to pełen nagany krzyk jakiejś kobiety w autobusie: „Niech pani uważa!”

Teraz była sama.

Para młodych ludzi przeszła obok.

- No, no, ostro było wczoraj - stwierdził chłopak, a dziewczyna roześmiała się.

Później chyba ktoś jeszcze zagwizdał z podziwem, jakaś mama odciągnęła od niej dziecko.

W końcu przeniknęło ją zimno betonu. Z dużym trudem podniosła się i naprawdę ucieszyła, że może stawiać kroki. Musiała mieć duże szczęście, ale najpewniej pomogły bardzo nielubiane w

dzieciństwie zajęcia karate. Tam nauczyła się dobrze padać i wyłącznie dlatego teraz ma głowę w całości. Szybko przemknęły przez jej pamięć sceny, gdy jako dwunastolatka nie chciała iść na trening, bo w tej samej grupie dziewięcioletnia Lila zawstydzała ją swoją szybkością i precyzją ruchów.

Dlaczego ciągle myśli o dołujących rzeczach? Powinna się cieszyć, że żyje i jest we względnie dobrym stanie.

Do domu miała blisko. Z przyjemnością znalazła się na chłodnym, zacienionym podwórku i powoli wchodziła na trzecie piętro, które teraz wydawało jej się dziesiątym. Poczowała ulgę przed swoimi drzwiami i zaczęła, rozsuwać zamek torby. Nagle, w absolutnej ciszy, usłyszała piętro wyżej ciężkie kroki. Ktoś wolno szedł w dół po schodach. Na kilka sekund zeszywniała z niewytłumaczalnego lęku, ale szybko, trzęsącymi się rękami, wyciągnęła klucze. Niewidzialne kroki słyhać było coraz bliżej, gdy wygrała walkę z zamkiem i oblana zimnym potem zamknęła drzwi od wewnątrz, od razu zawieszając łańcuch. Przyłgnęła do wizjera w nadziei, że wyjaśni się to, co słyszała, i uspokoi się. Daremnie. Przez dłuższy czas nie było widać nic. Kroki również ucichły.

Karina jeszcze drżąc i powtarzając jak mantrę: „Miałam szczęście. Nic mi się nie stało”, doszła do kuchenki. Dopiero w tej chwili zaczęła naprawdę odczuwać ból. Wypiła kilka szklanek wody, jedną po drugiej. Pamiętała o ziołowej maści na stłuczenia leżącej w apteczce. Marzyła o jednym. Położyć się.

Na tapczanie, przykryta kocem, bardzo chciała poczuć się dobrze i zasnąć. Powiedziała sobie kilkanaście razy: „Nic mi nie jest. Jestem bezpieczna”, najwidoczniej jednak nie była wystarczająco przekonująca. Sięgnęła więc do torby, którą na szczęście miała w przy sobie, i wyjęła swój ulubiony zestaw. Zeszyt i miękko piszący długopis.

Leżąc wygodnie, z brodą opartą na poduszce, zapełniła dwie strony równym pismem, prawie nie namyślając się i nie kreśląc. Po zdaniu „Księżniczka Ina, hamując łyzy, długo patrzyła na skrzydła odlatującego smoka” zapadła wreszcie w głęboki, krzepiący sen.

*

- No to teraz moja kolej. - Robert Gondor wyglądał, jak przed wygłoszeniem profesjonalnego sprawozdania.

- Opiszę ci wszystkich, jak będę umiał.

- Zaczynaj od pani Irminy. Niesamowita kobieta.

- Prawda? Zawsze taka była. Piękna, spokojna, łagodząca konflikty. Szkoda, że nie ma własnych dzieci, bo Magdą i Mikołajem opiekowała się wspaniale, gdy zostali bez matki. Sama owdowiała kilka lat później.

- Wypadek, czy choroba?

- Jedno i drugie. Alkohol.

Reising gwizdnął.

- Nie pasuje do niej ten temat.

- Bo przecież nie ona piła. Dobrzyński był podobno kiedyś obiecującym naukowcem, a potem szychą w budownictwie. Na różnych stanowiskach, ale zawsze odpowiednio wysokich. Nie wiem, kiedy zaczął na poważnie z wódą, bo krył się bardzo dobrze. Nawet jako dzieci nic nie wyszpiegowaliśmy. W końcu, zdaje się, serce nie wytrzymało. Ja akurat siedziałem wtedy w Austrii.

- Nie rozumiem, dlaczego taka kobieta za niego wyszła.

Gondor uśmiechnął się

- Ty nie rozumiesz? Po prostu miłość. I myślę, że trwa do dziś. Zobacz zresztą, jak jej służy. Jest trzy lata młodsza od brata, a wygląda wspaniale.

- Studiowali razem?

- Zdaje się, ale ona jest psychologiem społecznym. Kieruje poradnią, pisze artykuły, czasem razem z Płoninem. Są, to znaczy, byli bardzo zgodnym rodzeństwem.

- W odróżnieniu od dzieci profesora?

- Trochę tak. Ci non stop się kłócą - westchnął.

- W sumie, rzeczywiście trudno o bardziej różne osobowości. Magda to z wyglądu cała matka, a charakterem, sadzę, bardzo przypomina ojca. Zdolna, pracowita, konsekwentna. Ma swoje zdanie. Ale wujek chyba tego nie doceniał, bo nieuleczalnie patrzył w Mikołaja jak w swoją kopię. Niestety, tylko zewnętrzną.

- Nie lubisz go?

- Nie - Gondor rozłożył ręce. - Nie lubię. Jest leniwy, nieodpowiedzialny, przyzwyczajony, że wszystko dostaje za darmo. Na szczęście profesor brzydził się protekcją, więc kochany synek wylądował na prowincjonalnej uczelni w akademiku. Na rok przerwał studia i pojechał z kolegami do Francji, miał się rozwinąć intelektualnie, ale wyszło jak zwykle. Chyba przywiózł trochę pieniędzy, natomiast zapał do nauki zmniejszył mu się jeszcze bardziej. W końcu jakoś zrobił dyplom, uszczęśliwiając ojca, który kupił mu mieszkanie i wymusił na nim studia doktoranckie.

- Masz rację. Budujący życiorys.

Znów trafili na nieoczekiwany o tej porze korek. Robert Gondor wyciągnął się wygodnie w fotelu.

- Teraz kolej na rodzinę cioci Irmy, a raczej jej męża. Widziałeś obłą blondynkę z zacięciem w twarzy?

- Oczywiście.

- Teresa Chociej, siostra Dobrzyńskiego. Niewiele mogę o niej powiedzieć, bo kiedy wymawia pierwsze słowo, staram się natychmiast wyłączyć. Jest urzędniczką na poważnym stanowisku w administracji czegoś. Też nie chcę wiedzieć, czego. Natomiast jej mąż importuje i sprzedaje aparaty fotograficzne. I sadzę, że niczego im nie brakuje.

- A ich córce?

- Zauważyłaś! - ucieszył się finansista. - Adrianna skończyła filozofię i romanistykę. Z wynikiem bardzo dobrym.

- Czyli nie brakuje, tylko ma za dużo.

- No, sam nie wiem. Wygląda na to, że pracuje w jakimś dziwnym miejscu za dziwne pieniądze i ma zamiary, o których lepiej nie wiedzieć, skoro są tajemnicą.

- Nie pytałaś jej?

Robert skrzywił się z zakłopotaniem.

- Nie za bardzo mogę z nią rozmawiać, bo Sandra dostałaby szału.

- Zazdrosna? Nie żartuj.

- Skądże. Chodzi o to, że weszły kiedyś w zwarcie słowne, podczas którego Adrianna nazwała ją prostym urzędzonkiem do uśmiechania się. A w promocji ma mieć dołączone ruszanie myszą w dwóch kierunkach.

Reising uniósł brwi.

- O, stanowczo nie rozmawiaj i trzymaj się od tej sprawy z daleka.

Dojechali do ładnie położonego, strzeżonego osiedla, na którym mieszkał Gondor.

- Rzeczywiście, wersja twojej historii, którą podam do wiadomości, musi ulec zdecydowanemu ocenzurowaniu. Może wpadniesz na kawę?

Rzeźbiarz uśmiechnął się.

- Dzięki, ale muszę u siebie przejść ostatnią metamorfozę i wrócić do własnego wyglądu.

Uścisnęła sobie dłoń.

To prawda, coraz bardziej pragnął być znów sobą. Używanie powierzchowności kloszarda jest zabawne, jednak na dłuższą metę stanowczo nie do przyjęcia. Niestety, trzeba przyznać cywilizacji, że w końcu zawsze wygrywa.

Rzeźbiarz obiecuje sobie nigdy więcej nie chwalić się brakiem przywiązywania wagi do stroju. I wie, że już na pewno nie chce nosić brody.

Monotonię szumu silnika przerwały orzeźwiający dźwięki Marsza Tureckiego. Nie wiedział też, że tak lubi telefon komórkowy i Mozarta.

- Stary, nie mieszaj się w to. Rozumiesz, co mówię? - męski głos dobitnie rozbrzmiewał w całym samochodzie.

- Ogłuchłeś? A może już nie żyjesz? - Janek Reising pokręcił głową z dezaprobatą. - Więc się przyzwyczajaj, bo tak właśnie możesz skończyć.

- Witaj, Karol.

- Miło, że mnie poznajesz.

- Grozisz mi.

- Nie muszę, sam dla siebie stanowisz zagrożenie. - Głos o miłym z natury brzmieniu nabierał ostrego tonu irytacji. - Jesteś zarozumiały, nie antycypujesz skutków swojego działania, nie radzisz sobie z tak zwaną artystyczną intuicją - zaczerpnął tchu - czyli urojeniami, które w efekcie skłaniają cię do maksymalnie ryzykownych czynności.

Za szybami samochodu migąło znajome osiedle z klombami róż.

- W zasadzie część tych inwektyw już słyszałem, na przykład o zarozumiałstwie. Przy okazji spraw rozwodowych. O tak zwanym artyście też. - Rzeźbiarz uśmiechnął się do siebie. - Były jeszcze inne rzeczy.

- Pamiętaj, że teraz cię już nie uratuję. Jestem na innej półkuli.

- Oczywiście.

- Słuchaj, zabójstwo Płonina to nie są żarty ani pospolite wbicie komuś noża z zazdrości. Ci, którzy wkładają bomby do samochodów, w ogóle nie przebierają w środkach. Powtarzam, trzymaj się z daleka.

- Ja nie mam takich znajomych.

- Jasne. Ty nigdy nic. Ale jakichś nowych przyjaciół, jak najbardziej?

- Rewelacyjną rudą kobietę i niegłupiego człowieka od finansów.

- Robert Gondor. Trzydzieści sześć lat. Gdy kończył studia w Austrii, jego najlepszy kolega z pokoju miał niemiły wypadek. Strzał w tył głowy przy wyjściu z baru.

- Czyżby mu wyrwał dziewczynę? - spytał niewinnie Reising.

Nastąpiła cisza. Po chwili inspektor Karol Stanisławski odpowiedział całkiem spokojnie.

- Nie, ale wpłatał się w bardzo niebezpieczne interesy i Gondor miał przez to duże nieprzyjemności. Ciągle mi pamiętasz Weronikę?

- Nie, bo ciebie też rzuciła, ale lubię sobie pogadać. Wracając do sprawy, zapewniam, że obracam się między samymi godnymi zaufania ludźmi.

- Tylko, że jeden z nich właśnie wyleciał w powietrze. Bardzo cię proszę, zostaw temat fachowcom od przestępczości zorganizowanej.

- Nie wchodzę im w drogę. Mogę obiecać, że będę uważał.

- Uważaj i bądź rozsądny. Do widzenia, bo chcę cię jeszcze zobaczyć.

- Zobaczysz. Cześć.

Jan Reising dojeżdżał do Zielarskiej i swojego domu obsadzonego smrekami, mającymi stwarzać złudzenie, że mieszka w zupełnie innej części kraju. Wszedł do środka z jedną tylko myślą. Odzyskać dawny wygląd.

Przy pomocy maszynki bez problemów udało mu się doprowadzić jasne, zwijające się w pierścionki włosy do dawnej, prawie minimalnej długości i z wielką satysfakcją skasował brodę.

- Wreszcie jestem - stwierdził, patrząc w lustro. - Teraz przysznic i możemy wziąć się za planowanie najbliższej przyszłości.

- Córciu, pamiętasz, co mi obiecałaś? - Teresa Chociej ułożona w rogu kanapy właśnie przestała udawać, że czyta.

- Słyszysz mnie, kochanie?

Minęła dobra chwila, zanim umilkła cicha muzyka i w drzwiach pokazała się Adrianna. Niezmiennie, mimo upalnej pogody, w ciemnozielonych bojówkach, ale już tylko w czarnym podkoszulku z grubej bawełny, patrzyła na matkę uważnie, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- Owszem, pamiętam, że niczego ci nie obiecywałam.

- Kotku, żartujesz sobie ze mnie. Przecież rozmawialiśmy o dzisiejszym wieczorze i doszliśmy do porozumienia.

Dziewczyna z ostentacyjnym zdziwieniem uniosła ciemne brwi ponad oprawkę okularów.

- Aduniu, umówiliśmy się, że założysz dzisiaj jedną z nowych sukienek. Kremową albo wiśniową.

- Wiśniowy niech będzie jogurt Luizy.

- W tej kremowej pięknie wyglądasz. Pasuje ci do cery i ma śmieszne zmarszczenia.

Córka skrzywiła się.

- Jasne, żeby biust był większy? Na pewno nie powiedziałam, że założę jakąkolwiek sukienkę. Komu znowu mam się tam podobać?

- A może tę w łączkę w zielonej tonacji?

- Komu, powtarzam? Lakierowanemu nudziarzowi od robienia pieniędzy, słodkiemu nieudacznikowi od wielkiej nauki, czy może po prostu artyście od łopaty?

Matka z westchnieniem przeciągnęła opaloną dłonią po dekolcie. Wstała i poprawiwszy dobrze leżący na biodrach bladoniebieski materiał, nałapała do szklanki soku porzeczkowego.

- Wiesz, czytałam taką książkę. Amerykańską, obyczajową. Bohaterkę spotyka szereg niepowodzeń, traci w ogóle chęć do życia. Pewnego dnia chce z tym coś zrobić, zaczyna od siebie i zmienia swój wygląd z zaniedbanego na kobiecy i elegancki.

- Co oczywiście natychmiast powoduje jej sukcesy na każdym polu.

- Nie natychmiast, ale owszem, dziewczyna poprawia sobie samopoczucie i funkcjonowanie w społeczeństwie.

- Ja mam bardzo dobre jedno i drugie.

- Kochanie, rozumiem, że nie interesuje cię żaden z mężczyzn, którzy przyjdą do Płoninów, ale przecież ubierasz się dla samej siebie.

- No, właśnie.

- I nie możesz stale wyglądać, jakbyś jechała na szkołę przetrwania.

Adrianna uśmiechnęła się.

- Nie jadę - odpowiedziała grzecznie. - Cały czas na niej jestem, kiedy spotykam się z Płoninami i im podobnymi.

Teresa Chociej gwałtownym ruchem odstawiła szklankę z sokiem i podeszła do otwartego okna. Nie ukrywała zdenerwowania.

- O co ci chodzi? Pomóż mi zrozumieć. Skończyłaś dwa fakultety, które sama sobie wybrałaś. Mogłaś pracować naukowo albo wyjechać za granicę. Cały świat stał i dalej stoi przed tobą otworem - mówiła coraz bardziej nerwowo - a ty wolisz sterczeć za ladą w księgarni.

- Nie pracuję za ladą.

- Oczywiście! Bo tam pewnie nie ma nawet lady. I pozwalają ci chodzić w takim stroju.

- To jest księgarnia specjalistyczna. Albumów i poradników nie sprzedajemy.

Matka bezradnie pokręciła głową.

- Czy myślałaś choć przez chwilę, co chcesz zrobić ze swoim życiem?

- Oczywiście. - Córka odwróciła się w stronę swojego pokoju. - Zamierzam być w miarę szczęśliwa.

Usiadła za biurkiem na czarnym obrotowym fotelu i demonstracyjnie wzięła do ręki słuchawki.

- Samotna nie będziesz szczęśliwa.

Córka wzruszyła ramionami.

Pani Teresa z westchnieniem wsunęła nogi w klapki na koturnach i stanęła w drzwiach jej pokoju, w którym panował idealny porządek i tylko dwa kolory: czarny i biały.

- Nie chciałam się nigdy wtrącać, ale dzisiaj jest taki szczególny dzień. Pamiętam, wydawało mi się, to znaczy jestem pewna, że kiedyś Mikołaj Płonin patrzył na ciebie w specjalny sposób. Podobałaś mu się.

Adrianna znieruchomiała.

- Czy ty się dobrze czujesz? - spytała po chwili. - Po drugie, kiedyś, po trzecie, to głupek, a po pierwsze nie cierpisz Płoninów.

- Może raczej źle znoszę. Przyznaję, że Irma działa mi na nerwy, a Sylwester nie był wobec niej w porządku, przez co mój brat został ewidentnie poszkodowany.

- Pijany wujek Boguś - syknęła dziewczyna.

- Ale twój wujek i tego nic nie zmieni. A żona Sylwestra, niech spoczywa w spokoju, była zimna i zarozumiała. Magda wdała się w nią, jest egocentryczna, wyrachowana. W sumie Mikołaj bardzo się odróżnia od reszty rodziny. Na nieszczęście dla niego.

- Właśnie - Ada założyła słuchawki na głowę - bo to głupek.

*

Janek Reising, zaproszony przez Irminę Dobrzyńską na lunch z powodu ostatnich wydarzeń, zaparkował samochód dokładnie przed domem Luizy. Rzucił okiem, by sprawdzić, czy w głębi nie widać właścicielki, i na wszelki wypadek uśmiechnął się pięknie.

Niewidoczna za firanką na piętrze rudowłosa kobieta bez drgnienia na minimalnie opalonej twarzy o porcelanowej cerze i regularnych rysach, nieruchomo obserwowała postać rzeźbiarza, mało przypominającą to, co zapamiętała. Ostrzyżony, w idealnie czystych dżinsach i podkoszulku, z opalenizną muskularnego ciała, zdecydowanie bardziej nadawał się na bożyszcze kobiet, niż na kogoś potrzebującego wsparcia. Widać oczywiście, że jest całkowicie świadom wrażenia jakie wywiera, i stąd ten rozkoszny uśmiech, po którym każda ma obowiązek być zaszczycona oraz wielbiąca.

Odeszła od okna, mimowolnie potrząsając płomiennymi włosami, jakby chcąc od razu wyrzucić z pamięci to, co widziała przed chwilą.

Tymczasem Reising witał się z siostrą profesora, która nie próbowała ukryć zaskoczenia jego zmienionym wyglądem.

- W zasadzie pana nie poznałam - uśmiechała się.

Tak jak rano, nie mógł przestać podziwiać jej profilu i wspaniałego kształtu głowy. Ciemne włosy, krótko obcięte przez bardzo dobrego fryzjera, zdobiły malowniczą grzywką czoło z równo zarysowanymi brwiami. Ocienione długimi rzęsami oczy patrzyły z tą samą uwagą i mądrością, co u jej brata.

- Nie mam talentów kulinarnych i specjalizuję się głównie w lekkim uszlachetnianiu gotowych dań - żartowała - ale mam nadzieję, że będzie panu smakowało.

Rzeczywiście, niezależnie od ostatniego, niezbyt komfortowego trybu życia, rzeźbiarz z całkowitą szczerością chwalił, świetnie udające domowe, kotlety ze sklepu i surówkę. Nie do uwierzenia, że zupa pochodziła z torebki.

- Myślę o Sylwestrze, panie, Janku. - Gospodyni już nie grała roli osoby pogodnej. - Czy wplątał się w coś mimo woli, czy przesadził z prostoliniowością?

- Stawiałbym na to drugie.

Westchnęła.

- Ja również, zwłaszcza, że od kilku miesięcy pisał książkę - pokręciła głową - czym nie byłam zachwycona.

- Świetnie - ucieszył się Janek. - A o czym?

- Niestety o prawdzie. Wspomnienia począwszy od czasów, kiedy zaczął działać w Solidarności. Logicznie, rzetelnie, pedantycznie.

- Czytała je pani?

- Nie, chociaż mało brakowało. Zastałam go kiedyś przy komputerze, ale po prostu wyprowadził mnie z pokoju. Powiedział, że nie pokaże mi ani jednej linijki, dopóki nie będzie całkowicie pewien, jak ujmie pewne rzeczy. Rozumie pan?

- Niestety. Kto jeszcze wiedział o książce?

- Bartosz Wiński miał mu pomóc od strony literackiej, Robert Gondor planował, jak ją dobrze wydać. Być może Przemek Rosiński. Policja ma też przesłuchać Anetę, która sprzątała u Sylwestra. Koleżanka Sandry, bezrobotna z dyplomem. - Pokiwała głową. - Tak, Niestety. I muszę przyznać, że wczoraj wyczyściła dom, jak nigdy. A wracając dotematu, spodziewam się, że jakieś informacje ma Rysiek Bogocki, jako kolega jeszcze ze studiów.

- Rektor uczelni?

Skinęła głową.

- Trzymają się razem cały czas.

- Więc na pewno wiedział. Mówiła pani policji?

- Nie od razu, bo byłam półprzytomna, ale potem, kiedy poinformowali nas, że sprawdzili pusty budynek naprzeciw i tę nieczynną spółdzielnię „Arabella”. Tam na pewno nikt się nie ukrył, żeby uruchomić ładunek.

- Czyli zrobił to ktoś, kto obserwował dom z daleka na przykład przez lunetę, ale to trochę dziwne. Albo znał doskonale obyczaje profesora.

Nalała do szklanek soku jabłkowego.

- Policja też była tego zdania. Powiedzieli, że sprawdzą wszystkie możliwości, ale raczej myśleli o tej drugiej. Poza tym - wzięła głęboki oddech - musi pan wiedzieć, że Magda dostała dwa anonimowe SMS-y. Jeden: „No i co teraz?”, drugi: „Teraz ty uważaj”.

Reising prawie podskoczył na krześle.

- No nie! Przecież to oczywiste pogrożki. - Skinęła głową. - Czy policja wie?

Spuściła oczy.

- Magda powiedziała im, kiedy stała się taka dziwna rzecz z Przemkiem. Wcześniej dałam mu tabletkę, bo był w hysterii. Pomogła. Spakował torbę i poszedł. Okazało się, że gdy przysnął na ławce, ktoś pociął mu koszulę i oblał czerwoną farbą. Wyglądało, jakby był ciężko ranny, ludzie zawołali pogotowie. Kiedy przyjechało, obudził się i zemdlął ze strachu, więc zabrali go, żeby zbadać. Co pan na to?

Unióśł brwi.

- W sumie mogło być gorzej. Ktoś na razie straszy. Pytanie, co dalej.

- Dlaczego Magdę i Rosińskiego, a nie na przykład mnie? O co temu komuś chodzi?

Rzeźbiarz popatrzył na nią swoimi srebrnoniebieskimi oczami w sposób, który zwykle każdemu dodawał siły.

- O to, żeby się bać, ale tego właśnie państwu nie wolno. A dlaczego oni? Uczeń profesora i jego córka. Jakby następcy. Ale żyją i to się liczy. Teraz naszą rolą jest znaleźć mordercę pani brata i ochronić rodzinę.

- Ale to mógł być każdy. W dowolnym miejscu na świecie wcisnąć guzik komórki.

- Technicznie, owszem. I dlatego nie ma mowy o alibi, a my musimy wymyślić, dlaczego ktoś to zrobił. Wymyślić albo wyczuć. Dlatego - uśmiechnął się - mam proste pytanie. Co z kobietami w życiu profesora? Mnie się nie zwierzał ani nie chwalił.

- Bo taki był. - Podeszła do okna, za którym widniały ślady porannej tragedii. - Skromny i chroniący prywatność. Jednak chyba prywatność właśnie utracił, bo zaczynam rozumieć, że aby

znaleźć mordercę, trzeba przeanalizować całe jego życie. - Nie odwracając się, mówiła dalej: - Na studiach było ich jakby trzech muszkieterów: Sylwester, Rysiek Bogocki i mój mąż. Jako czwarta, prawie d'Artagnan, Gośka Leniewicz. Szalenie zdolna, ambitna, z najlepszymi widokami na błyskotliwą karierę. Może akurat - wzruszyła ramionami - nie bardzo ładna. Ale, mimo że w dodatku mało dbała o wygląd, odbierano ją jako osobę zdecydowanie atrakcyjną.

- Ruchliwa, inteligentna, dowcipna, świadoma swoich zalet?

- Dokładnie. Dla Sylwestra była tylko dobrą koleżanką, wyszła zaraz po studiach za Ryśka i przyjaźnili się cały czas.

- Profesor miał chyba spore powodzenie u kobiet?

Uśmiechnęła się blade.

- Owszem. Podobał się koleżankom już w szkole podstawowej, potem w liceum stale się umawiał. Na studiach tak samo, ale większość czasu spędzał ze swoją paczką, w której ja znalazłam męża.

- Właściwie całkiem zrozumiałe. Wyszła pani za kolegę starszego brata.

- A on ożenił się z moją koleżanką. - Pani Irma wróciła do stołu i usiadła naprzeciw rzeźbiarza, który mógł patrzeć w jej duże, pięknie wykrojone oczy. - Nic dziwnego, bo Maja była naprawdę niezwykłą. Naturalna blondynka o nieskazitelnej urodzie. Ponieważ ubierała się świetnie, wyglądała trochę jak z filmu amerykańskiego.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - domyślił się Janek.

- Nawet niekoniecznie. Oczywiście, spodobała się Sylwestrowi natychmiast, jak każdemu mężczyźnie, ale zainteresował się nią naprawdę, kiedy zrozumiał, że jest też mądra i wartościowa.

- I byli bardzo dobrym małżeństwem.

- Byli. Zawsze zgodni, razem konsekwentnie wychowujący dzieci. Kiedy w dziewięćdziesiątych latach Sylwester wyjechał do Stanów, Majka potrafiła, nie zaniebując Magdy i Mikołaja, nadal rozwijać się naukowo. Potem, gdybrat wrócił, kupili ten dom i wtedy... - przerwała, wyraźnie czując, że łamie jej się głos

- Zdarzyło się nieszczęście - podpowiedział.

- Tak. Zaatakował rak płuc. W dzisiejszych czasach może by z nim wygrała, a może nie. - Zamilkła na chwilę. - Podziwiałam Sylwestra, jak się nią opiekował i jak zniósł jej utratę.

Reising odczekał, aż pani Irmina odegna powracające wspomnienia.

- Minęło tyle lat - powiedział cicho. - Czy profesor nikogo sobie nie znalazł?

Kobieta zaczęła powoli zwiijać serwetkę na stole.

- No właśnie. Nic nie mówił, ale Uważałam to nawet za zabawne - mówiąc, patrzyła ciągle na lśniący, mahoniowy blat - a trochę banalne, ale pojawiła się w jego życiu młoda dziewczyna. Śliczna asystentka. - Uniosła bezradnie ramiona. - Pewne sytuacje widocznie muszą się zdarzyć, ale on chyba uważał sprawę za niestosowną, bo usiłował trzymać ją w tajemnicy.

- Rozumiem, że bezskutecznie.

- Nigdy nie umiał kręcić, kłamać, zawsze był bardzo prostoliniorny, więc teraz też bez trudu dało się rozszyfrować, co jest między nimi.

- Bywała tutaj?

- Chyba nie, ale zdarzały im się dość częste wspólne wyjazdy za miasto. - Uśmiechnęła się lekko. - Wzruszająco nieudolnie ukrywane.

- No, jasne. I normalne. - Janek Reising uchwycił we wzroku Dobrzyńskiej trudny do opisanego smutek. - A ja zazdroszczę profesorowi, ale nie tej dziewczyny, tylko pani. Takiej siostry.

Patrzyła w dal.

- Nie wiem, jaką byłam siostrą. - Potrząsnęła głową.

- Myślę, że nienajgorszą. Ale to nie pomogło.

Rzeźbiarz chciał powiedzieć coś krzepiącego, jednak, co zdarzało mu się bardzo rzadko, nie umiał znaleźć odpowiednich słów i przygnębiająca cisza trwałaby dłużej, gdyby nie została przerwana delikatnym sygnałem komórki pani Irminy.

Kobieta odebrała telefon spokojnie, prawie automatycznie, jednak po kilku sekundach jej delikatna twarz o klasycznych rysach nagle zastygła w niemym przerażeniu.

- Już jadę - rzuciła krótko, wstając z krzesła. - Dzwoniła Magda. Z pogotowia. W galerii ktoś zepchnął ją ze schodów.

Myślał, że źle usłyszał, ale niestety nie.

- Jak się czuje? Taki upadek może być bardzo groźny.

- Podobno dzięki dużej torbie ochroniła głowę. Oczywiście nikt nic nie widział. Panie Janku, zajmę się nią, a pan, bardzo proszę, niechże coś zrobi z tym wszystkim.

*

Karina obudziła się po ponad godzinie. Najpierw nie rozumiała, jaka jest pora dnia i czego rzeczywistość w ogóle od niej oczekuje. Ta nieświadomość, zamiast być płynnym przejściem od snu do aktywnego życia, spowodowała lęk, a nawet panikę. Jednak tylko chwilowo, ponieważ, jak na ironię, ból stłuczonego ramienia uspokoił dziewczynę natychmiast, dokładnie przypominając jej wszystko.

- Mogło być gorzej - powiedziała głośno - dużo gorzej.

Prysznic brała długo. Chciała uwierzyć, że strumienie letniej wody, spływające po jej włosach i ciele, powoli zmywają kilka ostatnich godzin, które chciałaby wymazać z życia.

- Wszystko w porządku - stwierdziła, zawijając się w gruby, zniecierpliwiony zresztą, szlafrok.
- Nic mi nie jest i zaraz będę w dobrej formie.

Stwierdziwszy, że mieszkając sama, zaczyna mówić do siebie, rozpoczęła poszukiwania w lodówce czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia na ciepło.

Gotowanie od zawsze było jej słabym punktem, a Bartosz nie stracił żadnej okazji do podkreślenia, że nie stworzyła prawdziwie domowej atmosfery. Właściwie początkowo, wykorzystując różnego rodzaju poradniki, usiłowała zachwycić go swoimi zaletami jako pani domu, jednak z nikłym skutkiem. Uznała, że jest klinicznie nieporadna i wszystko, co działa, musi spotkać się wyłącznie z politowaniem, a czasem nawet ze zwyczajną kpiną. Może więc skazana jest na życie w pojedynkę.

Znalazła kilka niedużych, panierowanych kawałków czegoś, co dwa dni wcześniej przyniosła hermetycznie opakowane ze sklepu spożywczego. Do tego połówka pomidora. Świetny obiad. Czy kiedyś będzie miała ochotę przygotować dla siebie jakieś danie, które przynajmniej będzie ładnie wyglądało? Bardzo wątpliwe. Ale teraz też nie ma powodu do narzekań. W połączeniu z gorącą herbatą, danie smakowało naprawdę dobrze.

Karina związała wilgotne jeszcze włosy, umyła zęby nową, przyjemną pastą i kilka razy opłukała twarz zimną wodą. Zrzuciła żółty szlafrok frotte, prezent od Lilki, zamieniając go na cienką, bawełnianą podomkę w banalny, różowy wzorek na białym tle. Kupiła ją po rozwodzie, ponieważ wcześniej jej mąż z zasady potępiał ranny nieład w stroju, a co dopiero taki luz w ciągu dnia.

Prawda, ale kolor i wykrój dekoltu są tak udane, że chciałaby, jak niczego innego, żeby Bartosz ją teraz zobaczył. Tak, dostrzegłaby w jego oczach ten błysk podziwu, który sprawiał, że czuła się kimś innym niż przez całe życie.

Jakże bardzo pragnęła jego obecności, bliskości! Zamknęła oczy, usiłując wyobrazić go sobie siedzącego obok. Niech chociaż przez chwilę poczuje się jak dawniej.

*

- Może przynajmniej napijesz się wody?

Profesor Ryszard Bogocki usiadł obok żony, która z zamkniętymi oczami leżała na tapczanie w znoszonych dżinsach i starym, wzorzystym podkoszulku. Proste, nieokreślonego koloru włosy

rozrzucone na ciemnej skórze obicia nie zasłaniały twarzy, ukazując profil ze zbyt dużym, wąskim nosem, ledwie zarysowanymi brwiami i drobną siecią zmarszczek wokół ładnie wykrojonych ust.

- Tak, ale później - odezwała się cicho.

Jej mężowi, silnie zbudowanemu mężczyźnie z lekką nadwagą, upał wyraźnie dawał się we znaki. Zdjął okulary i bezradnie przetarł czoło.

- Ja też cały czas myślę. - Sięgnął po szklanke, ale tylko obracał ją w dłoni. - Nie mam pojęcia, dlaczego to się stało. Nie rozumiem, jaki mógł być powód. Może tobie przychodzi do głowy rozsądne rozwiązanie.

- Jeżeli nic nie wiesz, chociaż spędzałeś z nim tyle czasu, to co ja mogę mieć do powiedzenia? - Usiadła podciągając stopy. - Albo chodzi o nieszczęsną działkę w Przeglądzie i tego jakiegoś Jakubka, albo napisał o jedną rzecz za dużo w swojej durnej książce, albo wpłatał się w coś jeszcze innego. Ale chyba byś zauważył?

Bogocki rozłożył ręce.

- Chyba. Teoretycznie tak. Jednak, ponieważ nie wiadomo, co to może być, nie da się niczego stwierdzić. Z drugiej strony, Sylwester nie wyglądał na kogoś, kto czuje zagrożenie.

- A przecież nie był ani młody, ani głupi.

- Przeciwnie. Rozsądny i rzeczowy. Takie też miały być jego wspomnienia.

- Czytałeś je?

- Bardziej słyszałem. - Wstał i otworzył szerzej drugie okno. - Kiedyś wieczorem zadzwonił do mnie, zapytał, czy mam ochotę posłuchać akapitu, który mu się udał jak żaden inny.

Odgarnęła włosy, uśmiechając się z pobłażliwością.

- I co, rzeczywiście był taki dobry?

- Był. - Odetchnął głęboko świeżym powietrzem. - Napisany zwartym, klarownym stylem.

Ani jednego słowa za dużo. Fragment z czasów tuż po naszych studiach, o dyskusjach, podziałach, odbitkach prasy zagranicznej, wiesz sama.

- Jakieś nazwiska?

- Nie było.

Małgorzata Bogocka patrzyła na męża zmrużonymi, zmęczonymi oczami.

- Może w innym kawałku nie było wprawdzie słowa za dużo, ale na przykład za dużo o jedno nazwisko. Przypomnij sobie, co i o kim Sylwester mógł wiedzieć. A raczej, co obaj wiecie. Zanim - załamał jej się głos - zrobi się za późno.

*

Luiza Drogosz kończyła przełykać kawałek znalezionej w lodówce, szybko rozmrożonego i nawet w miarę usmażonego befsztyka. To mało skomplikowane danie urozmaiciła zielonymi oliwkami, wyciąganymi ze słoika, i po głębokim zastanowieniu zrezygnowała z popicia go wiśniowym jogurtem, czym, być może, uratowała sobie chwilowo trochę zdrowia.

Na sygnał komórki zareagowała przekleństwem, jednak po obejrzeniu jej ekranu odetchnęła z ulgą.

- Cześć, Robert! - Rozgryzła oliwkę.

- Nie zjadłabyś ze mną lunchu?

Lubiła jego niski, trochę aktorski głos.

- Zjadłam bez ciebie. Pokłóciłeś się z Sandrą, czy czegoś potrzebujesz?

- Potrzebuję pogadać.

- OK. Przyjeżdżaj.

Dobrze, że porozmawia z kimś normalnym. Zwłaszcza, że jest o czym.

Bardzo nie lubiła brudnych naczyń, więc od razu zajęła się zmywaniem i nie zdążyła osuszyć rąk przed następnym dzwonkiem telefonu. Ucieszyła się, że to Magda Płonin, ale już po pierwszych słowach zrobiło jej się po prostu zimno. Siadła bezwiednie na drewnianej podłodze.

- Dlaczego nie pojechałam z tobą do tej choliernej galerii?

*

Janek Reising wiedział, że musi znaleźć się zupełnie gdzie indziej, żeby spokojnie pomyśleć. Spokojnie, ale czy konstruktywnie, to już zupełnie inna sprawa.

Na razie chodzi o jedno. Jak najdalej.

Nie zwracając uwagi, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało, na malownicze otoczenie, zajął się wyłącznie prowadzeniem samochodu. Jechał przez rozpaloną słońcem i niedzielnie spokojną Warszawę prosto do centrum, bez szczególnego pomysłu na zatrzymanie.

W ten sposób minął Świętokrzyską i zbliżając się do placu Bankowego, pomyślał o ukłonie dla Juliusza i złożeniu mu po raz setny chyba gratulacji z powodu podjęcia ryzykownej decyzji niezostania porządnym urzędnikiem skarbowym.

Skręcił w Świętojerską. Już po chwili znajdował się w całkiem innym otoczeniu, a może nawet w innych czasach. Barokowa brama Parku Krasińskich zaprosiła go do świata dyszącego zielenią, uwodzącego kolorami i zapachem kwiatów.

Niespodzianka w tym miejscu w Warszawie - stawek z wyspą i w dodatkowym prezencie skalna kaskada. Reising usiadł przy namiastce górskiego strumienia, mając w perspektywie ozdobioną fontanną, dostojną i delikatną fasadę Pałacu Krasińskich. W tym ogrodzie czuł się inaczej. Trochę jak gość właścicieli, którzy nade wszystko cenią rozsądek i elegancję. Patrząc na krzak róży, usiłował zebrać w myślach wszystko, co łączyło się z porannym, na razie niezrozumiałym koszmarem.

Płonin został zabity bombą w swoim samochodzie, czyli naraził się komuś, kto preferuje takie właśnie metody. Alibi nie ma nikt, ponieważ każdy mógł uruchomić ładunek z komórki, nawet udając, że śpi. Pewnie ważna jest pora. Zawsze o szóstej profesor wyjeżdżał do parku na poranny bieg i gimnastykę.

Jedynym jak dotąd rozsądnym motywem wydaje się książka. Nie wiadomo, jaka sensacja i o kim znalazła się na jej stronach albo miała się znaleźć. Trochę mniej przekonuje sprawa Przeględy, którą nieznanym bliżej Jakubek bezskutecznie chciał odkupić. Ale kto wie, jakie tajemnice potrafią się kryć w takiej dziurze.

Poza tym wszystkim, profesor mógł zaplatać się jeszcze w inną historię i nawet nie musiał zdawać sobie sprawy, że w coś się pakuje.

Kto zyskiwał na jego śmierci? Oczywiście dziedziczący. Magdalena, inteligentna, zorganizowana dobrze ustawiona w Niemczech, może potrzebowała środków na rozwinięcie czegoś własnego. Mikołaj, trochę mniej udany, nie pogardziłby łatwą kasą, nie wiadomo, czy nie ma na przykład długów.

Irmina Dobrzyńska, siostra Płonina. Mądra i kochająca, prowadząca własne życie, realizująca się zawodowo. Miałaby zabić młodszego brata? Bez sensu.

Teresa Chociej, nieduża blondynka w okularach. Kiedyś mogła być zgrabna, teraz bezkształtna i skwaszona. Dalekie powinowactwo, mąż dobrze handluje, córeczka malkontentka. Jak skorzystaliby na wciśnięciu guzika komórki?

Ryszard Bogocki i jego żona. Koledzy od zawsze pracujący razem. Kupiliby od Magdy i Mikołaja udziały w uczelni? Boją się wydrukowania książki?

Asystentka, z którą romansował. Przecież chyba jej nic nie zapisał.

Robert Gondor. Prowadził finanse profesora, czyli w grę wchodzi praktycznie wszystko i trzeba siedzieć w branży, żeby wyliczyć, na ile sposobów da się klienta naciągnąć. W dodatku ma piękną dziewczynę, o której na razie nic nie wiadomo.

Luiza z sąsiedztwa. Fantastyczna. I chyba nie kłóciła się z Płoninem o miedzę. Poza tym, w razie czego prędzej by udusiła albo chociaż zastrzeliła, niż na zimno planowała morderstwo i to jeszcze elektroniczne.

Przemek Rosiński. On na pewno nic nie zyskał, a właśnie najbardziej stracił. Jest zdenerwowany, ale inaczej byłoby dziwne.

Bartosz Wiriski i jego była żona. Ponoć czytał książkę. Prowadził wykład na uczelni Płonina. Może ten o nim coś wiedział? Dziewczyna ładna i wycofana. To się rzadko zdarza. W dodatku staje w obronie słabszych. Mąż wyrażał się o niej jako o uciążliwym balaście. Gondor uważa ją za wyrachowaną, ale może w sprawach małżeńskich nie musi być ekspertem.

Na dodatek do wszystkiego anonimowe SMS-y, malownicze ostrzeżenie Rosińskiego i niestety chyba poturbowanie Magdy Płonin, bo na ogół nie spada się samodzielnie ze schodów w galerii. To wprawdzie znacząco mniej niż podłożenie bomby, ale czy można wykluczyć, że całe towarzystwo wrobiło się w jakąś ponurą historię?

Przyjemny cień w upalnym dniu, zapach kwiatów, a w dodatku noc spędzona w pociągu sprawiły, iż rzeczywistość powoli zaczęła się oddalać i po chwili Reising zwyczajnie spał.

We śnie wybierał się jakby nigdy nic na przejażdżkę z Sylwestrem Płoninem. Zdziwiony, bo przecież wiedział, że ten nie żyje, a jednak siedział w jego samochodzie i czekał. Zamiast profesora, nie wiadomo jak, zjawił się Przemek Rosiński. Usiadł na miejscu kierowcy, półżywy ze strachu. Janek pomyślał, że ktoś w takim stanie nie może prowadzić, usiłował coś powiedzieć, ale nie umiał. Bezsilnie słuchał, jak chłopak drżącym głosem powtarza: „Nie rozumiem, nie rozumiem”.

Nagle za przednim oknem zobaczył Luizę, która prawie leżąc na masce samochodu, zaglądała do środka, śmiejąc się w jakiś szatański sposób. Chciał krzyknąć, żeby przestała, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ona w czarnej sukience wieczorowej zaczęła uderzać w szybę dłonią, owiniętą również czarną biżuterią. Usłyszał potworny huk i obudził się.

Zdumiony i szczęśliwy, że siedzi na ławce w parku, odetchnął głęboko. Niewiarygodne. Bardzo rzadko śni mu się cokolwiek. Najwyraźniej też lepiej, żeby tak zostało. Wolałby nie mieć więcej podobnych przeżyć ani ich analizować. Chociaż pamięta doskonale, że jego babcia przywiązywała do snów ogromną wagę.

Swoją drogą ciekawe, czy Luiza ma taką sukienkę.

Na razie może uda mu się wypić gdzieś kawę, a potem złożyć wizytę Rosińskiemu i nie wracać do koszmaru sprzed chwili.

*

Robert wbiegł po schodach we właściwy sobie sposób. Szybko i z dużym hałasem.

- Cześć! Błagam o gorącą herbatę. Muszę strawić fast fooda.

Luiza szeroko otworzyła oczy.

- Niezbyt pasuje na niedzielny obiad.

Machnął ręką.

- Sandra ma coś ważnego u koleżanki, a ja lubię hamburgery. Odbiję sobie u Płoninów.

- Wobec tego, herbata. - Luiza, odgarniając włosy z czoła, zajęła się elektrycznym czajnikiem. - Powiem ci od razu. Magda dzwoniła z pogotowia. W galerii zepchnięto ją ze schodów. Na szczęście tylko się potłukła. Przedtem dostawała SMS-y z pogrózkami w stylu „Teraz ty”. Zgłosiła wszystko policji.

Gondor oniemiał.

- Mógłbyś mieć inteligentniejszy wyraz twarzy - skomentowała nerwowo.

Wziął głęboki oddech.

- Słuchaj, to nie są żarty. Ktoś musiał ją śledzić

- No i nie rozumiem. Byłam w oknie, kiedy Magda zawołała do mnie, czy pojedę z nią na zakupy. Ja głupia odmówiłam, bo musiałam jeszcze dzisiaj skończyć opóźnioną robotę, żeby rano była w komputerze szefa. Gdybym pojechała, taki napad byłby niemożliwy. Swoją drogą - napełniając filiżanki, czuła irytujące drżenie rąk - naokoło było pusto. Gdyby ktoś ją śledził, musiałby gdzieś tutaj być.

- W zasadzie tak. - Podeszedł do okna. - Ale niekoniecznie. Rano też ktoś wiedział, co zrobi profesor.

- Magda mówiła jeszcze, że ten budynek naprzeciw jest poza podejrzeniem.
- Tak przypuszczałem. - Sięgnął po herbatę. - Nie wiemy kto, nie wiemy jak ani dlaczego.
Myślałem o tym Jakubku od Przegłędy, bo rzeczywiście mu zależało, ale chyba nie do tego stopnia.
Nie potrafię go sobie wyobrazić w charakterze mordercy.
- Może mieć specyficznych przyjaciół, ale to przecież policja sprawdzi.
- Nie przychodzą ci na myśl żadni znajomi profesora?
Uśmiechnęła się blado.
- Nigdy nie mieliśmy wspólnych znajomych. Ani specyficznych, ani żadnych innych. -
Zamilkła na moment, bawiąc się cienkim uszkiem filiżanki z dobrej porcelany. - Ty /ujmowałeś się jego finansami.
- I co z tego? Był przezroczysty, kryształowo uczciwy.
Odrzuciła do tyłu łoki i zmrużyła oczy. Robert patrzył na rudowłosą kobietę z pełnym uznaniem, niezmiennie uważając ją za obiektywnie piękną.
- Więc może dlatego właśnie zginął?
Pokiwał głową.
- Masz na myśli tę książkę?
- Choćby.
- Dzwoniłem dzisiaj do Bartosza Wińskiego. Miał być jakby konsultantem literackim. Mówi, że profesor czytał mu przez telefon fragment, ale były w nim same nieistotne rzeczy.
- No pewnie.
- Z tym, że w ostatnim zdaniu pan docent w widoczny sposób skłamał. I kręcił, że nie pamięta.
Luiza utkwiała wzrok gdzieś w dali.
- Wiesz, wygląda na to, że my nie nadajemy się do wymyślenia niczego sensownego na ten temat.
- Pewnie masz rację. - Zmarszczył brwi. - Cała nadzieja, że Janek Reising coś zdołał - stwierdził odruchowo, jakby do siebie i zaraz tego pożałował
- Coś ty powiedział? - Głos jego rozmówcy był cichy i przypominał syk węża, a twarz ze zwężonymi oczami wyrażała chęć natychmiastowego mordy.
- Nie wiem. Nic - próbował się bronić.
- Janek? Może Jasio? - nie podnosiła głosu. - Awansowałeś na kolegę Jasia Głuptasia od łopaty? Gratulacje.
Chciał wytłumaczyć, że to wcale nie „Głuptasio”, a wręcz przeciwnie, nie dano mu jednak szansy.
- Wystarczy, że ktoś, kogo pokazują w telewizji, udaje przygłupa, bardzo dobrze udaje - słyhać ją było coraz lepiej, a ostatnie słowa chyba nawet u Płoninów - a natychmiast wszyscy tak zwani zwykli ludzie wpadają w zachwyty i uwielbienie. Żałosne!
Gondor, zamiast odpowiedzieć cokolwiek rozsądnego, zaczął się zastanawiać, czy Luiza Drogosz przypadkiem nie ma trochę racji, i dlatego przez chwilę zagapił się na nią, a właściwie na jej leciutko opalony dekolt.
- Mógłbyś mieć mądrzejszy wyraz twarzy - stwierdziła ponownie.
Oprzytomniał.
- Ja nie zarabiam na życie wyrazem twarzy i pewnie dlatego powodzi mi się nieźle. A jako ktoś żyjący wyłącznie z trzeźwego myślenia, zapewniam cię, że Janek posiada więcej rozsądku i logiki, niż wszyscy nasi znajomi razem wzięci.
Niestety, patrzyła na niego z autentycznym politowaniem.
- Naprawdę? - spytała przeciągle. - Czy to znaczy, że umie nawet wybrać dobre sadzonki?
- Myślę, że bez problemu. - Wzruszył ramionami. - Wiesz, chciałem porozmawiać jeszcze o tej nieszczęsnej książce Płonina. Kiedy usiłowałem się czegoś dowiedzieć od Wińskiego, on naprawdę jakoś dziwnie kręcił. Chyba w ogóle nie był przygotowany na taką rozmowę. - Robert

usiadł naprzeciw Luizy, która chłodnym wzrokiem obserwowała jego opalone na brąz ramiona. - I z tego, jak się plątał w zeznaniach, wynikało, że miał fragmenty w wersji papierowej, ale raczej nie u siebie.

- W skrytce? Nie sędzę.

- Nie, nie. Bardziej u swojej eks.

- Zwariowałaś? - roześmiała się. - Zawsze uważał ją za prawie niepiśmienną. Pranie, sprzątanie i tyle.

- No właśnie dlatego. Wiedział, że schowa pod szafę albo do bielizny i zapomni.

Najbezpieczniej.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

- Nie mogę powiedzieć, że źle kombinujesz.

- To co? Jedziemy? - wstał.

- Beze mnie. Zaraz będzie Magda, jej się bardziej przydam. Sam załatw. Dam ci adres i telefon.

Zeszła z nim po krętych schodach.

- Słuchaj, czy nie uważasz, że Wiński był nie w porządku wobec Kariny?

Mężczyzna błysnął bielą uśmiechu w śniadej twarzy.

- Jak dziecko! Elegancka, wykształcona, a taka naiwna. - Otworzył przed nią drzwi do ogrodu. - Nigdy nie przepadałem za Bartoszem Habilitowanym, ale tu akurat zgadzam się z nim na całej linii. - Zmrużył oczy w ostrych promieniach słońca. - Kochana, ona nie ma krzywdy. Zaczęła się w Warszawie, weszła w środowisko. Poradzi sobie, zobaczysz.

*

Mikołaj Płonin nie umiał przestać krążyć po mieszkaniu. Wprawdzie coraz bardziej odczuwał znużenie po prawie nieprzespanej nocy, jednak górę wzięło napięcie, które nie pozwalało mu usiąść w fotelu i nawet przez chwilę odpocząć.

Do czwartej rano nie mógł zasnąć, myślał o tym, co miało być dzisiaj.

Na początku dnia trzymał się dobrze, jednak teraz chyba przestaje. Wczoraj postanowił rzucić palenie. Nierealne, ale o dziwo, mimo sytuacji udało mu się ograniczyć.

Całe szczęście, że przed południem potrafił wykonać wszystko, co zaplanował, chociaż na pewno nie było łatwo w tak krótkim czasie. I w zasadzie nie dał po sobie poznać, w jakim jest stresie. No, powiedzmy, troszeczkę mu nie wyszło w osiedlowym sklepie, w którym wypatrzył wyjątkowo udany schab dojrzewający. Przed nim kupowała tylko jedna osoba, więc sądził, że nie będzie czekał. Niesłusznie. Choć klientka, otyła dama w wieku zaawansowanym, miała już zawinięte trzy małe pakunki, wcale nie zamierzała skończyć. Poprosiła „ze dwadzieścia deko” czegoś następnego, potem „z dziesięć deko” jeszcze innego, potem „z piętnaście deko” kolejnego, aż zaczęła się zastanawiać, czy wziąć „ze dwadzieścia deko” wskazanej wędliny. No i wtedy nie wytrzymał.

- Czy może mi pani objaśnić, co znaczy „ze”? - zapytał, siląc się na uprzejmość.

- Cooo? - zdumiona kobieta popatrzyła wielkimi, rybimi oczami.

- Właśnie. Czy pani w ogóle wie, co mówi i dlaczego? - z trudem hamował irytację.

- Alicja, obsłuż pana! - Ekspedientka na wszelki wypadek zawołała koleżankę do drugiej kasy.

- To proszę ze dwadzieścia deko tego, co tam leży - usłyszał jeszcze, ale udało mu się wreszcie pozyskać upragniony schab o szlachetnym, głębokim kolorze, więc nieco się uspokoił.

Wyszedł zegnany złym spojrzeniem rzuconym przez jejmość, która nie skończyła jeszcze zakupów. Dzisiaj mu się udało, ale wie, że powinien bardziej nad sobą panować. Za dużo tych awantur w sklepach.

Teraz chodził po pokoju coraz szybciej, aż wreszcie zmęczenie wygrało z nerwami i, sam nie wiedząc kiedy, położył się na tapczanie i przymknął oczy. Chwila odpoczynku, bo dużo pracy

jeszcze przed nim. A może przecenił swoje siły? Niepotrzebnie wziął na siebie aż tyle? Przecież wystarczy jakieś głupstwo i wszystko na nic.

Jak dobrze, że wróciła Magda! Może będzie miał jej o czym opowiedzieć. I ciotka przestanie patrzeć na niego jak na nedorozwiniętego.

Na razie ma jeszcze chwilę czasu, więc nie będzie zanieczyliwał najważniejszego.

Automatycznie sięgnął po leżącą obok książkę. Przetarł oczy, otworzył w założonym miejscu - „Żywnienie w chorobach nowotworowych. Dieta Moermana” - i spokojnie zagłębił się w czytaniu, które przerwał dopiero sygnał skype'a. Prawie rzucił się do laptopa.

- Zapomniałem, jaka jesteś piękna - powiedział, patrząc w ekran.

- Ja też lubię patrzeć na ciebie. Nie przypuszczasz, jak bardzo.

Mikołaj przez chwilę milczał.

- Trochę dziwnie się czuję, wiesz z czym.

- Całkiem niesłusznie. Moralność i prawo, to dwie różne rzeczy. A ty postąpiłeś dobrze, OK? Skinął głową.

- Bardzo chcę cię dotknąć.

- Kochanie, tylko odrobina cierpliwości. Naprawdę już niedługo.

*

Tomasz Jakubek wypił trzecią szklankę soku grejpfrutowego i połknął dwie ziołowe tabletki uspokajające. Po chwili dodał jeszcze jedną na serce, taką o śmiesznej nazwie. Powinien był włączyć telewizor przed zejściem na dół do domowej siłowni, a nie wtedy, gdy po wyciśnięciu z siebie ostatniego tchu dla wymodelowania sylwetki i po orzeźwiający prysznicu, rozłożył się półżywy w szlafroku na kanapie. Pewnie nawet by zasnął, gdyby nie dotarła do niego z ekranu ta nieszczęsna wiadomość.

Niemożliwe! Może pomyłka? Nie, to nie samochód na parkingu.

Przecież on wcale tego nie chciał. Nie tak miało być.

Oczywiście, że o wiele łatwiej będzie mu się rozmawiało z dziećmi Płonina, niż z nim samym. Bo też z nim w ogóle nie było dyskusji. Pan Tomasz aż się wzdrygnął na wspomnienie wyniosłego tonu. Na jakim świecie ten człowiek żył?

Cóż, on w każdym razie żyje tu i teraz, co oznacza, że bez zwlekania przystąpi do negocjacji. Działeczka stworzona dokładnie dla niego, aż prosi się pod hotel, a w dodatku mało kto wie, że niedaleko - niecałe trzydzieści kilometrów bocznymi drogami - stoi przy drugiej szosie jego „Biała gospoda”, czyli byłby to majstersztyk organizacyjny.

Magdalena Płonin wygląda na rozsądną, tym bardziej, że zdomowiała się w Niemczech.

Powinno być jej wszystko jedno. Dalej, trzeba czym prędzej uruchomić skuteczne dojście.

Oczywiście, trochę bruździć może szlachetna pani Irmina, ale naprawdę nie jest w stanie niczemu przeszkodzić.

*

Przemek Rosiński mieszkał ze swoją dziewczyną w wynajętym pokoju z kuchnią na bliskim Ursynowie. Janek Reising, którego wciąż stresowały występujące w takim natężeniu budynki z wielkiej płyty, dość sprawnie, jak na niego, pokonał wszystkie uliczki zakręcone dziwnie i jeszcze dziwniej nazwane, ale na szczęście prowadzące do upragnionego celu.

Doktorant Płonina mówił wprawdzie przez telefon ledwie słyszalnym głosem, jednak bez problemów zgodził się z nim spotkać.

Drzwi otworzyła młoda, przesadnie szczupła dziewczyna z włosami ostrzyżonymi na krótkiego jeża i lekkim wzruszeniem skąpo ubranych ramion wskazała fotel, w którym siedział skulony i z pilotem w rękę jej chłopak. Na widok rzeźbiarza przestał zmieniać kanały w telewizorze, który i tak miał wyłączony głos.

- Wszystko pokazali, hieny - stwierdził beznamiętnie. - Jeszcze kawałki któregoś wywiadu z profesorem. Był jak żywy. - Wzdrygnął się. - Nie do pomyślenia. Jeżeli pan chce zapytać o to, co policja, czy on się czegoś bał, to powiem, że nie. Natomiast ja, owszem, mam cykora. Coraz większego.

Reising usiadł naprzeciw na drewnianej ławie.

- A wiesz chociaż przed czym?

Młody człowiek skrzywił się sarkastycznie.

- Na pewno nie chodzi mi o następne oblanie czerwoną farbą. Boję się tego, że nie wiem, o co biega, a ktoś uważa mnie za doskonale zorientowanego i może jeszcze czegoś oczekuje.

- Na przykład czego?

Rosiński zaczął nerwowo skubać swojego dwukolorowego irokeza.

- Gdybym wiedział, to bym to na sto procent wykonał.

- Aha, jasne. - Rzeźbiarz już rozumiał, czym ten człowiek go irytuje. Koszulka z jaskrawym wzorem i szorty w zieloną kratkę. Koszmar. - Co teraz zamierzasz?

- A co mogę? Mam rozgrzebany doktorat, nie mam promotora, nie mam czym jeździć, zaraz nie będę miał z czego żyć. Ile można sępić na starych dziewczyny?

- To zależy - odparł filozoficznie Janek. - Wracając do sprawy, widziałeś książkę profesora?

- Którą?

- Podobno pisał teraz coś w rodzaju wspomnień.

Młody człowiek skinął głową i natychmiast potrząsnął.

- Tak. Nie, nie widziałem. To znaczy, trochę.

- Ile trochę?

- Profesor pokazał mi kiedyś swoje notatki do niej. Były tam lata i nazwiska. Lata raczej osiemdziesiąte, nazwiska nic mi nie mówiły, więc nie zapamiętałem. Z wyjątkiem Ryszarda Bogockiego. Poza tym były miasta. Toronto, Łódź, chyba ulica Koszykowa. Wiem, że siedział w Kanadzie na stypendium, a w Łodzi chyba ciągnął pół etatu jako adiunkt.

- Nie chwalił się żadnymi pełnymi fragmentami?

- W życiu! Powiedział, że nie chce upubliczniać niczego, co potem może będzie zmieniał.

- Perfekcjonista - potwierdził rzeźbiarz.

- Właśnie. A chyba napisał już sporo i rzecz gdzieś musi istnieć. Z tym, że akurat niedawno zmienił komputer, ale na pewno wszystko dobrze przechował. Powiedział kiedyś - zmarszczył brwi - że ta książka stała się dla niego ogromie ważna. Że traktuje ją, cytuję - Rosiński wycelował palcem w rozmówcę - jak trzecie dziecko.

No, ładnie. Zaginione dziecko. Jeszcze gorzej. Reising wstał i przeszedł się po pokoju, bezceremonialnie oglądając półki wypełnione sfatygowanymi książkami, stertami papieru i ozdobami ni to indiańskimi, ni to znad morza.

- Zapytam banalnie. - Starał się nie widzieć zielonej kratki na spodenkach gospodarza. - Czy zauważyłeś, żeby ostatnio profesor Płonin był z kimś w konflikcie? Może się denerwował?

Młody człowiek skrzywił się nerwowo.

- Nie wiem, czy to konflikt, ale pani Irma w sobotę rano chciała go zdzielić wieszakiem.

- W żartach - domyślił się rzeźbiarz.

Przemek wzruszył ramionami.

- A skądże! Ona w ogóle nie żartuje. Złapała wieszak na ubrania, taki duży, od garnituru, i zamachnęła się na niego.

- Oszalałaś.

- Ja? - Podskoczył z oburzenia. - Na pewno nie. Może akurat kto inny.

- A co na to profesor?

- Jak to co? - Popatrzył okrągłymi brązowymi oczami. - Mógł nieźle zarobić, więc uciekł.

W sumie całkiem słusznie postąpił. Reising zrezygnowany usiadł na ławie.

- Czy pani Irmina często tak reagowała?

- Nie widziałem. Dla mnie szok.
- A dla jej brata?
- Ewakuował się i tyle. Ona krzyczała - Przemek potarł czoło - że nie zapomni do końca życia. I coś w stylu „moja grzeczność nie jest wynikiem amnezji”. Ja właśnie wchodziłem od strony ogrodu, a drzwi na taras były otwarte, więc mogłem wszystko widzieć, ale po tym od razu obleciałem dom i pokazałem się od frontu jakby nigdy nic.
- A profesor?
- Spokojny, uprzejmy, jak zawsze.
- No, dobra. - Janek przygotował się na dalsze niespodzianki. - A na uczelni? Działo się coś? Rosiński uśmiechnął się zadowolony.
- O, tak, ale w innym stylu. Miało na imię Julia. Tak, tak, on był Romeo. Prawdziwy, bo miłość w tajemnicy. Z wierzchu wszystko jak najbardziej oficjalnie, a naprawdę gorący romans.
- Jesteś pewien?
Młody człowiek popatrzył na niego z politowaniem,
- Nie da się ukryć pewnych gestów, zbliżeń. Czasem mu się ręka jakoś sama przesuwiała, kiedy myślał, że nikt nie widzi. Ona też potrafiła tak spojrzeć... Skądinąd, niezależne źródła, donoszą o ich weekendowych wyjazdach.
- Korzystała na tym?
Pokręcił głową.
- W zasadzie nie wiadomo. Słuchaj - ożywił się - to jest dziewczyna piękna jak obraz. - Zniżył głos, rzucając spojrzenie na drzwi. - Mogłaby mieć każdego. Ciało jak z Photoshopu, ciuchy niby skromne, a nie możesz oka oderwać. Szatynka, oczy zielone z wielkimi rzęsami - dodał informacyjnie. - Do tego wszystkiego grzeczna panienka z dobrego domu. Żadnych wygłupów, jakby niedzisiejsza - zastanowił się. - Wiesz, może i o to też chodziło. Pasowali do siebie.
Reising powoli zaczynał rozumieć Płonina.
- Jeżeli tak mówisz, to pewnie rzeczywiście pasowali.

*

Wieczorem przyjęcie na Floksowej. Czy naprawdę trzeba tam być? Karina czuła się w tej chwili, mniej więcej, na siedemdziesiąt lat i najchętniej spędziłaby resztę dnia, nie opuszczając kanapy. W ostateczności mogłaby wyjść do kawiarni z przyjaciółką, gdyby ta po nią przyszła. Tylko że nie ma tu żadnej przyjaciółki. Tutaj w jej życiu istniał tylko i wyłącznie Bartosz. Pewnie sama jest winna, bo ich małżeństwo mogłoby wyglądać inaczej, gdyby nie była tak w niego zapatrzona.
Obracała w palcach szarobłękitny medalion, który Wiński kupił jej miesiąc po ślubie w którymś stoisku plastyków. Wymagał, żeby go nosiła, kiedy przychodzili jego znajomi. Próbowowała nawet czasem się do nich odezwać, pilnie uważając, żeby nie strzelić jakiegoś głupstwa i nie zobaczyć pobłażliwych uśmiezków.
Może szkoda, że nie umiała skłonić męża do rozmów, na jakie miała ochotę, kiedy byli sami. Ilekroć chciała coś powiedzieć, na przykład o przeczytanej książce, machał ręką albo, odgarniając swoją jasną grzywkę, z promiennym wyrazem twarzy komunikował jej, że musi się, śliczna, jeszcze dużo uczyć.
Najważniejsze było, żeby codziennie przygotować dom na jego przyjście i zrobić zakupy, oczywiście w ramach wydzielonej sumy. Jeśli zauważył jakieś niedociągnięcie, obrażał się. Wtedy albo sama domyślała się powodu, albo musiała wydobyć go z męża, od razu, w zasadzie, przeproszając. Inna kobieta, może na przykład Lilka, potrafiłaby pewnie zbudować dużo lepszy związek. Tylko jak?
Z niewesołych rozmyślań wyrwał ją ostry dźwięk dzwonka do drzwi. Zelektryzowana, podbiegła, zapominając o wizjerze. Odruchowo, bez żadnych podstaw założyła, że to Bartosz,

który z uwagi na sytuację, przyleciał najszybciej, jak mógł. W gruncie rzeczy, któż inny mógłby to być?

Dobrze, że nie miała zwyczaju na przykład rzucać się przy wejściu mężowi na szyję. Ale i tak przeżyła szok.

Naprzeciw niej stał mężczyzna, który w niczym Wińskiego nie przypominał i którego, maksymalnie zaskoczona, w pierwszej chwili nie poznała. Nie czekając na zaproszenie, bezceremonialnie wszedł do środka. Karina próbowała za wszelką cenę ochłonąć. Nigdy w życiu nie spodziewała się wizyty Roberta Gondora.

Wysoki, lśniący bielą nieskazitelnej, mimo upału, luźnej koszuli wypełniał sobą niemal połowę miniaturowego przedpokoju. Oczywiście irytująco roztaczał orzeźwiający zapach markowego dezodorantu.

- Ładnie pani mieszka - stwierdził.

Przeciągnął spojrzeniem po ścianach, gdzie pomiędzy szafami królowały pamiątki Wioli z jakiegoś górskiego uzdrowiska.

- Interesujący gust - dodał.

- To wszystko należy do mojej koleżanki - nie wytrzymała, czując się trochę tak, jakby popełniała zdradę.

- Aha - podsumował, beznamiętnie lustrując z kolei jej sylwetkę.

Wzięła głęboki oddech.

- Czy mogę wiedzieć, co pana sprowadza?

Nie odpowiedział, czymś wyraźnie zaintrygowany. No, tak. Spod króciutkiego rękawa podomki musiało wyglądać posiniaczone ramię.

- Lubisz ostrą zabawę? - spytał, zbliżył się i chyba zdążył lekko jej dotknąć.

Zareagowała całkiem odruchowo, błyskawicznie odbijając jego rękę. Na tyle silnie, że zmusiła go do wykonania półobrotu.

- Zostaw mnie, debil! - czuła, że jej głos zaczyna drżeć.

Gondor w zdumieniu, a nawet osłupieniu, nie wiadomo, czy cokolwiek słyszał. Wreszcie porządkującym ruchem odgarnął swoje czarne, proste włosy i spojrzał na dziewczynę tak, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

Karina milcząc, usiadła przy prostokątnym stole. Sama była sobą zaskoczona. Nigdy w życiu tak się nie zachowała, do nikogo nie zwróciła się w ten sposób. Nigdy nawet nie podniosła głosu w odpowiedzi na złośliwości Bartosza. To ten człowiek wyzwała w niej agresję. Zawsze go nie lubiła.

Przysunął sobie krzesło naprzeciw niej. W bezpiecznej odległości. Kontrastujący ciemną karnacją z pastelowymi barwami stroju, nie wyłączając miniaturowego plecaka zawieszzonego na oparciu, splótł dłonie na politurowanym blacie.

- Czy panią ktoś uderzył o ścianę? - zapytał cicho.

Wzruszyła ramionami, starając się patrzeć w inną stronę.

- Wypadłam z autobusu - odpowiedziała krótko.

- Słucham? - Rzucił się do przodu, jakby chciał przeskoczyć stół.

- Może mnie niechcący popchnięto w tłoku.

Musiała się odwrócić, bo wbił w nią spojrzenie czarnych, błyszczących oczu.

- Akurat! Dzisiaj Magdę też niechcący zrzuciono ze schodów w galerii. Przedtem... -

Zmarszczył brwi. - Czy pani dostała jakieś niedobre SMS-y?

- Tak. Jeden bardzo głupi od mojej siostry. Jak się czuje Magda?

- Miała szczęście, a raczej dużą torbę, która ją ochroniła. Pani mogła co najmniej złamać nogę.

- Ale nie skorzystałam z tej okazji. Udało mi się dobrze upaść.

- Aha! - Skinął głową ze zrozumieniem.

Irytujące było jego wpatrywanie się w półki z jej książkami.

- Jaki ma pani związek ze sprawą zamachu?

Chyba policja byłaby sympatyczniejsza.

- Żaden - rzuciła oschle i właśnie miała poprosić go, by wyszedł, gdy przeszkodziło jej delikatne stukanie.

Oczywiście, pani Zosia. Jak zwykle prosi o włączenie, stale wypinającego się z gniazdka, telewizora.

- Sąsiadka. Przepraszam na chwilę.

Karina wstała i nie spoglądając na gościa, szybko wyszła. Cała czynność zajęła jej trzy minuty, a gdy wróciła, Gondor stał już w drzwiach.

- Na mnie już czas, widzimy się u Płoninów.

Nie pożegnał się w żaden sposób i to nawet lepiej. W jego obecności czuła się źle, w bliskości - dziwnie, z pewnością niesympatycznie. Nigdy nie zachwycała się południowcami, a zachowanie Gondora potwierdzało, że miała rację.

Tak, spotkało ją przed chwilą coś bardzo przykrego i obraźliwego. Zareagowała, chociaż chyba nie w idealny sposób, ale to nie ona ma się wstydzić. I do sprawy nie będzie wracać, a najchętniej zaliczyłaby ją do typu nieprzyjemności, jakie miewa się, przechodząc obok ławeczki, gdzie siedzą dżentelmeni z puszkami z piwem. Szkoda jedynie, że nie może zagwarantować sobie wolności od widywania tego osobnika.

*

Tymczasem Robert Gondor, siedząc w samochodzie zaparkowanym poza zasięgiem okien i ukwieconego pelargoniami małego balkonu mieszkania Kariny, włączył sobie cichą muzykę.

Owszem, postąpił po chamsku i powinien się cieszyć, że nie wziął w ryj, co akurat byłoby naturalnym następstwem obrócenia go poprzez odbicie ręki. Co mu przyszło do głowy z takim tekstem? Nie był sobą.

Ale poza tą wpadką poszło genialnie.

Z lubością otworzył designerski plecaczek i wyciągnął z niego gruby plik zadrukowanego papieru.

- Jestem świetny - powtórzył i zagłębił się w lekturze.

W miarę czytania jednak, jego pełen zadowolenia wyraz twarzy zmienił się diametralnie.

- Jestem debilem - oznajmił.

Z rozmachem cisnął wydruk na siedzenie obok i wyłączył muzykę. Tak, debilem. I ktoś mu ten fakt przed chwilą słusznie zasygnalizował.

Nie dosyć, że wykorzystując chwilową nieobecność dziewczyny, wyniósł z jej mieszkania coś, co wziął za część książki Płonina, czyli popełnił kradzież, to jeszcze kretyńsko się pomylił.

Właśnie ma przed oczami powieść, ale nie polityczną ani historyczną, tylko typu fantasy, czy może po prostu baśń. I w dodatku, o ile się znał, pięknie napisaną. Nie był to styl Sylwestra Płonina, a na pewno nie jego autorstwo.

Co teraz? Nic. Czuje się głupio. Redakcja, w której pracuje Karina Wińska, zajmuje się poradami. Nie ma innej możliwości, bajka musi być prywatną własnością dziewczyny. Przecież nie pójdzie teraz do niej, żeby zwrócić przywłaszczone mienie. Więc co mu pozostało? Nie ma wyboru, przeczyta.

*

Teresa Chociej krytycznym spojrzeniem obrzuciła, wiszącą na ramiączku w sypialni kremową sukienkę z brązowym paskiem. Strzepnęła ręką jej fałdy. Wszystko w porządku. Z bursztynowym naszyjnikiem będzie wyglądać idealnie. Do tego brązowa kopertowa torebka. Razem elegancko i inteligentnie.

W dodatku Ada prawie zgodziła się założyć coś innego niż zwykle. Daj Boże, żeby nie zmieniła zdania. Teraz wyszła „obejrzeć ze znajomymi fontanny, bo oczywiście wieczorem nie będzie mogła”. Ale zawsze mówi, kiedy wróci i dotrzymuje słowa. To dobre dziecko.

Pani Teresa przeszła do salonu, gdzie przy otwartych drzwiach balkonowych, na niskim stoliku, ułożyła filiżanki i pokrojone drożdżowe ciasto. Za godzinę zacznie przygotowywać się do wyjścia, a teraz będzie miała gości. Naprawdę bardzo dobrze, że Jan Reising wpadł na pomysł złożenia jej wizyty. Rozumie, że ona, jako osoba luźno związana z Płoninami, ma szansę na wiele rzeczy spojrzeć bardziej obiektywnie niż rodzina.

Słyszac dzwonek, dla porządku rzuciła okiem w lustro i postukując obcasami, skierowała się do drzwi.

Wprawdzie była przygotowana na zmianę wyglądu niedawnego kloszarda, ale podobnie jak pani Irmina, nie mogła ukryć zaskoczenia krótkimi włosami i gładko wygoloną twarzą rzeźbiarza. W dodatku, jak na kogoś po czterdziestce, zdecydowanie młodą.

Gdy usiedli przy kawie, wymienili zdania na temat upalnej pogody i makabryczności porannego zamachu.

- A skąd pan znał Sylwestra? - zainteresowała się pani Teresa.

- O, z bardzo zabawnej audycji - uśmiechnął się. - Na temat odbioru sztuki przez społeczeństwo. Podczas nagrywania mieliśmy całkiem inne poglądy na któryś z tematów. Profesor się mocno obruszył, więc ja zacząłem udawać wariata, na co on chciał wyjść ze studia.

- Coś podobnego!

- Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, oczywiście dzięki profesjonalizmowi pani redaktor, i pogodzeni skierowaliśmy się do baru. A potem, chyba na zasadzie przeciwieństw, wyglądało, że nasza współpraca może dać niezłe efekty.

- Tak, on był niezwykle dobrze zorganizowany. Wiedział, czego chciał, miał plan i konsekwentnie go realizował. Tacy ludzie zawsze wygrywają.

- Dzięki swojej pracy.

- No może niekoniecznie - westchnęła. - Na przykład bardzo zgrabnie pozbawił moją szwagierkę mieszkania po rodzicach na Koszykowej. Gdy można było je wykupić, rodzina Mai, szanownej żony Sylwestra, dała pieniądze i dlatego Płoninowie seniorzy zapisali je na syna, kompletnie pomijając Irminę. - Pokręciła głową. - Powiem panu szczerze, że takich zachowań nie rozumiem. My wszystko, co mamy, zawdzięczamy wyłącznie własnemu trudowi. Mąż uczciwie, bez ryzyka prowadzi interesy. Pracuje ciężko, na przykład teraz jest za granicą, nie może nas wspomóc psychicznie. Ja osobiście całe życie sumiennie wykonywałam, co do mnie należało, i awansowałam bez krzywdy dla innych.

Przytaknęła ze zrozumieniem. Pani Chociej mówiła dalej.

- Dlatego mamy prawo każdemu spojrzeć śmiało w oczy. Dbaliśmy o wykształcenie Adrianny od jej najmłodszych lat. Wychowywaliśmy tak, aby wyrosła na dzielnego i prawego człowieka. Ona również nie ma przed nami tajemnic, bo nie zrobi niczego, czego mogłaby się wstydić. Takie też zasady przekazuje swoim dzieciom.

Reising ucieszył się.

- Naprawdę? Czy jest mowa o wnukach?

Gospodyni skrzywiła się i pociągnęła łyk kawy.

- Moja córka ma jeszcze dużo czasu. Ten, którego wybierze, powinien przede wszystkim dorównywać jej intelektualnie. Wie pan, skończyła dwa fakultety. On musi również być dla niej oparciem, jak mój mąż dla mnie, oczywiście zapewniając życie na odpowiednim poziomie.

- Widać, że trzeba trochę poszukać - zgodził się. - A inni goście dzisiejszego przyjęcia?

Pani Teresa wyprostowała się w fotelu.

- Otóż, Robert Gondor jest synem siostry świętej pamięci Mai Słoninowej. - Uniosła brwi znacząco. - Nieślubnym synem. Jego matka, inżynier, wyjeżdżała na budowę czegoś do demoludów. Tam spotkała grającego w zespole ludowym mężczyznę i miała z nim dziecko. On był - zniżyła głos - mocno południowy. Trochę podobno Ormianin, trochę Azjata, a w ogóle kulturowo, muzycznie - bałkański.

- Gondor to jego nazwisko?

- A skądże! Kiedy była w ciąży, wziął z nią ślub starszy człowiek z ich firmy. Był chory, niedługo potem umarł. Niestety, biologiczny ojciec Roberta jakby nie istniał, bo nie dość, że sierota wojenny, to zginął w jakiejś bójce.

Nastała chwila milczenia.

- Nie zazdrozczę chłopcu - powiedział rzeźbiarz.

- Ciężko żyć z taką świadomością.

- Komuś pewnie ciężko, ale on z pewnością źle nie miał. Matka zarabiała świetnie, z domu zamożna, bo rodzice na wsi mieli pieniądze z hodowli. Jeździła za granicę. Robert najpierw był zostawiany u ciotki, a potem uczył się wszędzie, tylko nie w kraju. Robić pieniądze woli jednak tutaj.

- Dziwne, że nie tańcem i śpiewem.

Roześmiała się sarkastycznie.

- O, na sto procent nie. Ponieważ to wymagałoby rzetelnego wysiłku. Zajmuje się doradztwem finansowym. Tak skutecznie, że nawet zostało przeciwko niemu wniesione oskarżenie.

- Mój Boże, o co?

- Nie znam prawnego terminu, ale jego firma obsługiwała dwie konkurencyjne instytucje, z których jedna potem wykończyła drugą.

- Dobrze doradził - skinął głową Reising.

- No właśnie. Ale nie udowodniono, że przekazał informacje, więc mu nic nie było. Nawet nie stracił na opinii - dodała z nutką żalu.

- A jego narzeczona?

- Nazwijmy ją narzeczoną, chociaż nie sędzę, żeby ktoś myślał o ślubie. - Skrzywiła się. - Powiedzmy partnerka. Racjonalna, uważająca luksus za sposób na życie. Przedstawicielka pokolenia umowa-zlecenie. Pracuje w firmie menedżerskiej. Ale osobiście muszą przyznać, że idealnie do siebie z Gondorem pasują. Pan sam wie doskonale, wspólny system wartości jest najważniejszy.

Janek Reising podrapał się w głowę.

- Szczerze mówiąc, po czterech rozwodach nie mam już pojęcia.

- No tak - przyznała niechętnie. - Więc wróćmy do Płoninów. Irmina, o niej powiem krótko. Siostra swojego brata. Zapatrzona w siebie i pracę. Nie rozumiem, czemu wyszła za Bogdana, który oczywiście zakochał się. Ale nigdy nie stworzyła mu prawdziwego domu i stąd - zawahała się - jego trochę jakby problem alkoholowy. Nigdy nie wróżyłam temu małżeństwu długiej przyszłości, ale nie sądziłam, że przerwie je śmierć mojego brata. - Głos jej zadrżał, ale opanowała go. - Powiem panu o dzieciach Sylwestra. Magdalena świetnie umie sobie radzić w każdej sytuacji. Jeżeli czegoś chce, to jest jak ojciec, i nie wyobrażam sobie, żeby tego nie dostała. I uroda po matce na pewno jej w życiu nie przeszkadza. Natomiast Mikołaj - machnęła ręką z uśmiechem - skóra zdarta z tatusia, a charakter i rozum... lepiej nie mówić. Ojciec był w niego zapatrzony, ale ja osobiście nie wróżę mu absolutnie żadnej przyszłości.

- Każdy ma jakąś przyszłość. Może za dużo dostał na starcie i potem nie widział mety.

- Metę pokazywał mu pan profesor Płonin. Mikołaj miał iść w jego ślady. - Popatrzyła na rzeźbiarza szeroko otwartymi oczami. - Teraz nie ma profesora. I to przez jakiś jego tragiczny życiowy błąd. A wydawało się, że on błędów nigdy nie popełnia.

*

- Chciałem złożyć paniom moje najszczerze wyrazy współczucia. - Tomasz Jakubek z naręczem herbacianych róż kłaniał się Irminie Dobrzyńskiej.

Zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że naprawdę szczerze. - Automatycznie wzięła kwiaty.

- Ależ jak najbardziej. - Rozłożył ręce. Choć niewysokiego wzrostu, skutkiem intensywnego dbania o formę mógł śmiało chwalić się wzorowo umięśnioną sylwetką.

- Rozmowy z profesorem były przyjemnością, nawet jeśli w interesach jeszcze nie doszliśmy do porozumienia.

- I nie dojdziecie. - Magda Płonin blada, bez makijażu, stanęła w drzwiach salonu. - Zapewniam pana, iż wypełnimy wolę ojca i w Przeglądzie stanie ośrodek dla dzieci, a nie hotel.

Gwałtownie potrząsnął głową.

- To nieporozumienie. Nie zamierzam wywierać żadnych nacisków. Pani przede wszystkim musi przyjść do siebie. Jeżeli tylko - spojrzał Irminie Dobrzyńskiej w oczy - będę mógł się do czegoś przydać, proszę pamiętać, że zawsze państwo mogą liczyć na moją pomoc.

Spokojna, o łagodnych rysach twarz córki profesora pozostała nieruchoma, bez śladu zdenerwowania. Kobieta płynnym gestem podniosła leżące na stoliku róże i z rozmachem rzuciła je, celując w twarz gościa, którą on na szczęście zdążył zasłonić ramieniem.

- Ta ci pomogę! - oznajmiła dobitnie. - Pomogę nie przydawać się i nie pokazywać w ogóle. Zrozumiano?

*

Zaprzyjaźniona firma ogrodnicza stanęła na wysokości zadania i Janek Reising, uzbrojony w dwie duże torby sadzonek, zaparkował swojego granatowego SUV-a przed niezamykaną nigdy furtką do posesji Luizy Drogosz.

Nie spodziewał się entuzjastycznego przyjęcia, jednakże gospodyni energicznie zasłaniająca okno na jego widok i znikająca bezpowrotnie w głębi domu troszeczkę go rozczarowała.

Pamiętając o narzędziach leżących na stercie pod drzewem, postawił torby i zabrał się do pracy. Szło mu bardzo dobrze, za chwilę grządki były wymierzone i przekopane. Gdy połowa z nich została zaopatrzona w niebywale równe i harmonijne kolorystycznie kępki kwiatów, drzwi wejściowe otworzyły się.

- Co to jest?

Płomiennowłosa kobieta stała z rękami w kieszeniach krótkich, świetnie leżących szortów i ze spojrzeniem najbardziej przypominającym bazyliuszka.

- Instaluję sadzonki, szefowo. - Uśmiechnął się rozbrajająco, przynajmniej w swoim mniemaniu. - Tak, jak się umawialiśmy.

Jej zielonkawe, podłużnie wykrojone oczy już nie paraliżowały chłodem, tylko pociemniały w ataku nienawiści. Bez słowa chwyciła niebacznie pozostawione grabie i zaciskając je w dłoni, energicznie ruszyła w stronę rzeźbiarza z zamiarami niepozostawiającymi wątpliwości.

Na szczęście w ostatniej chwili zatrzymała się, znacząco wbijając trzonek grabi w ziemię tuż obok klęczącego przy następnym klombie nieproszonego ogrodnika.

- Wynocha - syknęła. - I nie ma żadnego „my”!

Nie podniósł głowy zajęty pracą.

- Po co te nerwy? Już kończę. Będzie szefowa zadowolona.

- Owszem, jeśli w tej chwili opuści pan mój teren. - W jej głosie brzmiała już bezsilność.

- Niemożliwe w tej chwili. Trzeba jeszcze podlać.

Luiza odwróciła się, przez dłuższą chwilę patrząc na korony drzew. Bardzo chciała pozbyć się irytacji.

- Czy pan ma rozdwojenie osobowości? - zapytała w końcu zaskakująco, nawet dla siebie samej, spokojnie. - Nie wystarczy panu jeździć najnowszym modelem samochodu, potrzebuje pan jeszcze побыć sobie robotnikiem? Szaleństwo z dobrobytu?

Reising wstał, obrzucając kontrolnym spojrzeniem skończoną robotę.

- Z dobrobytu nie mam zwyczaju szaleć. Jeśli już w ogóle, to dla pięknej kobiety. Ponieważ jestem kompletnie niegroźny dla otoczenia, więc mam propozycję. Ja teraz podleję grządki z tamtego węża, a pani zaprosi mnie na kawę. To znaczy na jogurt. I na jakiś czas ma mnie z głowy.

- Aha. - Popatrzyła na uśmiechniętego i pewnego siebie Reisinga. - Inne rozwiązanie oznacza kłopoty?

Skinął głową z przekonaniem.

- Wobec tego czekam na górze.

Wyprostowana, lekka, zgrabnie omijając świeże klomby, z trzaskaniem sandałami o osypujące się schodki zniknęła wewnątrz starego domu.

Gdy rzeźbiarz wzbogacał o wodę świeżo powstałe rabaty, nie dyskryminując reszty ogrodu, jak również samego siebie, jego szefowa na piętrze bez cienia entuzjazmu zgarnęła z ławy ułożone równo wisioriki, bransoletki i korale. Oglądanie biżuterii zawsze poprawiało jej nastrój, a dzisiaj potrzebowała tego szczególnie. Siedziała więc przed chwilą, bawiąc się jak dziecko delikatnym srebrem i niedrogimi, lecz efektownymi sztucznymi kamieniami.

Nie, nie położy żadnej serwety. Do takiego gościa najbardziej pasuje gołe drewno. Wzruszając ramionami, postawiła wyjęty z lodówki plastikowy kubek. Ona sama woli herbatę, na przykład tę, której właśnie nie skończyła pić.

- Tak sobie wyobrażałem twoje mieszkanie - stwierdził niedawny ogrodnik, stając w drzwiach. Na jego krótkich, kręconych włosach, twarzy i rękach błyszczały krople wody.

- Nie jesteśmy na ty - odpowiedziała gospodyni wyniośle, wskazując mu fotel kontiki. - I dziękuję za sadzonki.

- Nie byliśmy - zgodził się. - Ale, to przecież żaden problem.

Luiza Drogosz niezmiernie rzadko czuła się bezradna wobec ludzi, jednak teraz poczuła się doprowadzona do rzeczoności. Co może zrobić? Przecież nie wyrzuci człowieka, bo powinna być mu wdzięczna. Nie pozostaje jej nic innego, jak przeczekać.

- Odniosłem wrażenie, może mylne, że jesteś z tym - wskazał kubek - zawodowo związana. Biologia? Technologia żywności?

Przysięgła sobie zachować spokój. Będzie zdawkowo odpowiadać na wszelkie pytania i w ten sposób szybciej pozbędzie się natręta.

- Pracuję w agencji reklamowej.

Uniósł brwi z podziwem.

- Wspaniałe, kreatywne zajęcie. Czyli humanistka o szerokich horyzontach.

Czuła, że zaczyna kapitulować. Tej rozmowy nie da rady ani przetrzymać, ani normalnie prowadzić.

- Nic nie wiem o horyzontach. Jestem inżynierem elektronikiem.

Rozpromienił się.

- Elektronikiem? Nadzwyczajne! I w taki sposób się spełniasz!

Miała dosyć. Siedzący naprzeciw potężnie zbudowany blondyn patrzył na nią z bezczelnym podziwem błyszczących jasnych oczu, w twarzy o śmiało wyrzeźbionych, ale regularnych rysach. Myśli pewnie, że robi kolosalne wrażenie.

Wyprostowała ramiona w fotelu, biorąc głęboki oddech.

- Słuchaj no, człowieku, przyłazisz tutaj i zwyczajnie mnie przesłuchujesz. Rozczarujesz się, bo nie podłożyłam Płoninowi bomby. Po piętnastu latach od zakończenia romansu to raczej bez sensu. Zadowolony? - rzuciła z pogardą.

- Nie bardzo. Byłaś wtedy dzieckiem.

- Odczep się z głupimi komplementami - syknęła. - Skończyłam czterdziestkę i nie mam depresji. - Wzięła głęboki oddech. - Z Sylwestrem zaczęliśmy się spotykać na rok przed chorobą jego żony. Gdy został wdowcem, rzucił mnie - skończyła mówić z lekkim uśmiechem.

Janek z westchnieniem pokręcił głową.

- Czterdziestki na pewno nie widać. Brak depresji, jak najbardziej. Tak samo jak niepoczytalność Płonina, kiedy pozwolił ci odejść. - Luiza roześmiała się sarkastycznie. - I na pewno cię nie przesłuchuję. Po prostu jestem ciekawski. - Spojrzył prosząco. - Powiedz, co potem.

- Potem nie chciałam tutaj być i natychmiast po dyplomie pojechałam najdalej, jak się dało. Zaczęłam pracować najpierw w dużym sklepie, a potem w firmie sprzedającej sprzęt elektroniczny. W końcu wyszło tak, że zajęłam się marketingiem, a w efekcie - reklamą. Może nawet robiłam coś w rodzaju kariery. No i trwało. - Dopła herbatę.

- Podobało ci się?

Potrząsnęła rudymi lokami.

- Nie zadawałam sobie takiego pytania. Po prostu funkcjonowałam. Zaraz zapytasz, czy byłam w jakichś związkach. - Rzeźbiarz gorliwie przytaknął. - Owszem. Nawet jako zaręczona, ale na szczęście zdążyłam się w porę wycofać. Nie oczekiwałam od losu niczego więcej. Zarabiałam w miarę dobrze, i co najważniejsze, byłam daleko od Warszawy.

- Rozwalił ci życie. Szkoda, że nie wiedziałem, bo całkiem inaczej bym z nim rozmawiał.

Uśmiechnęła się, co nadało jej twarzy prawdziwie koci wyraz.

- Rzeczywiście, tak myślałam. Ale nie winiłam jego, tylko siebie, za własną głupotę. Jednak pewnego dnia coś się zdarzyło. Pracowałam wtedy w przedstawicielstwie firmy w Pradze i mieli mnie przenieść do Wiednia. Zadzwoniła moja babcia z wiadomością o swoim wyjeździe do Australii na czas nieokreślony. Zaprosił ją ktoś, kto był jej miłością z czasów szkolnych. Żądała, żebym się tu przeprowadziła. Początkowo odmówiłam, ale skwitowała mnie jako tchórza. Oczywiście podziałało, więc jestem.

- I reklamujesz mleczka, serki.

- W tej chwili mamy akurat takie zlecenie. Producent dobrze płaci, chce wypromować nowy jogurt z wiśniami. Jego wola.

- W dodatku wyjątkowo dobry.

- Niezły, ale to nie wystarczy.

- Muszę zapytać. Jak wyglądało twoje pierwsze po latach spotkanie z Płoninem?

Zmarszczyła brwi.

- Bardzo poprawnie. Dużo lepiej, niż się spodziewałam. On był elegancki i miły, jak należało się dawnej dobrej znajomej, ale - skrzywiła się zabawnie - przede wszystkim... bardzo stary.

- Piętnaście lat.

- Niestety. Ale dla mnie na szczęście, bo zostałam całkowicie wyleczona z przeszłości. Tylko dlaczego ja ci to wszystko opowiadam?

Niebieskie oczy rzeźbiarza były pełne szczerości i prostoty.

- Bo jestem kimś nowym i w dodatku patrzącym na ciebie zupełnie inaczej. Tak, z racji zawodu. Dla każdego rzeźbiarza jesteś wymarzonym, fascynującym modelem.

Spojrzała niechętnie.

- Czy ty mnie przypadkiem nie podrywasz?

- Szefową? Gdzieżbym śmiał! Zresztą, potrzebowałbym czasu, a muszę jeszcze ogarnąć się w tym wszystkim.

- Dzięki Bogu - odpowiedziała z wyraźną ulgą. - Ogarniaj się, bo sprawa chyba rzeczywiście wymaga kogoś z zewnątrz.

- Dziękuję za jogurt.

Na pożegnanie pocałował ją w rękę i lekko objął. Pomyślała, że wykonał to w zaskakująco miły sposób. W sumie nic dziwnego, przecież miał cztery żony.

Wyciągnęła się z zamkniętymi oczami na fotelu kontiki. Dziwne, ale rozmowa nawet dobrze jej zrobiła. Może czasem warto spojrzeć na swoje życie, a potem, na przykład, zacząć o nim samej decydować, zamiast pozwalać rządzić tak zwanym nieprzewidzianym okolicznościom.

*

Robert Gondor rytualnie poprawił srebrno-granatowy krawat. Oczywiście niepotrzebnie, ponieważ wykonywany przez niego węzeł z zasady nigdy się nie przekrzywił. Z racji zawodu już

od lat musiał co dzień wyglądać bez zarzutu, więc dzisiaj jego jasnopopielaty, leciutko błyszczący garnitur też leżał idealnie, uspokajająco harmonizując z resztą stroju.

Kontrolne spojrzenie w lustro również nie było potrzebne. Finansista wiedział, że niczego nowego ani niespodziewanego w nim nie zobaczy. Swoją twarz znał dobrze i nie miał powodu jej sobie przypominać.

Natomiast dziwiła go nieobecność Sandry, która z natury punktualna, coraz bardziej przyzwyczajając się do życia z zegarkiem w ręku.

Brzęknęła komórka. Tak, wiadomość od niej. Robert spodziewał się czegoś krótkiego, może zabawnego, rzeczywistość jednak przykro go zaskoczyła: Przyjdę osobno. Możesz iść z Anetą. Dobrze wiesz co mam na myśli. Cześć!

Oczom nie wierzył. Jasne, że wiedział, o jaką Anetę chodzi, ale dlaczego ma pójść z nią na przyjęcie? I to do domu, w którym ona regularnie sprząta? Zaczął długimi krokami spacerować naokoło pokoju, nerwowo przeczesał palcami włosy. Tak, na pewno musi je skrócić.

Aneta jest koleżanką Sandry z liceum. Na ostatnim roku jakichś wyrafinowane humanistycznych studiów, bardzo zakochana, urodziła dziecko, którego ojciec niestety natychmiast się ulotnił. W efekcie nie mogła znaleźć normalnej pracy, dorywczo coś pisała, a głównie sprzątała, często zabierając ze sobą małą Emilię.

Dziewczynka od początku ma pecha, bo nie dosyć, że tatuś zostawił ją na lodzie, to jeszcze najwyraźniej po nim odziedziczyła urodę. Nie ma czarnych, kręconych włosów i pięknych oczu matki. Również jej cery, pewnie w związku z uczuleniami. I chyba też dlatego wczoraj rano u Płoninów dostała wysokiej temperatury.

Przerażona Aneta zadzwoniła do Sandry, która błyskawicznie przyjechała z Robertem, zlecając mu zawiezenie koleżanki z córeczką do szpitala, a sama wzięła na siebie sprzątaną willi. Gondor pojechał do szpitala, gdzie miała dyżur inna znajoma jego dziewczyny. Bardzo profesjonalna pielęgniarka o imieniu Sonia, racjonalna, gdy nawet on trochę spanikował, bo Emilka wyglądała dramatycznie źle. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, dziecko zostało zbadane, dostało lekarstwo i receptę, którą od razu udało mu się wykupić.

O co więc teraz sprawa? Nie dowie się, jeśli nie zapyta, a lepiej to zrobić wcześniej. Przygotowany na wszystko, wyjął swojego smartfona.

- No proszę, miło, że dzwonisz. - Wysoki głos Sandry brzmiał jadowniczo. - A wyobraź sobie, że dzisiaj skoczyłam do Soni z jej ukochanym ptasim mleczkiem. I wiesz, co mi powiedziała, prawda?

- O temperaturze, kaszlu, duszeniu się? O Anecie, że dzielna?

Dziewczyna zaśmiała się sarkastycznie.

- Jedno zgadłeś! O Anecie, ale wcale nie podziwiała jej charakteru, tylko chłopaka. Podobno wygrała los na loterii, że ma takiego świetnego, czulego faceta. Jak sądzisz, o kogo tu chodzi?

- Przecież nie o mnie.

- Był tam ktoś inny? A może Sońka ma przywidzenia? Bierze halucynogeny?

Gondor skrzywił się żałośnie.

- Nie było nikogo innego, Sonia na pewno niczego nie bierze, tylko ma bujną wyobraźnię. Aneta owszem, trochę się podłamała, robiłem to, co każdy w takiej sytuacji.

- Każdy? Obejmowanie, tulenie?

- No, nie! Widziała w swoim życiu tulenie?! Jadę na przyjęcie, pogadamy spokojnie.

Bezradnie kręcąc głową, zadzwonił po taksówkę. Na pewno dzisiaj się napije. Swoją drogą, co się stało Sandrze? Do tej pory nigdy nie była ani odrobinę zazdrosna.

*

Karina Wińska stała nieruchomo przed lustrem w małym przedpokoju. Właściwie niepotrzebnie, bo wyglądała jak zwykle. Ta sama nudna twarz bez niczego wyróżniającego się.

Może poza niebieskim kolorem oczu, ale też ma go dosyć. Dlaczego to Lila jest drobna, wyrazista z dużymi, ciemnymi oczami i kręconymi włosami? Tak zwane żywe srebro.

Przysłała wiadomość, że wie o tragedii i zazdrości jej silnych wrażeń. Potem pytanie, czy w związku z tym poznała kogoś fajnego.

Nie odpisała młodszej siostrze. Ta zresztą chyba na odpowiedź nie liczyła.

Przed kwadransem przyszedł SMS od Bartosza. Ma wrócić jutro rano i sprawdzić, jak się jego Snow White czuje. Tak dokładnie. Już nie Cindy, nie Kopciuch.

Naprawdę, bardzo, bardzo chciałyby usłyszeć, że jest Królową Śnieżką, poczuć jak dawniej jego ciepło, a przede wszystkim - uwierzyć. Ale na to ostatnie chyba nie jest wystarczająco głupia.

Z jednym przynajmniej nie miała kłopotu. Z wyborem, w co się ubrać.

Kilka miesięcy temu zobaczyła w małym sklepiku „Końcówki serii eleganckiej odzieży” suknię niekupioną w karnawale; długą, z niezbyt wielkim dekoltem, w kolorze mocno ciemnej wiśni, nawet według sprzedawczyni „trochę idącą w śliwę”. Materiał był piękny, lekko mieniący się i leżał idealnie. W dodatku czyjeś siłowe mierzenie spowodowało pęknięcie po pachę, więc Karina, płacąc jedynie pięćdziesiąt złotych, wyszła żegnana zachwyta, jak pięknie jej w tej tonacji.

Oczywiście powinna założyć pantofle na obcasie i poruszać się w nich z niebywałą gracją. Niestety, jedyne z posiadanych, które wchodziły w grę, były absolutnie za ciężkie na lato. Poza nimi miała tylko sandały, ale na szczęście wczoraj na bazarze kupiła masowo tego roku noszone rzymianki. Czarne paseczki stwarzały wrażenie lekkości i były kobiece.

Włosy pewnie powinna upiąć, ale dzisiaj chyba lepiej będzie się czuła z rozpuszczonymi. Po prostu spróbuje się za nimi chować.

*

Irmina Dobrzyńska obrzuciła ostatnim kontrolnym spojrzeniem długi stół pokryty jasnokremowym, ozdobionym skromną imitacją koronki obrusem. Na nim - spomiędzy pyszniących się kolorami potraw talerzy i salaterek - kokieteryjnie wyglądały firmowe serwetki. Przez znawców rozpoznawalne z daleka, w kolorze ecru z przydymionymi brzegami i delikatnym wzorem monogramu IG.

Pani Irmina sama zamawiała catering u najlepszego restauratora w mieście, Izydora Gapki. Jego nazwisko i imię może brzmiały zabawnie, natomiast w kategorii „jakość i rzetelność”, z ręką na sercu, nie miał sobie równych.

Przynajmniej to udało się bez kłopotu. Nawet zdążyła pogadać z Magdą, która wolała być teraz u niej. Wysłuchiwała nowin i pomogła siostrzenicy wybrać sukienkę, chociaż to ostatnie nie okazało się proste. Nagłe stwierdzenie: „Będę najgrubsza ze wszystkich, nie pokażę im się na oczy” pasowało do nastolatki, a nie do świadomej swego ciała i urody, wykształconej kobiety. Po pewnym wysiłku również z tym dały sobie radę.

Siostra profesora przywykła, że przy jego dzieciach o sobie myśli w minimalnym stopniu, dziś jednak nie miało to znaczenia. U fryzjera była dwa dni wcześniej, a prosta suknia z jedwabiu - w kolorze lawendy i z delikatnym wzorem, udającym rysunek piórkami - leżała na niej idealnie. I gdyby nie zmarszczka między jej brwiami bardzo dziś widoczna, tak jak opuszczone kąciaki lekko umalowanych ust Magdy, obie kobiety wyglądałyby na perfekcyjne gospodynie przyjęcia, które po prostu musi się udać.

- Czy przyszliśmy za wcześnie? - Z tarasu dochodził dobrze ustawiony głos Teresy Chociej.

- Powinien zostać wydany zakaz palenia w ogóle przy ludziach.

- Ale teraz akurat nie jestem przy ludziach - odparł grzecznie Mikołaj, strzepując popiół za balustradę

- To szczyt wszystkiego - nie krzyknęła, bo zabrakło jej oddechu. - Ada, wchodzimy do środka.

- Rozkazujesz mi. - Córka, nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem, zeskoczyła na dół w kierunku skalnego ogródka.

- Towar dostarczony! - Gondor pojawił się, taszcząc imponujących rozmiarów pudło.

Syn profesora obdarował go badawczym i nieprzychylnym spojrzeniem.

- Coś ci się nie podoba? - warknął finansista. - Podobno w końcu raczyłeś wziąć udział w ustalaniu prezentu.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

- Nie interesują mnie takie akcje.

- Oczywiście. - Gondor postawił karton na stoliku. - Ciebie kręczą tylko wielkie socjologiczne problemy. A jak byś wyjaśnił zjawisko nieróbstwa i nieudacznictwa?

- Gdzie Sandra? - zawołała Adrianna, nie przestając kontemplować kwiatowego dzieła Reisinga.

- Bardzo za nią tęsknisz? - Robert dziwnie, nawet dla niego samego, nie mógł się opanować.

- Chodź tu, rozpakujemy. - Magda Płonin w drzwiach salonu za wszelką cenę starała się pełnić obowiązki córki nieobecnego jubilata. - Myślałyśmy przedtem o wazie, ale ta lampa była super. Wygląda jak w katalogu?

- Mam nadzieję. - Ostrożnie zdejmował opakowanie.

- No, zgadza się. Najlepsza w całym domu aukcyjnym.

- Co to za tworzywo? - spytała nieufnie pani Teresa.

- Szklwiona porcelana - wyjaśnił Reising, który niezauważony oglądał dziewiętnastowieczną lampę ponad głowami zebranych. - Naprawdę udany zakup.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, do czego był oczywiście przyzwyczajony. Na połowie rozwodów na przykład słyszał, że jest gwiazdorem, a nie mężem. Ale teraz trzeba przyznać, że swobodnie nosząc jasny, lniany i świetnie leżący garnitur, już samym wyglądem wzbudzał powszechną sympatię.

- Jako outsider mam osobny prezent. Na dokładne zamówienie profesora. Stoi sobie cichutko w przedpokoju.

Rzeczywiście, w cieniu, na małym stoliku stała skromna, nieduża drewniana rzeźba Chrystusa Frasobliwego, niespodziewająca się z pewnością niekontrolowanego okrzyku zachwytu, jaki ją powitał.

- Mówił, że nie przepada za sztuką ludową, ale ten motyw uwielbia. Zapytał, czy mogę mu takiego wystrugać. Powiedziałem, żeby podał wymiary i wymagany stopień frasobliwości.

- O, Boże, jak smutno patrzy! - westchnęła Magda.

- Rewelacyjny - Adrianna przysłała z ogrodu - i dużo lepszy niż lampa - dodała autorytatywnie.

- Już wiesz, ile jest warta tej wielkości rzeźba dłuta Jana Reisinga? - rzucił w stronę Gondora Mikołaj.

- Na pewno jako dziedzic masz lokatę kapitału - odpowiedział tamten przez zęby.

- Wygląda, że za chwilę ożyje - zachwyciła się Teresa Chociej. - Teraz rozumiem, dlaczego pan jest tak sławny.

- Nie wiedziałam, że Sylwester lubił przydrożne Jezusiki - ton Małgorzaty Bogockiej, która właśnie się pojawiła, był lekko znudzony.

Mąż położył jej ręce na ramionach.

- Widać nie znałaś go aż tak dobrze - stwierdziła łagodnie pani Irmina. - Przeniosę Frasobliwego do gabinetu, a wszystkich prosimy do stołu.

- Chyba jeszcze nie wszystkich. Aduniu, czy są dziewczęta?

- Nie potrzebuję koleżanek do zabawy, mam.

- O, już idą. Nie wiedziałam, że się przyjaźnią.

Sandra i Karina rzeczywiście szły obok siebie, nie było to jednak przyjście razem. Prócz krótkiego „cześć” nie zamieniły ani słowa i może dobrze się stało z uwagi na zacięte usta i

zaciśnięte palce dziewczyny Gondora, która dopiero przy wejściu na taras odwróciła się, mierząc swoją towarzyszkę od stóp do głów ostentacyjnie pogardliwym spojrzeniem.

- Ciociu, nie widać Luizy, może coś się stało? - Magdalena Płonin odeszła na bok, usiłując dojrzeć okna sąsiedniej posesji.

- Zapewniani cię, kochanie, że nie ma powodu do obaw. Ona zawsze musi mieć *entrèe*.

- Nie lubisz jej.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- A wiesz, co ją łączyło z twoim ojcem?

Siostrzenica uśmiechnęła się.

- Dawno temu. I bardzo żałuję, że im nie wyszło.

Irmina Dobrzyńska odruchowo potrząsnęła głową, wznosząc oczy ku górze.

- Proponujemy bufet - zajęła się swoimi obowiązkami - bez uroczystego siadania za stołem.

- Krótkie przemówienie? - dopytywał się Mikołaj.

Przytaknęła i już zaczynała zdanie, gdy głos odmówił jej posłuszeństwa.

Luiza istotnie lubiła i potrafiła mieć wejście.

Oczom wszystkich ukazała się w beżowym złocie piętrowych falban spódnicy, wykończeniem nawiązującej do bluzki z koronką, wspaniale pokazującej dekolt, i zlewającej się z miodowymi włosami.

- Zaczynacie jeść? - Uśmiechnęła się po swojemu. - Zgadłam.

Siostra profesora zdołała odzyskać oddech.

- Moi drodzy, nie jest to stypa, ale też nie będziemy niczego udawać. Wszyscy wiemy, co się stało, nie wiemy dlaczego. Rozmawiajmy więc o tym, o czym chcemy. Nie mamy tematów tabu. A przede wszystkim - rzuciła ciepłe spojrzenie - sprawdźmy, jak to wszystko smakuje.

Nikogo nie trzeba była zachęcać.

- No, no, Gapka się popisał - stwierdził Bogocki.

- Najlepszy w Warszawie - przypomniała pani Teresa. - Ale ja osobiście nie mam pojęcia, co to na przykład jest. - Wskazała talerz przed nim.

- Roladki z rybką fugu. Tylko dla specjalnych gości - wyjaśniła jego żona i gdy zachęcona rozmówczyni sięgnęła po nie, parsknęła krótkim, drwiącym śmiechem.

- Byłam kilka razy w tej restauracji - odezwała się Sandra - ale nie pamiętam takiego smaku i aromatu.

Adrianna popatrzyła znad okularów.

- Może trzeba było spróbować z drugiej strony cennika.

Nie otrzymała riposty z powodu wjazdu na stół gorącej zupy serowej, która na dłuższą chwilę wyeliminowała wszelkie rozmowy.

- Jadłem u pana Izzydora *soupe au fromage* - przerwał ciszę Gondor - ale zeznaję pod przysięgą, nie umywała się do tej.

- Wniosek jest jeden - stwierdziła Teresa Chociej. - Pan Gapka inwestuje w swój rozwój.

Jego decyzja zawsze będzie procentować i zaskakiwać ludzi, którym by to po prostu nie przyszło do głowy.

- Aha - odpowiedział zaskoczony finansista. - Aha.

Towarzystwo podzieliło się na grupki. Przy ogródku skalnym Janek Reising odpowiadał na dociekliwe ogrodnicze pytania Bogockich. Stwierdził, że siostra profesora miała rację, mówiąc o pani Małgorzacie. Rzeczywiście, żona rektora na pewno nigdy nie była ładna, ubierała się, mimo zgrabnej drobnej sylwetki, fatalnie, ale było w niej coś, co przyciągało uwagę. Dlatego też, sam nie wiedząc jak, wdał się z nią w pasjonującą rozmowę o kwiatkach, chociaż ona o nich niczego nie wiedziała.

Po chwili jednak wrócił nieunikniony temat.

- Czy Sylwester mówił panu o swojej książce? - zapytał Bogocki, patrząc badawczo na rzeźbiarza.

- Nigdy. Mieliśmy do ugadywania Przeględę i sądziłem, że nią głównie teraz żyje.
- Zastanawiam się, ile osób mogło wiedzieć o jego pisaniu - powiedział rektor.
- Wielkie mnóstwo - stwierdziła dobitnie żona. - Nie wiemy, komu powiedział Wiński, a komu jeszcze ta jego mała. To znaczy, jego eks.

- Myślę, komu mogło się nie spodobać wystąpienie w charakterze bohatera. - Bogocki pociągnął łyk wina.

- I chyba mam pomysł, jak się czegoś dowiedzieć. Otóż, gdy byliśmy w Kanadzie, płatał się przy nas pracownik ambasady i w sumie sporo nam pomógł. Nazywał się Włodzimierz Kotulak. Lata później dowiedzieliśmy się, że był pracownikiem wiadomej instytucji, co nas nawet nie zdziwiło z uwagi na jego zachowanie i ówczesne realia.

- Niedawno mówiłeś, że spotkałeś kogoś w tym stylu.

- Dokładnie jego. Oczywiście nie zatajał przeszłości. Słuchajcie - ożywił się - jeżeli ktoś ma jakiegokolwiek informacje, to on. Wiem, gdzie mieszka, pójdę do niego.

- OK, pójdziesz. Ale jutro. I może weźmiesz pana Janka ze sobą. - Reising skinął głową z aprobatą. - A teraz skosztujmy tego mięska bez nazwy. Czuję, że jest świetne.

Wspomniana mała Wińskiego, a raczej jego eks, stojąc sama w rogu tarasu, już żałowała, że przyszła. Na szczęście w każdej chwili może wyjść. Nikt nie zauważy.

- Masz minę w sam raz na stypę. - Luiza podeszła do niej, podając wysoki kieliszek. - Coś ci się może tutaj nie podoba?

- Wszystko mi się podoba oprócz mnie samej - odpowiedziała automatycznie ku własnemu zdziwieniu. - Jestem ciemna i okropna.

Płomiennozłota kobieta zmrużyła zielonkawę oczy.

- Powiem ci nagą prawdę. Uważnie się przyjrzałam. Jesteś tu najpiękniejsza. Tak, wiem, co mówię. Magdalena jest troszeczkę za tłusta, Sandra bez makijażu pospolita i z nie najlepszym nosem, Adrianna natomiast skutecznie się oszpeca. Ja nie staruję w konkurencji z racji prawie innego pokolenia.

- Tak? Widziałas, jak na ciebie patrzy rzeźbiarz?

- Widziałam. Jak kloszard.

Sandra miała krótką sukienkę z białego jedwabiu w kropki, Magda - w jasnoniebieskie kwiaty, Adrianna, kremową koszulową bluzkę z jakimś medalionem. Nawet żona profesora Bogockiego nosiła żółtawą łączkę na białej falbaniastej spódnicy.

- Powinna była założyć coś jasnego - powtórzyła Karina.

- Ale w tym kolorze ci świetnie i wyróżniasz się. Patrz, pasujesz do Roberta. On jako jedyny jest w krawacie - uśmiechnęła się. - Fakt, patrzy jak bandyta, miejmy nadzieję, że z innego powodu. Chodź do stołu, poprawimy sobie humor.

Gondor nie zastanawiał się, jak patrzy i na kogo. Na alkohol też stracił ochotę. Właśnie przed chwilą zrobił najgłupszą rzecz w swoim życiu. Gdy został sam w salonie, podeszła do niego Sandra. Była inna niż zwykle i niż przy stole. Właściwie, przeprosiła go. Wyglądała przepięknie, gdy patrząc mu w oczy, powiedziała, że dużo przemyślała. Zrozumiała powód swojej zazdrości i niepewności. Mnóstwo czasu spędzają razem, ona u niego pomieszkuje. Sądziła, iż taki związek jej odpowiada, ale jest kobietą, potrzebuje być blisko ze swoim mężczyzną. Uważa, że powinni zamieszkać razem.

I wtedy on zachował się jak bezmózgowiec. Nie powiedział nic. Czyli dał kosza dziewczynie swojego życia i jednocześnie najbliższemu człowiekowi. Odeszła bez słowa, a jemu było jej straszliwie żal. Śliczna jak motyl, a właściwie szalenie przypominająca księżniczkę z bajki. Z książki, którą ukradł Karinie Wińskiej i którą zdążył już w domu przeczytać.

To ostatnie wzbudziło w nim poważne obawy, że zaczyna wariować. Kto wie? Parę dobrych powodów by się znalazło.

- Panie Janku, może my nie doceniamy tego Przemka. - Magda Płonin przyszła do siebie i w bladoniebieskim kolorze wyglądała naprawdę świetnie. - Ciocia mówi, że ostatnio był jakby chłopcem do wszystkiego. Jeździł do myjni i zawsze na stację benzynową.

- Tak, Sylwester nienawidził tankowania.

- A teraz we wtorek, środę, kiedy ojciec wyjechał, on tu siedział i pilnował domu. Mikołaj, co ty o nim wiesz?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

- Co mam wiedzieć? Małpa i tyle.

- Czy pani zgłosiła policji napad? - zapytał Reising.

- Oczywiście. Ale naprawdę nic nie wiem. Teoretycznie mógł to być przypadek, ale jak powiedzieli, nie codziennie ktoś spada ze schodów w galeriach. Poza tym dostawałam nieszczęsne SMS-y. I one się chyba skończyły.

- Nie było na przykład tryumfalnego komentarza? O spełnieniu groźby? - precyzowała ciotka.

- Nie. - Dziewczyna aż się wzdrygnęła. - Bracie - zmieniła temat - ty chyba nic nie jesz.

Tracisz wspaniałe żarcie.

Młody Płonin z rękami w kieszeniach oglądał stół tak, jakby widział na nim podręczniki do historii i geografii razem z ćwiczeniami matematycznymi.

- Ja osobiście uważam - Teresa Chociej poprawiła okulary - że prawdziwą ozdobą jest dzisiaj pani Luiza. Irminko, popatrz, jak ona się rusza. Jak gdyby całe życie nosiła tylko takie stroje. Przypominacie sobie „Przeminęło z wiatrem”?

Przy wejściu stanął kurier, a za chwilę pojawił się Mikołaj z okazałym bukietem różowych lilii oraz bilecikiem, który podał ciotce.

- „Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje i nie zapominać o oddanym przyjacielu Rodziny. Tomasz Jakubek”. Jak on śmie!

Adrianna przysłuchiwała się do tej pory milcząco.

- Gdyby był winny, to przecież zachowałby jakieś pozory. Poczekalby z nachalnością.

- Obawiam się, że myślisz zbyt logicznie jak na niego. - Magda Płonin zmęczonym ruchem odgarnęła jasną, opadającą na czoło grzywkę.

- Znowu ten? - Podeszedł Robert. - Może ja sobie jutro z nim porozmawiam bez świadków?

Właśnie zobaczył, że Sandra mówi coś do Wińskiej i po prostu wychodzi. Powinien pójść za nią. Natychmiast. Koniecznie.

Nie ruszył się z miejsca. Nie był w stanie.

- Może zostawcie biednego Jakubka w spokoju - odezwała się znudzonym tonem Małgorzata Bogocka. - Czy naprawdę musicie iść po linii najmniejszego oporu zamiast włączyć logikę, jak proponuje młoda osoba?

- Co masz na myśli? - zmarszczyła brwi siostra profesora.

- Dobrze wiesz, co. - Bogocka odwróciła się do męża.

Karina przed chwilą prowadziła z nimi trochę wymuszoną rozmowę, gdy podeszła do niej dziewczyna Gondora, na którą alkohol chyba nie podziałał najlepiej.

- Mam przywidzenia, czy raczej pomyliłaś tę imprezę z wycieczką na łąkę? - Spojrzała znacząco na jej letnie pantofle z rzemyków, niestety na płaskim obcasie.

- Ty już ani kropli. - Luiza wzięła ją pod rękę. - Masz dosyć.

- Odwieziemy ją z mężem, ale nie pani będzie decydować. Zwłaszcza w tej kreacji z pokazu mody muzealnej.

- Chyba lepiej z pokazu, niż z kościoła w niedzielę. - Płomiennowłosa kobieta, chwyciwszy koronkowy brzeg spódnicy, dygnęła z wdziękiem.

- Wychodzimy - zdecydowała Bogocka. - Tylko jeszcze słowo. Chciałam bardzo podziękować panu Izydorowi Gapce, bo on poprzez swój talent wykazał się klasą - stwierdziła dobitnie, zwracając się w stronę Irminy Dobrzyńskiej. - W odróżnieniu od tych, którym się nie chce

nawet pomyśleć, co się stało i dlaczego, bo zawsze im było po prostu wszystko jedno. - Głośno zaakcentowała ostatnie zdanie.

- A chyba w ogóle nie piła. Niedobrze - podsumowała Luiza Drogosz.

- Właściwie, o Gapce mówiła świętą prawdę - zastanowiła się pani Teresa. - I miała trochę racji, Irma, że nie masz powodu palić się do jakiegoś śledztwa, bo w sumie Sylwester zajmował się jakimiś swoimi sprawkami, a ciebie, siostry, do niczego na szczęście nie dopuszczał.

- Dziwne, że nie twierdzisz tego osobiście - odpowiedziała szwagierka, patrząc na romantycznie zachodzące słońce.

Natomiast Magda zrobiła się blada ze zdenerwowania. - Jak pani śmie! - krzyknęła. - To insynuacje.

- Płoninowie zawsze byli do przodu, bo Maja miała pieniądze. A twoja ciotka mogła liczyć tylko na siebie i na mojego brata świętej pamięci.

- Co? Chyba pijanej pamięci! Bo prócz pustych butelek niczego po sobie nie zostawił.

Wynocha! - Chwyciła torebkę pani Teresy i z rozmachem cisnęła ją w kierunku resztek ogrodzenia.

Gondor uniósł czarne brwi.

- Czy w rodzinie były przypadki furiactwa? - zainteresował się.

- Masz coś do rodziny? - spytał Mikołaj. - Ojciec cię właściwie przygarnął i traktował jak syna. Odkąd pamiętam zawsze byłeś. Chyba, że za granicą. - Ze złości brakowało mu tchu. - A teraz stoisz sobie z boku, uprzejmie obserwujesz i pewnie wszystko podliczasz, bo tylko to potrafisz.

Finansista bezradnie wznosił oczy ku górze.

- Może lepiej to, niż w ogóle nic, prawda?

- Co ty powiedziałeś?

Stanęli naprzeciw siebie. Mikołaj - trochę niższy i dużo drobniejszy - zrobił jednoznaczny krok w jego kierunku.

- Idzie na niego z łapami - jęknęła Luiza. - Oszalał!

- A najlepiej liczyć tak - młody Płonin nie zamierzał odpuścić - żeby wyszło, co chcemy, prawda? I żeby żadna komisja nic nie znalazła!

Jeśli chciał sprowokować kuzyna, to mu się udało, bo jego ciemne oczy zwięzły się całkiem i również ruszył do przodu. Pozostali mieliby więc interesujące widowisko, gdyby nie Magda, która w ostatnim momencie wpadła między mężczyzn.

- Spokój! - krzyknęła, odpychając brata. - Spokój! Wszyscy spokój! - Jej głos nabierał siły i stawał się przeraźliwy. - Spokój! Spokój!

Gondor włożył ręce do kieszeni.

- Dobra, nie wrzeszcz. A my się jeszcze zobaczymy! - rzucił w stronę Mikołaja, który z pełnym zadowoleniem skinął głową.

Karina poczuła coś w rodzaju żalu. Nie tak miało być w domu profesora.

- Koniec imprezy - ogłosiła jej towarzysząca, ostentacyjnie zawijając spódnicą.

Mikołaj wyjął telefon i zamawiał taksówkę.

Pani Irmina pojawiła się nagle przy Luizie Drogosz.

- Nie mogę wyjść ze zdziwienia - powiedziała spokojnie - że miałaś czelność tu się pokazać.

Twarz kobiety pozostała nieruchoma jak u złotej lalki.

- To nie jest i nigdy nie był twój dom - odpowiedziała Luiza bardzo wyraźnie. - Może lepiej też się wywrzeszcz albo zajmij tym, co przedtem. - Spojrzała w pociemniałe oczy siostry profesora. - Tylko teraz pewnie będzie ci trudniej.

Reising usiłował zrozumieć, co miała na myśli, ale podeszła do niego Magda Płonin. Po ataku hysterii wyglądała jak oaza spokoju i ciepła. Naprawdę piękna i jeśli matka była podobna, to nic dziwnego, że ożenił się z nią najatrakcyjniejszy facet w okolicy.

- Bardzo mi przykro, że tak wyszło. Mieliśmy rozmawiać o wszystkim, co się stało i dlaczego. - Potrząsnęła bujnymi włosami. - Miejmy nadzieję, że pan profesor Bogocki uzyska jakieś informacje od swojego znajomego. Szczerze mówiąc, teraz najbardziej na to liczę.

Przerwała, bo Mikołaj bez słowa pokazał swój telefon. Na ekranie wyświetliła się krótka wiadomość: *Następny? J.*

- Bez paniki - dodał. - Będę się trzymał z daleka od wszelkich schodów. Idę, bo samochód ma czekać za rogiem. - Pomachał na pożegnanie ręką.

Magda automatycznie pobiegła za nim kilka kroków, ale zatrzymała się w poczuciu bezradności.

Ada Chociej poprawiła okulary.

- Jeden wierszyk Brzechwy ma taki ciekawy finał: „Teraz wszyscy się wynoście”.

- „No i poszli sobie goście” - dokończył Gondor.

- Bardzo dobra pointa.

- Zgodnie z nią, żegnam. - Adrianna, nie oglądając się, szybkim krokiem, sprężystym krokiem powędrowała pustą uliczką.

Karina zamierzała zrobić to samo, tylko może trochę grzeczniej, uprzedził ją jednak jedyny dzisiejszy gość, z którym tutaj na szczęście nie zamieniła ani słowa.

- Jedziemy w tę samą stronę. Zawołałem taksówkę - powiedział szybko Gondor. - Najprościej będzie, jeśli pani wsiądzie ze mną.

- Bardzo dobrze - zdecydowała Luiza. - Nawet nie dyskutuj. Robert wypuści cię po drodze przed domem i przynajmniej na pewno dojedziesz.

Pomysł był najgorszy z możliwych. Jednak Karina nie miała wyjścia i trochę jak na ścieżce poszła w kierunku ciemnego volkswagena, którego drzwi otwierał przed nią wysoki, południowy brunet w nigdy niezmiętym garniturze z nigdy nieprzekrzywionym krawatem.

Luiza i Reising zostali sami przed rezydencją Płoninów.

- No i żadnych rewelacji - podsumowała. - Czujesz się zawiedziony?

- Nie, jeśli zaprosisz mnie na herbatę. Może być też szklanka wody.

- Więc czujesz się zawiedziony.

Oświetlona niknącymi promieniami zachodzącego słońca, cała złocistobeżowa jak wytworna postać ze starej fotografii, spojrzała mu prosto w oczy.

- Zadzwoń jutro o dowolnej porze.

Odwróciła się i lekko unosząc falbany, zniknęła za ogrodzeniem swojego domu.

*

Robert zwykle w naturalny sposób rozmowny, teraz po prostu milczał. Powinien w tej chwili jechać nie do siebie, tylko w zupełnie innym kierunku. Do Sandry, aby naprawić swoje bezsensowne zachowanie. Poprosić, żeby jutro wprowadziła się do niego, bo jest kobietą, z którą on pragnie przejść przez życie. Potem spędzić z nią wspaniałą noc. Zaplanować przyszłość. Porozmawiać o dzieciach.

Powinien i chce, ale robi coś wręcz odwrotnego. Wiezie dziewczynę, wobec której czuje się winny. I słusznie, bo ją okradł. Pierwszy raz w życiu zrobił coś tak podłego, a w dodatku sprzecznego z prawem.

No i co dalej? Odda jej własność? Nie, nawet się nie przyzna, a w razie czego, wyprze w żywe oczy. Ewentualnie jakoś podrzuci. Ale na sto procent dzisiaj przeczyta do końca, bo zostały mu jeszcze dwa opowiadania. Właściwie nie wie, jak je nazwać. Nie są to bajeczki dla dzieci ani fantasy dla dorosłych. Zapewne dobra literatura młodzieżowa osadzona w baśniowych realiach.

Rzucił spojrzenie na siedzącą obok Karinę. Piękne czarne włosy, subtelny profil, świeża cera. Świetna suknia pokazująca bezbłędną figurę. Nie można dziwić się Wińskiemu, że na jakiś czas stracił dla niej swój słynny rozsądek.

- Nie bardzo udało się impreza? - zagadnął.

- W tej sytuacji udane przyjęcie byłoby trochę dziwne - powiedziała jakby sama do siebie.
- Mam niestety swój wkład w urodzinową porażkę, ale zaczął Mikołaj. Poza tym od lat go chciałem zrolować, tylko zawsze był mniejszy i słabszy.

Nie do wiary. Naprawdę to powiedział. Nic dziwnego, że jego towarzyszką, odwróconą do okna, zaczęła się cicho śmiać. Pokręciła głową. Jej włosy wspaniale wyglądały na lśniącem materiale w kolorze czerwonego wina.

- Całkiem, jak na podwórku. Zgroza.

- OK, jestem niedojrzały - zgodził się i postanowił zmienić temat na stawiający go w lepszym świetle

- Jak pani radzi sobie po rozwodzie?

Raczej nie trafił w dziesiątkę, bo w odpowiedzi otrzymał krótką chwilę milczenia.

- Dziękuję, świetnie. - Zdawkowe skinięcie.

- Gdyby pani potrzebowała jakichś pomysłów finansowych, w każdej chwili jestem do dyspozycji.

Pomyślał, że tego chyba nie można mu wziąć za złe.

- Dziękuję, jeśli będę potrzebowała, na pewno się zgłoszę. - Wystudiowana uprzejmość w jej głosie, niestety nie wystawiała chlubnego świadectwa jego talentom konwersacyjnym.

W dodatku uświadomił sobie, jaką gafę strzelił, nawiązując do jej sytuacji finansowej, z której nieroztropnie kpił dzisiaj rano. Tej rozmowy nie da się uratować. Na szczęście dojechali pod dom Kariny. Odprowadził ją do drzwi.

- Czy na pewno jest pani bezpieczna? W razie czego, proszę natychmiast dzwonić. - Szybko podał jej wizytówkę.

- Jestem bezpieczna. Dziękuję.

Chciał się pożegnać, ale już zniknęła za drzwiami.

W taksówce miał czas na myślenie. Przede wszystkim trzeba ustalić autora opowiadań, które dzisiaj przeczyta do końca. Teoretycznie może być nim ktokolwiek, na przykład siostra Wińskiej, bo podobno istnieje. Jednak czysto intuicyjnie Gondor był przekonany, iż książkę ukradł właśnie autorce. Dziewczynie, która dzisiaj przestała go irytować. Wyrzuty sumienia? Patrząc czysto formalnie, nie ma dowodów, że ona jest chytrą panią z prowincji, natomiast są, że on jest złodziejem. A w ogóle, jeśli wziąć pod uwagę jej sposób bycia, to spryciary zachowują się zupełnie inaczej. Naprawdę, taka rezerwa i chłód potrafią robić niezłe wrażenie. Dobrze zapamiętał niebieskie oczy w ciemnej oprawie, patrzące na niego z kompletną obojętnością.

Nie, z pewnością nie wolno żartować z Bartosza Wińskiego, że poleciał na tyle młodszą od siebie. Ale należałoby zapytać, dlaczego mając taki towar, nie zatrzymał go. Przecież nie musiał się rozwodzić.

*

Dwadzieścia minut po północy zadzwonił telefon Janka Reisinga, przerywając mu doniosłą czynność obserwacji rzeczywistości z pozycji schodków swojego domu. Noc była ciepła, sylwetki drzew rysowały się delikatną koronką na tle rozgwieżdżonego nieba. Idealne warunki do analizy rzeczywistości.

Szkoda, że na przyjęciu nie ujawniło się nic nowego. Z wyjątkiem, oczywiście, pożądanego koloru włosów Luizy.

Każdy pokazywał swoje odczucia, czasem aż nadto zgodnie z oczekiwaniami. Może Gondor i Mikołaj powinni byli dokończyć, co zaczęli, ale Magda Płonin nie pozostałaby sobą, gdyby nie wkroczyła. Zresztą ma w tym wprawę od dzieciństwa.

Przesuwał w pamięci kolejne obrazy wieczoru, tak się składało, że na każdym widział przede wszystkim wdzięcznie poruszającą się sylwetkę kobiety o miodowych włosach.

Te wspomnienia przerwał mu niedelikatnie, skądinąd sympatyczny, dzwonek komórki.

Trudno gniewać się na Mozarta.

Głos Mikołaja w telefonie brzmiał imponująco spokojnie.

- Przed chwilą spalono mi samochód - powiedział po prostu.

- Jadę.

Gratulując sobie, że już może prowadzić, błyskawicznie ruszył swoim SUV-em. Zaczynał robić się zły. Gdy on sobie po prostu siedział, ktoś spokojnie realizował ułożony plan. Czyżby czegoś dzisiaj nie zauważył? Wobec tego powinien mieć pretensję do samego siebie.

*

Magda Płonin odebrała telefon stacjonarny. Nie spała już, a jej ciotka zostawiła na biurku wyłączoną komórkę. Słuchawka wypadła jej z ręki.

- Nie do wiary - powiedziała, drżąc. - Nie do wiary.

- Tak! - słychać było przenikliwy głos Małgorzaty Bogockiej. - Rysiek nie żyje, bo chciał wam pomóc! Mój mąż zginął przez głupie ambicje twojego ojca! - skandowała. - Nie chcę was znać!

Córka profesora owinęła się kocem, bo mimo ciepłego poranka wstrząsnęło ją zimno. Przez dobrą chwilę siedziała zwinięta w kłębek na starej kanapie w dużym pokoju u Irminy Dobrzyńskiej. Powoli docierało do niej to, co usłyszała. Czuła ogarniający ją lęk i ogromną potrzebę rozmowy z kimś bliskim.

Nie, nie może zachowywać się bez sensu. Najpierw pozna fakty. Prostując plecy, spięła włosy klamrą i wybrała w iphonie numer policji.

*

Ada Chociej w milczeniu podwijiała rękawy czarnej bluzy.

- Wychodzisz tak wcześnie? - zdziwiła się matka.

- Otwieramy o dziesiątej, ale mamy co robić od rana.

- W takiej malej księgarni! - Westchnęła, wyciągając ze schowka odkurzacz. - Popatrz, jak innym układa się życie. Magda i Mikołaj będą teraz współwłaścicielami uczelni. Co z tym zrobią? Jesteście w podobnym wieku, ja osobiście uważam, że powinnaś z nimi porozmawiać.

- Mamo! - Dziewczyna odwróciła się przy wyjściu naprawdę zdenerwowana.

- A przynajmniej chociaż odrobinę się do nich zbliżyć. Z twoimi kwalifikacjami...

Nie skończyła, bo córka zatrzasnęła za sobą drzwi i gdy ona ze zrozumiałą irytacją rozpoczęła porządki, Ada niedbałym krokiem zmierzała w kierunku przystanku.

Ciepły wiatr lipcowego poranka lekko muskał jej związane w węzeł włosy. Mimo bardzo niekobiecego stroju, zgrabną sylwetką i leniwym wdziękiem przyciągała zaciekawione spojrzenia mężczyzn.

Z kieszeni nad kolanem drelichowych spodni wyjęła dzwoniącą komórkę.

- Witam pana. - Jej twarz rozświetlił ciepły uśmiech. - Odebrałam wiadomość i jak najbardziej jesteśmy umówieni.

Przez chwilę uważnie słuchała i odpowiedziała niskim, przyjemnym śmiechem.

Zignorowała przyjazd autobusu i rozmawiała, idąc dalej. Po skończeniu zatrzymała się przed wystawą sklepu z luksusową bielizną, gdzie ceny uroczy zbliżały się do wysokości jej ostatniej miesięcznej wypłaty.

*

Robert Gondor, wychodząc spod prysznicza, niestety nie odwrócił głowy od lustra i spotkała go wątpliwa przyjemność ujrzenia swojego odbicia. No, tak. Przed chwilą stwierdził, że ostatnie z posiadanych ostrzy nie nadaje się do użytku, a ponieważ nie lubił elektrycznej maszynki, zrezygnował na dzisiaj z niekoniecznego zabiegu estetycznego, jakim jest golenie.

Efekt był łatwy do przewidzenia. Wyglądał jak terrorysta.

Bardzo dobrze, pasuje mu do nastroju.

Przed siódmą obudziła go Magda, informując, że Bogocki został zabity na schodach kamienicy, w której mieszkał niejaki Włodzimierz Kotulak, a Mikołajowi spalili samochód.

Może wystarczy, jak na poniedziałek rano. Zostawił wiadomość w firmie, że dziś nie przyjdzie. Swoją drogą, czy ktoś chciałby pracować z szefem, który spędził noc, jak on? Mimo woli uśmiechnął się. Do pierwszej czytał bajki dla młodzieży. Te dwie następne były długie, a on jeszcze musiał wrócić do początkowej. Potem okazało się, że przeczytał jeszcze raz do końca.

Trzeba coś z nimi zrobić. Nie mogą się marnować.

Następna wiadomość od Magdy: Spotkanie u Luizy o 9. Wyjaśnienia później.

No to jeszcze zdąży pojechać do Wińskiej nawet, jeśli postoi w korku. Nie ma na przykład obowiązku jeść śniadania.

Po drodze usiłował choć trochę zebrać myśli. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się jechać na spotkanie i nie być przygotowanym. Bo nigdy nie musiał przyznawać się do kradzieży.

Gdy z tymi niekonstruktywnymi rozważaniami dotarł do celu, udało mu się zająć ostatnie miejsce do parkowania. Kierowca sportowego nissana najwyraźniej uważał je za swoje, ponieważ nacisnął klakson i zaczął wysiadać. Nieoczekiwanie jednak, gdy przyjrzał się Gondorowi zamykającemu drzwi wozu, pośpiesznie wrócił do swojego samochodu.

Cóż, ciemny zarost, jego karnacja, czarny podkoszulek i džinsy robią swoje. Ciekawe, czy dalej będą pomagać, czy, co bardziej prawdopodobne, wręcz przeciwnie. Jako pierwszy sukces mógł jednak odnotować fakt, że został wpuszczony po podaniu nazwiska przez domofon. Wcale nie musiało się tak stać.

Pierwszym wrażeniem, jakie zrobiła na nim Karina, otwierając drzwi, było zaskoczenie jej wyglądem. Robert miał świeżo w pamięci długie, czarne włosy opadające na ciemnowiśniową suknię i tworzące nieco mroczną, niemal bajkową postać. Teraz widział dziewczynę ze związanym wysoko końskim ogonem, ubraną w białą koszulową bluzkę z krótkim rękawem. Na pewno dużo młodszą, niż wynikałoby z daty urodzenia.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że spała pani dobrze powczorajszym wieczorze. - Zaczął głupawo i był tego świadom.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała, marszcząc brwi. - Proszę, niech pan wejdzie - dodała bez wielkiego entuzjazmu.

Błysnął najbardziej olśniewającym uśmiechem, jaki mógł zaprezentować, ponieważ w zasadzie nic mądrzejszego mu nie zostało.

- Przede wszystkim przepraszam za najście o wczesnej porze i od razu spytam. - Wyciągnął z plecaka gruby plik zadrukowanych arkuszy. - Bardzo chciałbym wiedzieć, kto jest autorem tych pięknych baśni.

Znieruchomiała ze zdumienia. Potem rzuciła automatyczne spojrzenie na półkę i zauważyła brak maszynopisu. Chyba lekko pobladła.

- Skąd pan to ma? - spytała cicho.

- Wziąłem z półki, kiedy pani wyszła do sąsiadki podczas mojej poprzedniej bytności - wyrecytował i na szczęście miał to już za sobą. - Przyznaję się, że ukradłem. Przepraszam.

Nie odpowiedziała. Patrzyła jak na bardzo rzadki, lecz niezbyt zachwycający okaz. Zamrugła powiekami o długich, ciemnych rzęsach.

- Pan zwariował - stwierdziła, biorąc oddech. - Zwyczajnie i po prostu - uściśliła diagnozę.

- Spodziewałem się znaleźć tutaj część książki Płonina, powierzoną pani przez byłego męża.

Karina otworzyła szeroko oczy.

- Co takiego? Uroił pan sobie taką brednię - mówiła powoli - przyszedł do mnie i ściągnął z półki pierwsze z brzegu papiery. - Zaczynała podnosić głos. - Niestety wypadło na coś, co ja napisałam. Zadowolony pan? - krzyknęła nerwowo.

- Ze swojego postępowania - nie. Ale szczęśliwy, że mogłem przeczytać pani baśnie. - Zrobił krok do przodu.

Cofnęła się.

- Czy pani ma na nie wydawcę? Czy jest ich więcej?

Potrząsnęła głową.

- Nie mam. Jest więcej - powiedziała szybko. - I proszę już iść.

Zobaczył, że drży. Najwyraźniej temat zdenerwował ją. Może wspomnienia? Bez namysłu przyjacielskim ruchem otoczył ją ramieniem. Była chyba zbyt zmęczona, żeby się wyrywać, a może rzeczywiście bardzo potrzebowała uspokojenia, bo przez chwilę mógł czuć jej ciepło i słyszeć bicie serca.

- Jeszcze dzisiaj zacznę myśleć, jak je najlepiej wydać. Wszystko będzie dobrze. Tylko niech pani uważa na siebie.

Powoli, lecz zdecydowanie odsunęła się. Nie odpowiedziała ani słowem. Gondor patrzył na jej pięknie wykrojone usta. Wiedział, że jeśli w tej chwili nie wyjdzie, będzie je całował i obojętne, czy ona mu na to pozwoli.

Naprawdę cudem udało mu się odwrócić. Szczęśliwie nie zawiodło go wychowanie, bo potrafił złożyć ukłon godny jego stanowiska.

- Jeszcze raz przepraszam i do zobaczenia wkrótce.

Zbiegł po schodach w rekordowym tempie, podobnie ruszył samochodem. Nie rzucił nawet okiem na trzy cnoty reprezentowane przez kariatydy, zdobiące gmach Sądu Najwyższego. Dopiero mijając ambasadę Chińskiej Republiki Ludowej, pozwolił sobie na analizę tego, co prawie się stało.

Wszyscy próbują coś działać w sprawie, jego również w jakiś sposób dotyczącej, a jego nieprawdopodobnie pociąga dziewczyna, którą dawno uznał za niegodną jakiegokolwiek zainteresowania. Może powinien wybrać sobie lepszy moment na takie rzeczy. Ale jedno jest pewne. Straszny głupek z tego Wińskiego.

*

Janek Reising nigdy się nie spóźniał, toteż na Floksową dojechał trochę przed dziewiątą. Luiza czekała, siedząc na schodkach w malowniczo dziurawych dżinsach i jedwabnej, białej bluzce na ramiączkach. Nie zaprotestowała, gdy na powitanie pocałował ją w policzek.

- Ma przyjść Gondor i Magda. Podziwiam, jak ona to wszystko znosi. - Wchodziła po skrzypiących schodach. - Chociaż zawsze była twarda. Jak ojciec - dodała, wzruszając szczupłymi ramionami. - Co z Mikołajem?

- Trzyma się, a przynajmniej takie robi wrażenie. Prowadzący śledztwo obiecali mu, że znalezienie tego, kto wysłał SMS-y, jest tylko kwestią czasu.

- Czasu! - prychnęła kobieta. - Niestety, ktoś umie go znakomicie wykorzystywać. Zdążył popełnić dwa morderstwa, dwa zamachy i podpalenie. - Wyjrzała przez okno.

- O, idzie Magda, ale chyba coś nie tak.

Rzeczywiście, córka profesora wbiegła przez furtkę, niemal gubiąc torbę zsuwającą się z tego pośpiechu z ramienia.

- Jesteście tam? - zawołała na schodach. - Zaraz przyjedzie policja.

- Nie! - krzyknęła Luiza - Nie mów, że znowu...

- Owszem. - Zdyszana Magda wzięła od niej szklankę z wodą. - W nocy było włamanie do willi ojca. Wszystko kompletnie poprzewracane.

- Boże, nic nie słyszałam. Śpię od drugiej strony.

- Czy coś zginęło? - usłyszeli nagle Gondora.

Magdalena Płoin spojrziała z naganą.

- Spóźniasz się, wchodzisz po cichu i wyglądasz jak bandyta. - Nerwowo usiłowała związać włosy. - Skąd mogę wiedzieć, czy coś zginęło? Nie mam pojęcia. Ciocia to jakoś ogarnie.

- Wcale się nie spóźniłem, chodzę, jak umiem, a wyglądam tak, jak mnie stać - oznajmił finansista.

- Oczywiście, Robert. Nie martw się, nie jest tragicznie. A najlepiej zjedźmy jajecznicę na początek dnia.

Luiza Drogosz szybko zbiegła na dół.

- Słuchajcie, to, co widziałam w domu, jest szokiem - kontynuowała Magda. - Jakby przeszedł huragan. Jedno pamiętam. Lampa, którą kupiliśmy dla ojca, została nie tylko zrzucona, ale czymś umyślnie potłuczona na drobne części. Jakby z nienawiści. Oczywiście Jezusik Frasobliwy nietknięty. - Reising skinął głową z aprobatą. - Zajrzałam jeszcze do garażu. Tam był zawsze porządek i mało gratów, ale i tak leżały powywracane. Pomyślałam sobie, że mieliśmy szczęście w nieszczęściu, bo w kącie stał kanister z benzyną. Gdyby ten ktoś nim też się zajął, to nie wiem... - Zadrżała, jakby z zimna. - Przecież samochód Mikołaja też został podpalony.

- I twój brat miał powód, żeby nie pójść dzisiaj do pracy - zauważył Gondor. - O, jaki cudny zapach!

Rzeczywiście, wniesiona przez gospodynię duża patelnia jajeczniczy z daleka dawała świadectwo użycia sporej ilości wędzonego boczku.

- Super. Pomogę ci z kawą. Ale sądziłam, że odżywasz się bardziej zdrowo niż kalorycznie. Ja sama nie wiem, czy powinnam - zastanawiała się przyjaciółka.

- Jedz - poradził jej kuzyn. - Zdrowie w razie czego możesz naprawić, a straconego smaku, niestety, odzyskać się nie da.

- Święte słowa - przyznał rzeźbiarz. - A czy wiadomo, jak ten ktoś wszedł do środka willi?

- Przez okienko w piwnicy. Wyłamał zamek.

- No to na pewno nie ja - stwierdził krótko Gondor, a córka profesora nieoczekiwanie roześmiała się.

- Tak, już dwanaście lat temu nie mieściłeś się. Utknął tam podczas mojej osiemnastki - wyjaśniła. - Trochę wariowaliśmy, ale nieszkodliwie. Ja wtedy nie miałam żadnych problemów z przejściem i myślę, że dzisiaj też.

- Zakład? - podskoczył zadowolony.

- Z tobą nigdy. I przypomnę ci, że południowcy podobno nie jadają śniadań.

Wzruszył ramionami.

- Paskudnych, na przykład płatków, oczywiście nie. Ale to było znakomite. Luiza, jesteś rewelacyjna.

Obserwowała ich, mrużąc zielonkawe oczy, ze smukłymi palcami zanurzonymi w miodoworudych włosach.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z najważniejszego. Ktoś was naprawdę bardzo nie lubi - powiedziała cicho, lecz wyraźnie. - Najpierw wylatuje w powietrze głowa rodziny. Potem córka dostaje straszące wiadomości i spychają ją ze schodów. Następny SMS i pali się samochód syna. Czy to mało? Swoją drogą, trzeba naprawdę nienawidzić, żeby jeszcze po śmierci potłuc prezent, bo był od rodziny.

- Ktoś nie ogranicza się do nas - zauważył Gondor. - Wyrzucił z autobusu Karinę Wińską i urządził farbą tego pawiana od harleya. Ich przedtem nie straszyl.

- Skąd wiadomo? - zastanowiła się Magda. - A Wińska może w jakiś sposób być powiązana ze wspomnieniami ojca, które przecież jej były mąż miał czytać. Harleyowiec jeszcze bardziej. Jeśli czegoś w nocy szukano, to najprędzej właśnie tekstu albo notatek. Zauważcie, jak zginął profesor Bogocki.

- Prawie na własną prośbę - zgodził się jej kuzyn. - Ogłosił, że idzie rozgrzebywać stare dzieje z człowiekiem, który mógł mieć dostęp do różnych informacji. Nie doszedł, bo spadł ze schodów, gdy był już blisko celu. - Rozłożył ręce. - Jak w filmie.

- Jego żona zrobiła mi dzisiaj awanturę. W sumie, nie mam pretensji w jej sytuacji.

Natomiast, Robert, proszę cię, uważaj. Rozmawiałeś o wydaniu i promocji książki. Nie muszę ci chyba tłumaczyć...

Zmrużył oczy.

- Nie tak łatwo mnie zrzucić ze schodów. A interesuję się nie wspomnieniami, tylko pieniędzmi, które uczciwie zarabiam - błysnął uśmiechem - i żadnemu mordercy nic do nich.

- Myślę - Luiza obracała szklankę w smukłych palcach - że my wszyscy po prostu strasznie mało wiemy. O tym Jakubku na przykład w ogóle nic. Chociaż mnie ciągle się objija o uszy on albo kolejna impreza integracyjna w tej jego „Białej Gospodzie”, która, trzeba przyznać, trzyma poziom. Facet ma mnóstwo znajomości, umie znaleźć się we właściwym czasie i miejscu.

- No, nie zawsze - westchnęła córka profesora. - Ale jestem tego samego zdania. Nie powinniśmy go bagatelizować. Nikogo nie powinniśmy. Również tej - skrzywiła się rozpaczliwie - Julii, którą ojciec sobie głowę zawrócił. Ciocia obiecała do niej zadzwonić i umówić nas. Panie Janku, czy pan pojedzie ze mną?

- Koniecznie jedź - poradziła gospodyni. - Ona, jeśli się zdenerwuje na niedoszlą macochę, to przecież nie odpowiada za siebie.

Zadzwonił telefon. Pani Irma, która już rozmawiała z policją, prosiła Magdę do willi Płonina. Ta, biorąc ze sobą Roberta, pożegnała się z Reisingiem, obiecując szybką wiadomość.

- Ograniczyłeś się do obserwacji. - Przypominająca rudego kota kobieta patrzyła na rzeźbiarza uważnie i pytająco. - Czy masz jakieś wnioski i czy wpadniesz do mnie koło południa? Podobnie jak Mikołaj nie idę do pracy.

Najchętniej w ogóle by nie wychodził. Cóż, kiedy powinien teraz z kimś się spotkać.

- Jasne, że przyjdę - rzekł i uśmiechnął się swoimi srebrnoniebieskimi oczami. - Z wnioskami gorzej. Wszystko jest normalne i naturalne, natomiast jedna rzecz - stanął na ostatnim schodku - szczęśliwie mi się nie zgadza. Mały, nieznaczący szczegół, ale będę go pilnował, bo jeżeli nie pasuje, to musi być ważny.

*

Mikołaj rzeczywiście został w domu. Nie tylko dlatego, że zdarzyła się okazja, by nie pójść do zniechęconej roboty, ale naprawdę musiał jeszcze coś załatwić.

Śniadanie ledwie przełknął i to w raczej symbolicznym rozmiarze. Przed wyjściem do czekającej taksówki rzucił okiem w lustro. Szara cera, podkrążone oczy. Tylko włosy w porządku. Rodzinna cecha, ojciec miał niewiele gorszą fryzurę. Szkoda, że nie odziedziczył jego charakteru, który przydałby mu się podczas dzisiejszej rozmowy.

Na Ursynów dojechał niespodziewanie szybko i równie sprawnie odnalazł mieszkanie Rosińskiego. Człowiek ten budził w nim zawsze najgorsze uczucia, toteż nawet ucieszył się, zastając w domu wyłącznie jego dziewczynę.

- Cześć, Nikola - powiedział z maksymalnie naturalnym uśmiechem.

Mimo iż była podobnie jak on zmęczona, nieumalowana i w beznadziejnym szarym topie, wydała mu się dziwnie pociągająca.

- O co chodzi? - spytała, mierząc go nieprzychylnym spojrzeniem.

- Możemy pogadać? Proszę cię.

Z ciężkim westchnieniem zrobiła krok do tyłu, co potraktował jako zaproszenie.

- Chcesz wiedzieć coś o tatuśku? A może uważasz, że Przemek zorganizował zamach i będziesz błagał, żeby się przyznał? - Jej drobne rysy wykrzywiła złość. - Na przykład do odwalenia brudnej roboty dla ciebie, jasnie dziedzica wyższej uczelni. Trochę mało skaczesz z radości, nie krepuj się.

- Ależ Nikola, nie masz racji. Posłuchaj mnie - usiłował przerwać potok nienawiści. - Mój ojciec zginął, nietwój. W dodatku ktoś na mnie poluje, tak jak na resztę rodziny. Nie wiadomo, jak to się skończy. Dzisiaj było na Floksowej włamanie, chciałem wyjaśnić...

- O, to na pewno Przemek! - Zaśmiała się histerycznie. - Bo mało miał tego przekłętego domu, gdzie musiał robić dosłownie za wszystko. I co dostawał w zamian? Nie wiem, bo wdzięczności na pewno nie. - Przeciągnęła nerwowo palcami po męsko ostrzyżonych, ciemnych włosach.

- Nikola... - zaczął, lecz zniknęła mu z oczu, błyskawicznie wpadając do łazienki.

Wyszedł bez słowa i nadziei na cokolwiek. Wszystko jasne. Przynajmniej już wie, dlaczego Nikola wyglądała jakoś lepiej, bardziej kobieco. Nawet takie wystrzyżone stwory zachodzą w ciążę. Pogratulować Rosińskiemu, ale powodów do zachwytu sytuacją raczej nie widać.

Mikołaj smętnie powlókł się na przystanek. Jemu też nie ma czego zazdrościć. Nie czuł się ani trochę dziedzicem, tylko zwyczajnie przegranym facetem, który musi zmobilizować wszystkie siły, żeby funkcjonować godnie, jak człowiek.

Dzisiejszej nocy o mało nie streścił całego swojego życia rzeźbiarzowi, do którego sam nie wie czemu zadzwonił, gdy spłonął jego samochód. Miał rację. Do wozu nie był szczególnie przywiązany, ale występowanie w charakterze ofiary, czyjejś albo losu, było przykre, a Janek Reising swoim spokojem i życzliwością naprawdę mu pomógł.

Najchętniej powiedziałby mu dokładnie wszystko.

*

Karina, mimo gorącego lipcowego dnia, poczuła chłód. Owinęła się swetrem, który na szczęście trzymała w redakcji.

- Jesteś przeziębiona? - spytała Wiola.

Potrząsnęła głową. Oczywiście była zdrowa, jednak czuła, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa. Poranna wizyta człowieka, który bez cienia wstydu oznajmił, że wczoraj ją okradł, nie należała do normalnych. W dodatku ten złodziej zachowywał się tak, jakby miała obowiązek uważać go za dobrego znajomego i jeszcze zaciągnąć u niego dług wdzięczności.

Cóż za chory pomysł, że eksmaż po rozwodzie zostawia u niej ważny maszynopis! Jak można tak zwyczajnie wziąć czyjąś własność, kiedy nikt nie patrzy? A potem odgrywać rolę opiekuńczego wujka. Dlaczego nie wyrwała mu się natychmiast? Pewnie ze zmęczenia i zdołowania.

No i myślała wtedy przede wszystkim o swojej pisaninie, którą kiedyś, dawno, ogromnie przejęta pokazała Bartoszewi. On przejrzał tekst i pogłaskał ją po włosach z pobłażliwym uśmiechem. Więcej nie było mowy na ten temat.

Zamierzała więc skończyć z nieudolną działalnością niby literacką, ale to akurat okazało się niemożliwe. Niespodziewanie, przelewanie na papier tworów wyobraźni stało się konieczną częścią jej życia. Bezproduktywną, lecz przecież nieszkodliwą.

Wie na pewno, jak skwitowałyby ją młodsza siostra, posiadaczka narzeczonego z dotacjami unijnymi, pracy w dużej korporacji i daty ślubu na październik. Doskonale pamięta SMS-y od niej. Oczywiście, Lilka na jej miejscu - swoją urodą, ruchliwością i wdziękiem - zaabsorbowałyby siostrzeńca profesora tak, że być może Sandra miałaby powód do niepokoju.

Niezależnie od wszystkiego, Robert Gondor na pewno nie był „fajny”.

Wzdrygnęła się, sama nie wiedząc, dlaczego. Pamiętała, że miał ciepły, przyjazny dotyk. Był pełen spokoju i akceptacji. Może nie chciała, żeby wychodził? No, chyba musiałyby zwariować. Ale nigdy nie czuła się tak dobrze przy nikim z mężem włącznie. Jest przystojny? Tak, bardzo, ale co z tego?

Zawinęła się szczelniej pod szyją. Kompletna bzdura, od zawsze podobają jej się tylko blondyni. Jasna grzywka, niebieskie oczy, delikatny uśmiech.

No i można powiedzieć, że wywołała telefon.

Komórka o mało nie wypadła jej ręki. Bartosz Wiński. Jego miękki, zagadkowy głos. Trochę niepewnym tonem pytał, czy znajdzie chwilę czasu, żeby mógł się u niej zameldować.

Od dawna, bardzo dawna nie mówił w ten sposób.

Mieli się spotkać za godzinę w kafejce obok wydawnictwa. Karina wreszcie zdjęła sweter. Przestało jej być zimno.

*

Janek Reising chciał jak najszybciej dojechać do księgarni „Homunkulus”, gdzie pracowała Adrianna Chociej, systematycznie marnując swoje dwa fakultety.

Nie było co ukrywać, czuł się zdezorientowany. Przy przestępstwach, z którymi poprzednio się zetknął, stosował swoją metodę polegającą na obserwowaniu ujawnianych przez ludzi emocji. Uważał, iż morderca oczywiście będzie kłamał, ale w sferze uczuć, zdradzić się musi. Niestety, tutaj wszyscy, jak na złość, są absolutnie tacy, jak wskazuje logika. No, może pewna osoba trochę przesadza. I jeden szczegół nie do końca pasuje.

Brazowozłoty, stylizowany szyld księgarni już błyszczał w zasięgu wzroku.

Jeżeli rzeczony drobny fakcik, nie daj Boże, wyjaśni się w jakiś prosty i obiektywny sposób, to groźba kompletnej porażki jest coraz bliższa.

Powinien zacząć rozważać, co wtedy powie Karolowi. Ogłosi swoją klęskę? Nigdy w życiu! Może lepiej zezna, że się przestraszył i zrezygnował. Przecież takie polecenie otrzymał telefonicznie od inspektora Karola Stanisza.

A swoją drogą, ma głębokie przekonanie, tak zwaną artystyczną intuicję, iż rozwiązanie zagadki śmierci Płonina absolutnie nie wychodzi poza krąg osób, w którym się teraz obraca.

Zaparkował i chciał wysiąść, gdy w drzwiach księgarni ujrzał wychodzącą z niej Adriannę. Czekać? Bez sensu. Może lepiej ustalić, dokąd dziewczyna się wybiera. Rzeźbiarz miał zerowe doświadczenie w śledzeniu kogokolwiek, a mówiąc ściślej, pod żadnym względem to zajęcie mu nie leżało. Jednak postanowił wyjść i, zachowując w miarę bezpieczną odległość, zobaczyć, ile się da.

Szczęście mu sprzyjało, ponieważ obserwowany obiekt wybrał na cel wycieczki kawiarnię tuż za rogiem, naprzeciw której, za przeszkloną ścianą, kokietowało plakatem reklamowym towarzystwo ubezpieczające samochód Mikołaja. Bardzo dobrze. Syn profesora mówił o tej agencji, gdy nad ranem zgodnie z jego radą miał zająć się finansami, żeby robić coś konkretnego.

Jeżeli go posłuchał, to może tam być, a zawsze wolno się na niego powołać i poczekać w fotelu z odpowiednią widocznością.

W biurowcu działała przyjemna klimatyzacja. Reising ulokowany w dobrym miejscu rozpoczął akcję ogromnego zainteresowania kolorowymi folderami, gdy jego oczom ukazał się optymistyczny wariant rozwoju sytuacji w postaci wchodzącego Mikołaja Płonina.

- Czekasz na mnie? - ucieszył się.

- Niezupełnie. - Janek lekko zakłopotany usiłował zmierzwić krótkie, jasne, kręcone włosy. - Chciałem pogadać z panią Adrianną, ale ona wyszła, więc dla porządku za nią poszedłem. Siedzi naprzeciw w kawiarni.

- Okularnica - uściślił młody człowiek. - Ludzie noszą szkła, ale ona chyba tworzy z nich ideologię. Nie mam pojęcia, co może robić w kawiarni.

- Chyba to, co wszyscy. Wiesz, ty załatwiasz sprawę, a ja się zorientuję. Nie, czekaj! - zatrzymał go.

Dziewczyna wyszła z lokalu w towarzystwie mężczyzny. Był elegancki, w sposób wyraźny nią zachwycony. Poruszał się ze sportową sprężystością, w czym nie przeszkadzał mu raczej średni wzrost oraz wiek. Znalazł stolik w rogu ogródka i szarmancko odsunął krzesło.

- Wiesz, kto to? - zaciekał się Reising.

Młody człowiek uniósł brwi.

- Jak najbardziej - westchnął. - Jakubek. Czy on jest po prostu wszędzie? - Machnął ręką i poszedł do stanowiska swojego agenta.

Adrianna w towarzystwie hotelarza, trzeba przyznać, zachowywała się nieco inaczej niż zwykle. Wpatrzona w niego, z widoczną uwagą słuchała jego wynurzeń, co jakiś czas uśmiechając się łagodnie. Skończyli kawę i przy wyjściu pan Tomasz opiekuńczo otoczył dziewczynę ramieniem.

- Znasz ją dobrze? - zapytał Janek Mikołaja, wypełniającego druczek.

- Skądże! - Wzruszył ramionami. - Za wysokie progi intelektualne. - Przetarł zmęczone niewyspaniem oczy. - Pogadaj, sam zobaczysz.

- Nie wątpię. Aha - przypomniał sobie Janek. - Słuchaj, czy pani Irmina ma zwyczaj wpadać w złość, furię?

- Żartujesz? - Młody Płonin wyglądał na rozbawionego. - A czy ja tańczę w balecie? - Zabawnie przewrócił oczami. - W temacie agresji owszem, niezła jest moja siostrzyczka. Na nią czasem lepiej uważać.

- Nie zdarza się twojej cioci grozić na przykład jakimś przedmiotem? - Janek nie dawał za wygraną.

Ponieważ w odpowiedzi otrzymał spojrzenie, z gatunku szczerze zatroskanych, machnął ręką na pożegnanie, przypominając, że są umówieni na telefon, gdyby coś zaszło.

Dochodził do księgarni, gdy kątem oka zauważył coś, co natychmiast włączyło w jego świadomości lampkę alarmową. Niedaleko wejścia stał beżowy mercedes, jaki na zawsze będzie mu się kojarzyć z nieoczekiwaną, zimną i brudną kąpielą.

Odruchowo zatrzymał się. Niejeden taki samochód na świecie, ale... A jednak. Nie wierzył własnym oczom. W drzwiach „Homunkulusa” ujrzał białe fałdy sukni ściśniętej szerokim paskiem na figurze godnej top modelki. Duże korale, króciutkie blond włosy, złota opalenizna. Czyli jego niedoszła morderczyni we własnej osobie.

Miał do wyboru: na wszelki wypadek uciekać albo próbować ustalić, dlaczego chciała go utopić. Jednak w trakcie jego krótkiego wahania życie zdążyło podsunąć trzecią opcję. Przy szukaniu w przepastnej torbie kluczyków, spora ilość zakupionych książek zaczęła wysuwać się z lekko pękającej reklamówki sklepu. Reising był szybszy i zdążył uchronić je przed spotkaniem z kostką chodnika. Jasnowłosa piękność, teatralnie zaskoczona, podziękowała mu z promiennym uśmiechem.

- Książki są gatunkiem ginącym. Trzeba chronić - oznajmił zadowolony, że się nie boi. W okolicy nie było nawet kałuży.

- Jak miło widzieć kogoś, kto je w ogóle zauważa. - Patrzyła na niego świetlistym spojrzeniem, na które żaden mężczyzna nie może być odporny.

- Kobiety pod tym względem nas przerastają - oznajmił, pomagając załadować paczkę na tylne siedzenie. - Jak również pod wieloma innymi.

Oparta o drzwi mercedesa patrzyła na jego opaloną twarz i ramiona, prezentując długie, jedwabiste rzęsy.

- Niezupełnie bym się z panem zgodziła. Jest wielu mężczyzn, którzy mogą dać kobiecie oparcie, również intelektualne. Ja na przykład - drobną dłonią zwichrzyła grzywkę swojej idealnie ostrzyżonej fryzury - jestem zdecydowanie tradycyjna w podziale ról.

Odpowiedział jej najlepszym z uśmiechów.

- Czy my się przypadkiem już gdzieś nie spotkaliśmy?

Uniosła ramiona.

- Na pewno bym pana zapamiętała. Ale tę zaległość możemy odrobić.

Na rachunku z księgarni błyskawicznie zapisała swój numer telefonu i podała go z prawdziwie dziewczęcym wdziękiem.

Rzeźbiarz uklonił się nisko i z ulgą zobaczył, że odjeżdża. Nie patrząc, zmiął i podarł romantyczny kwitek, skrzętnie zapamiętując numer rejestracyjny mercedesa. Na wszelki wypadek jednak będzie starannie unikał samochodów tej marki w beżowym kolorze.

Rozważając zagadnienie, w jaki sposób na zmianę zasadniczych poglądów może wpłynąć powierzchowność rozmówcy, szybko schronił się w „Homunkulusie”, gdzie, jak przewidywał, jego zapatrywania na kobiety nikogo nie będą interesować. Nie mówiąc już o wyglądzie zewnętrznym.

Odruchowo zaczął przeglądać wyłożone książki, a panna Chociej podeszła do niego momentalnie. Natychmiast też pomogła mu zrozumieć, że z całą pewnością nie jest podobny do Tomaszem Jakubka, o czym zresztą i tak był przekonany.

- Witam. Cóż to sprowadza pana do nas? - spytała chłodno.

Jej ciemne oczy patrzyły na niego, jak na niewyuczalnego analfabetę, który z oczywistych powodów nie powinien wchodzić do takiego miejsca.

- Chciałem zobaczyć panią przy pracy i... - Zabrakło mu pomysłu na cokolwiek noszącego znamiona inteligentnego albo chociaż zabawnego.

- I zadać kilka pytań jako słynny detektyw. Niech się pan nie wysila na wdzięk. Słucham - oznajmiła znudzonym tonem.

- Nie jestem detektywem. Prędzej już sławny. - Nie mógł darować sobie rozbrajającego uśmiechu. - Byłem ciekaw, co pani o tym wszystkim myśli.

Miała bardzo ładnie zarysowane, pełne usta i naprawdę niepotrzebnie nosiła okulary w ciężkiej, czarnej oprawie.

- Ja? - zdziwiła się ostentacyjnie. - Myślę raczej o czym innym.

- Jestem przekonany, że pani ma swoje zdanie na każdy temat.

- Owszem, choć wcale nie odkrywczę. - Wzruszyła ramionami. - Jeżeli pan profesor Płonin w swojej manii uzdrawiania świata poszedł tak daleko, iż wzbudził zainteresowanie przestępczości zorganizowanej, to sprawą ma się kto zająć. I na to płacimy podatki.

- Jasne. - Trudno było się nie zgodzić. - A pogróżki, które ktoś wysyła? Słyszała pani, że Mikołajowi Płoninowi spalono samochód?

Machinalnie wyrównała brzegi leżących książek.

- Więc kupi sobie nowy. Straszenie kogoś jest oczywiście wstrętne, a spuszczenie ze schodów wysoce niewłaściwe, ale jakoś dziwnie takich akcji w stosunku do siebie się nie spodziewam. I pan chyba też nie, prawda?

W odpowiedzi telefon Reisinga odezwał się radosnym *Marszem tureckim*. Dzwoniła Magda Płonin. Zdenerwowana na granicy hysterii. Najpierw jednak zapytała, czy rzeźbiarz może swobodnie rozmawiać.

- Z Adrianną? Świetnie, niech sobie posłucha. Otóż, panie Janku, ciocia Irma dla porządku zadzwoniła do Gapki, żeby mu pogratulować jakości wczorajszych dań. A on - zabrakło jej na moment tchu - proszę sobie wyobrazić, wyparł się! Wszystkiego!

- Jak to? - nie rozumiał. - Pani Dobrzyńska zamawiała u niego catering.

- Oczywiście! Ale on twierdzi, że posiada anulowanie zlecenia. I to z jej podpisem! Z wczoraj rano.

Rzeźbiarz czuł, że oczy ma okrągłe ze zdumienia, a jego wyraz twarzy robi mu się nie najbardziej inteligentny.

- Ale numer. - Mądrzej nie umiał skomentować.

- Zgadza się z panem. Na razie jesteśmy umówieni w ogrodzie Biblioteki Uniwersyteckiej z panną Julią. - Imię zostało wymówione przez córkę profesora w sposób szczególnie dokładny.

Janek Reising spojrział pytająco na Adę Chociej, która unosząc brwi, uśmiechała się lekko ironicznie.

- No, cóż. Ponieważ akurat wszyscy jeszcze żyjemy, mogę panu poszukać książki ze spisem trucizn o opóźnionym działaniu.

Miała rację. Zaczynało być zabawnie, nawet jeśli ktoś ma poczucie humoru zupełnie innego typu.

- Bardzo dobry pomysł. Ale przyzna pani, że bez Izydora Gapki też żarcie było znakomite. Dziękuję za uroczą rozmowę - pożegnał się.

W swoim samochodzie zaczął gwizdać coś, co nie przypominało żadnego utworu, ale jemu podobało się bardzo. Rozmowę rzeczywiście należy uznać za uroczą, uświadomiła mu bowiem

jeszcze jedno nietypowe zjawisko z przyjęcia. Niestety, wyjaśnienie go jest proste i kompletnie nie ma związku ze sprawą.

Natomiast po ostatnich rewelacjach mogą opaść ręce.

Podrobienie podpisu pani Irminy, podłożenie innych dań. Robert Gondor prawie się zorientował, ale firmowe serwetki i podstawki nie dopuszczały wątpliwości. O co chodziło? Żart? Trochę nietrafiony moment.

W kilka godzin później Bogocki ginie na schodach, idąc do kogoś, kto miał mu pomóc. I wszyscy o tym słyszeli. A może potem jeszcze z kimś rozmawiał?

Melodia, którą Janek teraz generował, brzmiała coraz smętniej. Stanowczo za dużo atrakcji. Na razie przyjemne było tylko Powiśle, którego uliczki po prostu uwielbiał, i majestatyczne, dumne ze swojej zielonej urody Wybrzeże Kościuszkowskie.

Do biblioteki dotarł prawie równocześnie z Magdą Płonin. Nawet nie próbowała ukryć zdenerwowania.

- Rozumie pan, o co mu chodzi? - Ignorowała młodych ludzi przewijających się po surowym, metalowo szklanym hallu. - Pokazuje, że ma nad nami władzę - mówiła coraz dobitniej. Jej piękne, jasne oczy pociemniały ze stresu. - Może wejść do domu, zdewastować go, zepchnąć mnie ze schodów, spalić samochód. Zaprezentować jakieś koszarne poczucie humoru ze zmianą cateringu. Robi mi się po prostu słabo na myśl o tym, że jedliśmy coś pochodzące od niego. - Drżącą ręką odgarnęła do tyłu bujną, jasną, grzywkę. - Osacza nas. Czy naprawdę śmierć człowieka nie wystarczyła? Jak długo jeszcze będzie się nad nami znęcać?

Objął ją ramieniem.

- Może właśnie taki ma cel. Żeby spowodować panikę. Nie dajmy mu satysfakcji. Teraz trzeba się uspokoić, siądźmy na chwilę przy kawie, Julia nie ucieknie.

- O, nie! - Wyprostowała się. - Nie będzie na nas czekać. Stać mnie, żeby rozmawiać z panienczką budującą sobie karierę przez łóżko. - Poprawiła błękitną tunikę i tak świetnie leżącą na wyszczuplających, białych bermudach. - Absolutna racja, nie wolno dać się zniszczyć psychicznie. Mamy się z nią spotkać na ławce przy żółtych liliach wodnych.

Na szczęście opis był wystarczający i bez błędzenia trafili na malowniczy zakątek ogrodu nad strumieniem. Magdalena ostentacyjnie rozejrzała się. Wtedy zobaczyli idącą po kładce dziewczynę, niosącą laptop w torbie na ramieniu. Z lekkością stawiała smukłe nogi w sportowych sandałach pasujących do kieszeniowych szortów i kontrastujących z bardzo kobiecą bluzką-mgiełką o seledynowym, kwiatowym wzorze.

Patrząc na nią, można było odnieść jedno wrażenie. Jest idealna.

Znakomicie odpowiadała, zgodnym ze swym imieniem, wyobrażeniom o bohaterce Szekspirowskiego dramatu. Ciemne włosy upięte dziewczęco i oryginalnie dzięki drobnym warkoczkom na skroniach, duże zielonkawe oczy pod równymi łukami brwi ozdobione uderzająco długimi rzęsami. Doskonale regularna linia profilu, delikatny kształt ust. Tak, Reising ujrzał anioła.

- Nazywam się Julia Kwiatkowska - oznajmiła po prostu z lekkim ukłonem, bez wyciągania ręki do kogokolwiek. - Najpierw chciałam powiedzieć pani, jak bardzo jest mi przykro.

- Z pewnością - odpowiedziała chłodno córka profesora. - Zdajemy sobie doskonale sprawę, jaką stratę pani poniosła.

W odpowiedzi otrzymała nieśmiały i smutny uśmiech, który wzbudził w niej odpowiednią irytację.

- Wiem, o co państwo mnie posądzają, ale sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Może usiądźmy, tu jest tak pięknie. - Dziewczyna mówiła dźwięcznym, nieco modulowanym głosem. - Między profesorem i mną nic nie było.

Magdalena roześmiała się nerwowo.

- Moja droga, wolno ci robić idiotkę z siebie, nawet najśłodsza na świecie, ale nie ze mnie! Jeżeli powiesz, że patrzyliście sobie w oczy i snuliście teorie naukowe, to będzie już całkowita bezczelność.

Julia, o dziwo, bez cienia niepokoju patrzyła na nią z sympatią. Rzeźbiarz ustalił w myślach, że mają właśnie do czynienia z autentycznym aniołem o niebiańskim charakterze.

- Porozmawiasz z policją, to skończysz z wdzięczeniem się. Jestem pewna, że mój ojciec nie miał przed tobą tajemnic, zwłaszcza podczas weekendów za miastem.

Przez chwilę panowała cisza. Przyjaciółka Płonina milcząc, błędziła wzrokiem po otaczającej zieleni. Mimo lekkiej opalenizny, w widoczny sposób pobladła.

- Policję akurat o wszystkim poinformowałam wczoraj - mówiła jakby do samej siebie - ale chyba na coś już przyszedł czas. - Teraz spojrzę na rzeźbiarza, może trochę szukając pomocy. - Dobrze, powiem wszystko od początku.

Wyprostowała się, jak studentka zdająca egzamin.

- Byłam zachwycona profesorem. Miał ogromną charyzmę. - Magdalena ironicznie pokiwała głową. - Gdy zostałam jego asystentką, wiedziałam, że muszę dać z siebie wszystko. I być wobec niego całkowicie w porządku... - urwała, przez moment patrząc na giętkie palce swoich szczupłych dłoni. Wzięła głęboki oddech. - Toteż kiedy z uprzejmości, a może życzliwości, zapytał, czy mam narzeczonego, zrozumiałam, iż nie mogę wprowadzać go w błąd. Odpowiedziałam, zgodnie z prawdą, że jestem lesbijką. W stałym związku.

Słuchający znieruchomieli na dłuższą chwilę. Reising złapał się za głowę.

- O, Jezu, nie! - jęknął żałośnie.

- Przez jakiś czas temat nie wracał, pewnego dnia jednak profesor zapytał, czy planuję w najbliższej przyszłości *coming out*. - Na tle ogrodu przypominała bajkową wróżkę. - Ponieważ jeszcze nie byłam na to gotowa, powiedział, że ma dla mnie propozycję. Mieliśmy dawać do zrozumienia, że tworzymy parę. Mnie taki układ bardzo urządził, dla niego podobno oznaczał święty spokój od rodziny i ciekawskich.

Janek pokiwał głową ze rozumieniem i uznaniem. Jego towarzyszka kontemplowała widok żółtych lilii na ciemnej wodzie.

- Zwariuję za chwilę - oznajmiła cicho Magda.

- Zaproponował mi również odgrywanie wspólnych weekendów. Niedaleko mojej tak zwanej dachy jest hotel „Lancelot”. W nim profesor umawiał się na spotkania, którymi, jak twierdził, nie chciał się chwalić. Dojeżdżaliśmy tam i podwoził mnie na działkę albo do autobusu. Potem wracał do hotelu.

- Rozumiem, że w nim dopiero spotykał się z kobietą - powiedziała cicho Magda Płonin. - Ale czy na pewno?

- Sądzę, że na pewno tam, bo kiedyś byliśmy spóźnieni i szybko wbiegł do środka. A czy z kobietą, raczej wątpię. Zawsze brał ze sobą laptop i często jakieś materiały. Szczerze mówiąc, nic nie wskazywało, że to randki. Od kiedy dowiedziałam się o tragedii - potrząsnęła głową - usiłuję przypomnieć sobie cokolwiek, co naprowadziłoby na ślad mordercy. Kogoś, z kim się umawiał.

- Policja nie znalazła w komputerze żadnego punktu zaczepienia. Ale ojciec pisał o rzeczach z przeszłości, okazuje się, trochę za bardzo interesujących.

Dziewczyna uniosła ramiona. Jej wyraziste oczy były pełne skupienia.

- Nie mam o tym pojęcia.

- Jednak uważaj na siebie, bo ktoś może przypuszczać co innego. Pamiętaj dodatkowo o Bogockim i bądź ostrożna - rzuciła oschle Magdalena, wstając z ławki.

Rzeźbiarz nie śpieszył się z pożegnaniem.

- Chciałem tylko zapytać - podrapał się w głowę - czy nigdy pani nie myślała o wprowadzeniu jakichś zmian? W sensie orientacji. Może warto by spróbować?

Szczupłą dłonią przeciągnęła po włosach.

- Nie przewiduję zmian.

- Ale w razie czego?

Uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Jeżeli, to obiecuję, że od razu pomyślę o panu.

Pocałował ją w rękę z głębokim ukłonem i dogonił córkę profesora. Nerwowo szukała w torbie chusteczek.

- Niech pan powie, jak on mógł? Robić z nas wszystkich wariatów? I z jakiej racji? On, prostolinijny wzór uczciwości - prychnęła pogardliwie. - W co się wplątał, że zapłacił życiem? A teraz pociągnął za sobą najlepszego przyjaciela - westchnęła głęboko. - Niech na miłość boską znajdą drania, który był z nim w tym cholernym „Lancelocie”!

*

Robert Gondor dowiedział samemu sobie, iż wbrew solennemu postanowieniu, nie może spędzić dnia bez wizyty w firmie. Nie, na pewno nie jest pracoholikiem. Ale rozumiał, że potrzebuje dokumentu, który leży w jego biurku. Kto nie ma w głowie...

Gdy zgodnie z tą maksymą, rozpędzony wpadł do sekretariatu, pani Basia, jego ostoja porządku, o mało nie upuściła słuchawki telefonu.

- Boże, jak pan wygląda? - spytała cicho, lecz tym bardziej dramatycznie. - Czy coś się jeszcze stało?

Stał w drzwiach gabinetu. Oczywiście, jak zwykle mu matkowała.

- Jeszcze? Nie wiem - odpowiedział niezbyt przytomnie, ale zaraz przesłał jej swój najbardziej południowy uśmiech. - Wyglądam elegancko.

- O, tak. Szczęście, że ochrona pana przepuściła.

- Uniosła brwi. - Pani Sandra była tutaj i miała przyjść później. No, właśnie.

Rzeczywiście. Sandra weszła lekko i bezszelestnie. W pastelowej kwiecistej sukience z niesymetryczną falbaną, dobranym makijażem, była całkiem jak z obrazu Wyspiańskiego. Piękniejsza niż kiedykolwiek, patrzyła na swojego chłopaka szeroko otwartymi oczami.

- Cześć - powiedział inteligentnie.

Przez długą, zbyt długą chwilę tylko milczeli. W końcu dziewczyna bez słowa położyła klucze od mieszkania Gondora i odwróciła się do wyjścia. Wszystko przebiegało w absolutnej ciszy, która jednak w ostatnim momencie została przerwana.

- Wiesz, kim jesteś? - Usłyszeli wyraźne, choć niegłośne pytanie. - Powiem ci. - Sandra wzięła jeden głęboki oddech. - Zwykłym bałkańskim kretnym. I draniem - dorzuciła.

Po udzieleniu tej informacji opuściła biuro.

- To było ksenofobiczne i wysoce naganne - stwierdziła sucho pani Barbara.

Jej szef jednak myślał już całkiem o czym innym.

- Nie ma mnie dla nikogo, za chwilę wychodzę.

Zniknął w swoim gabinecie, gdzie natychmiast przystąpił do sprawdzania zawartości dolnej szuflady biurka. Przewertowanie pierwszych dwóch teczek nie wprawiło go w dobry nastrój. Następną oglądał z rosnącą irytacją, udokumentowaną kilkoma przekleństwami.

W końcu powrócił do początkowej i przejrzał ją odrobinę spokojniej. Pomogło. Bardzo zadowolony popatrzył na szukany papier.

- Jednak czasem wiem, co robię - stwierdził głośno.

- A teraz - uderzył pięścią w blat - wykonam dokładnie to, co trzeba!

*

Luiza Drogosz kontemlowała nowy wizerunek swojego tak zwanego ogródka, siedząc na nieco rozlatującej się ławeczce pod ścianą domu. Kwiatki wyglądały naprawdę ładnie, nigdy nie sądziła, że będzie takie mieć. Czyżby początek nowego rozdziału życia? Wszystko jedno jakiego, bo gorszy nie może się zdarzyć. Nie straci już rozsądku, nie ucieknie przed sobą. A może właśnie

pora na całkowity powrót? Powrót do samej siebie. Trochę późno, ale może jeszcze coś z niej dawnej zostało.

Zaprosiła na lunch sławnego rzeźbiarza i w dodatku sama nie wie, dlaczego. Podoba się jej? No, skądże. Oczywiście, jest atrakcyjny i na pewno ma ogromne powodzenie, ale na niej nie robi wrażenia wdzięk helleńskiego atlety łamany przez mądrość kloszarda.

Cztery żony. Zwykle wariactwo.

Tak, Płonin miał oczywiście tylko jedną. Co w nim było takiego, że dopiero po jego śmierci czuje się naprawdę wolna? Otóż, teraz dobrze wiadomo, co było. Mianowicie dokładnie nic. I została właśnie z niczym.

Przymykając oczy przed słońcem, przeciągnęła się i wygięła jak w sali gimnastycznej. Pora wdroić przygotowania do obiadu.

Uniknąwszy bliskiego kontaktu ze zmurszałą powierzchnią schodków, możliwego dzięki leżącym na nich kawałkom gruzu, z rozmachem wkroczyła do kuchni. Marszcząc brwi, rozpoczęła wnikliwą kontrolę szafek. Po serii niewybrednych komentarzy pod adresem ich zawartości i głośnych trzaśnień drzwiczkami usiadła zdesperowana na wiekowym taborecie.

- Mogę za pół godziny mieć coś gotowego ze sklepu - rozpoczęła głośne rozważania - ale nawet dla mnie to byłby obciach. Mogę przynieść mięso i zrobić kotlet. Jak w stołówce. Bez sensu. Co się jada latem? - spytała głośno i dobitnie.

Odpowiedź znikąd nie nadeszła, jednak po chwili intensywnego myślenia Luiza z okrzykiem tryumfu podbiegła do kuchenki, zakładając obszerny fartuch.

- Naleśniki, naleśniki! - podśpiewywała.

W lodówce miała i ser, i truskawki, więc perspektywa lunchu na gorący dzień rysowała się w dość jasnych barwach.

Ciągle podśpiewując, dokładnie wymieszała wzorcowo przygotowaną zawiesinę o przepisowej konsystencji i postawiła na ogniu patelnię z odrobiną tłuszczu.

- Uwielbiam tę robotę - ogłosiła zadowolona i przy stąpiła do dzieła.

*

Karinę dzieliła jeszcze godzina od spotkania z Bartoszem. Na jej wyjście z pracy zgodzono się bez problemu, a teraz, szczerze mówiąc, już nie mogła myśleć o czymkolwiek innym.

Nawet nie chodziło o planowanie swojego zachowania czy pierwszych słów, jakie wypowie do niewidzianego od miesiący eksmęża. Otóż, całkiem niespodziewanie wróciły jej wspomnienia, jednak nie w taki sposób, jak zwykle. Po prostu nagle przestała czuć żal.

Właściwie, dlaczego stale wmawia sobie, że została skrzywdzona? Bartosz zdradzał ją, to prawda, ale czy dlatego należy patrzeć na niego jak na zbrodniarza? Musiał mieć jakiś powód, a jest tylko człowiekiem. Kiedyś zakochał się w niej, jak w Śnieżce, a ona nie dorównała temu egzaltowanemu wyobrażeniu. Należało przewidzieć, że będzie potrzebował od żony czegoś więcej niż urody. Osobowości.

Mogła pracować nad sobą, a oczekiwała, iż mąż zaakceptuje ją taką, jaka jest. On wcale nie miał takiego obowiązku. Nie powinna się dziwić, że irytowała go jej nieporadność, brak szerokich horyzontów, nieumiejętność błyszczenia w towarzystwie. Po prostu nie potrafiła wykorzystać szansy, którą dostała od losu i nie ma prawa się żalić, że wróciła na swoje miejsce.

Spojrzała na kokietujące słonecznym błękitem okno.

Już niedługo zobaczy Bartosza, poczuje jego mądre, łagodne spojrzenie.

Jest za późno, żeby cokolwiek się zmieniło, wie doskonale, ale i tak bardzo, bardzo się cieszy.

*

Chyba dobrze, że ulica Floksowa o tej porze dnia i roku świeciła pustkami. Gdyby bowiem ktoś przechodził obok Willi Luizy Drogosz, z całą pewnością przeżyłby chwilę paniki, może nawet zadzwoniłby na któryś z telefonów alarmowych.

Ciemny dym wydobywał się z okien na parterze, a towarzyszył mu intensywny zapach spalenizny. Co gorsza, z wnętrza dobiegały dość dramatyczne okrzyki walki i rozpaczy.

Kuchnia wyglądała odpowiednio do sytuacji: cała upstrzona kawałkami naleśnikowego ciasta, które z niewiadomych przyczyn odmówiło oderwania się od powierzchni patelni. Luiza, na szczęście zawinięta w fartuch, patrzyła ponuro na obraz swojej klęski.

- Dlaczego mi to zrobiliście? - zapytała konkretnie. - Wszystko było dokładnie jak trzeba i wiecie o tym. Na złość? Tak? - Odgarnęła włosy. - No to się dowiecie. Kupię kurczaka, a wy idziecie do śmieci. Do kubła, już!

Z narastającą furią, rozpoczęła akt słusznej zemsty, gdy zadzwonił telefon, wyświetlając numer Magdy Płonin.

*

Oddalona od szumiącej miejskim hałasem Grójeckiej uliczka na Starej Ochocie miała ogromny urok. Janek Reising zawsze lubił miejsca, w których wyglądało, że czas się zatrzymał, więc z przyjemnością wszedł na pierwsze piętro przedwojennej kamienicy. Był umówiony za pośrednictwem pani Irminy z żoną profesora Bogockiego.

Pani Małgorzata przyjęła go dość chłodno, bez słowa powitania prowadząc do obszernego salonu i proponując szklankę wody. Niczego też więcej nie spodziewał się po kobiecie, która kilkanaście godzin temu tragicznie straciła męża. Wypowiedział jakąś formułkę z wyrazami współczucia, która oczywiście niczego nie załatwiała.

- Pewnie pan chce usłyszeć wszystko, co wiem.

Patrzyła w dal z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, która choć nie należała do pięknych, przykuwała wzrok, jak mało innych.

- Rysiek postanowił iść do tego człowieka - zaczęła - Włodzimierza Kotulaka by porozmawiać o latach w Kanadzie. Tłumaczył, że tamten musi wiedzieć, jeżeli wtedy zdarzyło się coś ważnego. Chciałam, żeby chociaż zaczekał do rana, ale mnie nie słuchał. Byłam zmęczona, zasnęłam. Według policji, około pierwszej wiozł go taksówkarz. Mówi, że Rysiek sprawiał wrażenie całkowicie trzeźwego. Wszedł do tamtego domu tak po prostu, bo domofon najwyraźniej był zepsuty. Ten kierowca twierdzi, że na pewno nikogo nie widział, a latarnie oświetlały wszystko bardzo dobrze. - Odetchnęła głęboko. - No i gdzieś po szóstej znaleziono mojego męża martwego na schodach. Niestety - głos jej się załamał - również pijanego. Obok niego leżała niedokończona mała, płaska butelka wódki. Wygląda, jakby wszedł do klatki, wypił alkohol, stracił równowagę i spadł, a raczej się stoczył. Najpewniej zabiło go uderzenie głową o stopień albo balustradę. - Spojrzała prosto w oczy rzeźbiarza. - Czy to wszystko brzmi sensownie?

Westchnął bezradnie.

- Na pewno nie. A w ogóle, czy nikt tam niczego nie słyszał?

- No właśnie! - Podwinęła nogi w głębokim fotelu. - Też o to pytałam. Stare budownictwo, zamieszkane trzy kondygnacje, po dwa duże mieszkania na każdej. Jest początek lipca i jedni wyjechali na wakacje, a drudzy na weekend. Zostali tylko Kotulak na trzecim piętrze i jakiś emeryt na drugim. On, owszem, pamięta hałas, ale pomyślał, że to inny sąsiad, pan Kazik - skrzywiła się z nieukrywaną pogardą - wrócił wcześniej z imprezy, bo ma zwyczaj czynić to w takim stylu.

- A sam Kotulak?

- Nie zdawał sobie z niczego sprawy, wziął proszki, bo ma problemy ze snem. To starszy człowiek, dobrze po siedemdziesiątce.

- Niesamowity zbieg okoliczności.

- Właśnie. - Zaciśnęła palce na drewnianych, ozdobnych poręczach. - Niesamowity. A może raczej wszystko świetnie przemyślane. Ktoś tam czekał na Ryśka, zabił go, wlawszy w niego

alkohol, i spokojnie sobie poszedł. Dlaczego ja na to pozwoliłam? Przecież mogłam powstrzymać własnego męża!

- Chyba jednak niekoniecznie - Reising starał się mówić jak najłagodniej. - I rzeczywiście widać, że było to upozorowane morderstwo. Wyjątkowo cynicznie. Ale wobec tego, ktoś musiał wiedzieć, że profesor Bogocki jedzie do Kotulaka. Czy pani nie ma żadnych podejrzeń?

- Absolutnie nie. - Pokręciła głową. - Chyba każdy słyszał na przyjęciu o jego pomysle. Z kolei potem mąż mógł do kogoś zadzwonić na przykład ze stacjonarnego. Dowiemy się później.

- Ma pani rację. I wszystko źle wygląda.

Wyprostowała się.

- Tak? Nawet bardzo źle! - Podniosła głos. - Całe nasze życie jest takie przez Płoninów. Toczy się nie tak, jak trzeba, tylko pod ich dyktando!

- Pani przeżywa w tej chwili wielką tragedię...

Zaśmiała się gorzko.

- A co mam innego przeżywać? W ciągu jednego dnia straciłam wszystko. Niech pan wyjdzie!

Janek ani chwili nie ociągał się z wypełnieniem jej polecenia. Miał poczucie, że znów uzyskał informacje, które wprawdzie sporo wyjaśniają, jednak w żaden sposób nie pomagają w najważniejszym.

Nie zdążył dojść do samochodu, gdy z któregoś kieszeni usłyszał komórkę.

Dobrze znajomy głos brzmiał szalenie sympatycznie: - Jeszcze ci mało? Też chcesz być spuszczoney ze schodów jakiejś ponurej kamienicy?

- Cześć, Karol!

Reising próbował wymacać kluczyki w kieszeni, ale chyba z wrażenia nie mógł ich namierzyć

- Mam pomysł - ciągnął zdecydowanie Stanisław. - Jeśli tak lubisz mocne wrażenia, to postaram się załatwić ci coś w tym stylu. W zamian, bardzo proszę, nie udawaj bohatera sensacyjnego kina familijnego i nie płacz się, gdzie nie musisz.

- O, dlaczego nie? - Kluczyki wreszcie się znalazły.

- Dlatego, drogi przyjacielu, że w realnym życiu nie zawsze mamy happy end, a poza tym, jak widzisz, nie wszyscy go dożywają. - Coś zatrzeszczało. - Muszę się wyłączyć. Cześć! - zakończył nagle.

Reising wsiadł do swojego bezpiecznego, granatowego SUV-a w nadziei, że inspektorowi Stanisławowi nie stało się nic złego. Cóż, przecież Stany Zjednoczone to raczej spokojny kraj.

Zanim jednak włożył kluczyk do stacyjki, zadał sobie proste pytanie. Dokąd właściwie ma teraz jechać? Z kim powinien porozmawiać?

Nie umiał odpowiedzieć.

Kilka godzin temu ktoś z zimną krwią zamordował człowieka. Przyjaciela kogoś, kogo wczoraj zabił w spektakularny sposób. Bezkarne straszy i napada ludzi. Najpierw zrzuca ze schodów dla okrutnej zabawy, a dzisiaj w taki sam sposób pozbawił życia? Czasem przychodził SMS, a kiedy indziej nie. Czyżby dwie różne osoby zaatakowały jednocześnie? Trudno to sobie wyobrazić. Na wszelki wypadek zapytajmy jeszcze raz, co takiego właściwie uczynił Sylwester Płonin?

Z zamyślenia wyrwały Reisinga przyjemne dźwięki, którymi telefon zachęcał go do rozmowy.

Dzwonił Mikołaj. Został zatrzymany z powodu dokonania napadu. Wprawdzie bez broni, natomiast z jednoznaczny i częściowo wykonany zamiarem pobicia.

- O, Jezu! - To wszystko, na co Janka było stać.

Przynajmniej jeden problem z głowy. Teraz dokładnie wiedział, gdzie i po co ma jechać.

*

- Dodzwoniłam się do Roberta - mówiła trochę zmęczonym głosem pani Irmina - i wzięłam od niego numer Sandry. Mam takie wrażenie, że jakoś dziwnie ze mną rozmawiał.

Magda Płonin nieufnym spojrzeniem obdarzyła sałatkę, którą ciotka nałożyła na jej talerzyk.

- Mógł być zajęty. Przecież pracuje.

Siostra profesora głęboko westchnęła.

- Może i był, ale myślę, że bardziej zdenerwowany. A on potrafi się opanować. Mimo swojego temperamentu. Azjatycko południowego.

- Wiesz, kiedyś mi się wydawało, że razem śmiesznie wyglądamy. Rysy mamy strasznie podobne, tylko te jego oczy inaczej osadzone i czarne z lekko niebieskimi białkami. - Magda skrzywiła się, przetykając. - Dałaś winegret zamiast majonezu w trosce o moją linię? Mam wyglądać jak ta cała Sandra, bogini?

Irmina Dobrzyńska popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Zawsze byłaś zadziorna, zwłaszcza wobec ojca. Co mu zresztą nie przeszkadzało, bo cię uwielbiał. A jeśli chodzi o Sandrę, to akurat bardzo się do niej przekonałam. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie skoncentrowanej na sobie i na swoim wyglądzie...

- Na drugi i trzeci też - wtrąciła jej siostrzenica, biorąc łyk zielonej herbaty.

- Ale naprawdę ma zupełnie inne priorytety. Dużo czasu poświęca pracy i o Robertcie myśli całkiem poważnie. To udany związek. A dzisiaj, kiedy chciałam od niej numer telefonu jej koleżanki, Anety, która sprzątała u Sylwestra, okazało się, że w sobotę to właśnie ona, Sandra, po cichu ją zastąpiła.

- Bohaterstwo - ogłosiła Magda, oblizując łyżkę. - Do twojej sałatki się, owszem, przekonałam. Do dziewczyny Roberta, sorry, ale nie mogę.

- Dziecko Anety zachorowało - ciągnęła niezrażona ciotka - więc rzuciła wszystko i wykonała za nią całą robotę. W dodatku na dwieście procent, bo mieszkanie lśniło, jak nigdy przedtem.

- I bardzo dobrze.

- Niestety, nie zauważyła niczego, co mogłoby mieć znaczenie.

- No, to znaczy, że się nie przydała - zawyrokowała córka profesora, podchodząc do otwartego okna. - Jezu, zobacz, kto do nas idzie!

Po wyłożonym lśniącą kostką i otoczonym zadbanymi klombami chodniku, stukając obcasami, w stronę ich bloku szybkim krokiem zmierzała pani Teresa Chociej.

- Akurat przechodziłam, czy można na chwilę? - wygłosiła do domofonu.

Obie kobiety z kuchni, gdzie najbardziej lubiły rozmawiać, przeniosły się do dużego pokoju. Tam też pani Irmina wprowadziła szwagierkę i zaproponowała szklankę soku.

- Już zapomniałam, moja droga, jak ładnie mieszkasz. Osobiście uważam, że rodzina powinna odwiedzać się tak często, jak tylko czas pozwoli. - Wystudiowanym ruchem założyła nogę na nogę. - Chciałam powiedzieć, że jestem bardzo poruszona tym, co stało się wczoraj, jak również kolejnymi wydarzeniami. - Westchnęła głęboko. - Wypadek profesora Bogockiego to przeogromna strata. Dla nauki i dla nas. A kiedy usłyszałam, Irmino, o włamaniu, po prostu nie mogę przyjść do siebie. Czy coś zginęło?

- Nie wiadomo. - Magdalena wzięła na siebie ciężar rozmowy. - A po co dokładnie pani przyszła?

Siostra profesora ze zgrozą wzniosła oczy ku górze, ale pani Chociej nie mieszała się. Starannie wygładziła brzeg serwetki.

- Pomyślałam, że ponieważ w rodzinie nie ma tajemnic, to na pewno dowiem się od was czegoś bliższego o panu Tomaszu Jakubku.

- Słucham? - Młoda kobieta patrzyła na nią w sposób niewróżący niczego dobrego. - A na co on pani?

- No, cóż. - Pani Teresa wzruszyła ramionami. - Przypadkowo zaobserwowałam, że moja córka się z nim spotyka. Osobiście jestem zdania, iż w tej sytuacji powinnam wiedzieć o nim coś więcej.

Irmina Dobrzyńska załamała rękę.

- Dajże spokój! Adrianna jest dorosła i jeżeli z nim ze dwa razy rozmawiała, to nie powód do wyciągania jakichkolwiek wniosków.

- Zupełna racja - odparła z godnością jej szwagierka.

- Jednak ja osobiście wiem, że sytuacja przedstawia się nieco inaczej.

Magda Płonin obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

- Ja panią rozumiem. I osobiście informuję, iż pan Jakubek to znakomicie prosperujący biznesmen stanu wolnego. Jego maniere są również nienaganne. Czy coś więcej panią interesuje?

- Dość jednostronnie podchodzisz do tematu, moja kochana. - Teresa Chociej poprawiła zdobiące jej dekolt korale. - Ale przyznam, że mnie osobiście te informacje na razie wystarczą. Adunia jest inteligentna i sama będzie o sobie decydować.

*

- Tak, wiem, jestem kryminalistą. - Mikołaj nerwowo szukał w kieszeniach papierosów. - O mało nie zatłukłem człowieka, a raczej Jakubka, i powinienem wiedzieć, że takim postępowaniem przynoszę hańbę mojemu wspaniałemu nazwisku

- Oczywiście, jesteś kryminalistą, nie denerwuj się. Ale w sumie dobrze, że go nie zamordowałeś, po co ci kłopoty. - Reising prowadził syna profesora do samochodu. - Spisali protokół, wypuścili cię, jedziemy na lunch, a przy okazji opowiesz wszystko po kolei.

- Co tu opowiadać? - Wzruszył ramionami. - Właśnie chciałem coś zjeść, gdy zobaczyłem, jak ten dziad wylazi restauracji i idzie do swojej bryki, ale wiesz, gdzie postawionej? Dokładnie na kopercie dla niepełnosprawnych. No to ja podchodzę i pytam go grzecznie, czy widzi, dla kogo to miejsce jest zarezerwowane. A on się uśmiecha jak u dentysty i pyta, czy nie mam większych zmartwień.

- Obiecujący początek - skinął głową rzeźbiarz.

Dotarli do baru znanego z dobrej włoskiej kuchni.

- Spokojnie odpowiedziałem Jakubkowi, że za chwilę on będzie miał drobne zmartwienie, wyjąłem pęk kluczy od domu, a następnie wystukałem mu nimi jedną szybę, drugą i trzecią. Przyznaję, że sprawiło mi to ogromną radość. - Mikołaj zabrał się za makaron.

- Zareagował?

- Owszem. Mógłbym go skarżyć o zamiar morderstwa, bo okropnie wykrzywił swój wyprasowany kosmetykami pysk i rzucił się na mnie. - Mikołaj zwrócił swoją uwagę ku jarzynom. - Ale, jak widać, nie trafił. No to ja trafiłem.

- Jak widać?

- Wcale nie tak bardzo. Tylko że zaraz potem on wrzasnął, że takie zera jak ja powinny być wynoszone w plastikowym worku, i chciał mnie udusić, więc go dla odmiany przyduśiłem. Do karoserii. No i wtedy podszedł patrol.

- Jasne. - Reising zaczął się zastanawiać, co by czuł, gdyby stale ktoś nazywał go zerem, nieudacznikiem czy wręcz głupkiem. - No i rozumiem, skończyło się na wyrównaniu szkód. A pogodzenie?

Syn profesora roześmiał się.

- Żartujesz! Z tym czymś? - Jego szczupła, inteligentna twarz wyrażała jedynie pogardę. - Niech się trzyma ode mnie z daleka.

Obiad skończyli prawie w milczeniu. Mikołaj zaprzątnięty swoimi myślami nie był partnerem do rozmowy, co jego towarzysza specjalnie nie dziwiło. Rzeźbiarz bez słowa przyglądał się młodemu człowiekowi tak bardzo podobnemu do swojego ojca, jego twarzy o regularnych, niemal klasycznych rysach, ozdobionej dużymi, szarymi oczami w ciemnej oprawie.

Tak musiał wyglądać Sylwester Płonin, kiedy zakochała się w nim Majka, piękna dziewczyna z zamożnymi rodzicami na wsi. Jaki był wtedy, gdy kompletnie zawrócił w głowie zjawiskowej młodej sąsiadce?

Na pewno lepiej, że wtedy go nie znał.

Bez silenia się na konwersację, odwiedził Mikołaja Płonina do domu. Tego samego, przed którym w nocy spalono mu samochód.

Gdy się pożegnali, Janek Reising zadzwonił do Luizy, z którą był umówiony na lunch. Zakomunikował, że jedzie do niej, aczkolwiek jest już po obiedzie.

Nie przyjęła najlepiej tej wiadomości, bo w telefonie zapanowała źle wróżąca cisza.

- Dostaniesz jogurt - rzuciła w końcu mściwym tonem i wyłączyła się.

Świetnie. Cieszy się na jogurt. Z dużą przyjemnością odwiedził zaprzyjaźnioną kwaciarnię, wybierając wiązanek w romantycznym stylu.

Jadąc na Floksową, skręcił dla odmiany w Raclawicką. Zawsze postrzegał zbiorowisko ogródków działkowych z miniaturowymi altankami jako skansen i szczególnie latem lubił tędy jeździć. Po krótkiej wycieczce, sprawnie dotarł na miejsce.

Ulica Floksowa swoim zwyczajem tonęła w zieleni i gorącym zapachu kwiatów, jakby nic tu nie zaszło. Zadowolonym spojrzeniem objął swoje dzieło, barwne klomby, usiłujące odwrócić uwagę od stanu domu Luizy Drogosz. Gdy pokonał niezbyt pewne schodki, na wszelki wypadek je przeskakując, mógł swoim bukietem przywitać właścicielkę.

Czekała na progu kuchni ze skrzyżowanymi po napoleońsku ramionami. Nie zmieniła stroju, do powycinanych krótkich džinsów i białej bluzki na ramięczkach założyła delikatny naszyjnik z bursztynami oprawionymi w srebro.

- Wolaleś nie ryzykować? - zmrużyła oczy.

Nie zrozumiał.

- Jeszcze udajesz głupiego.

- Może nie udaję - zasugerował. - W sumie, różnie to bywa.

Teraz bez wątpienia chciała go zabić.

- Wiem, że faceci lubią dobrze zjeść. Mimo to, uprzejmię by było - syczała - zaryzykować lunch u kobiety, która może nie jest mistrzynią garów, jednak pewnie raczej nie otruje.

Sytuacja wyglądała na groźną.

- Przysięgam, że cieszyłem się na twój obiad, ale nie miałem wyjścia, musiałem zjeść z Mikołajem. - Patrzyła w dalszym ciągu podejrzliwie. - U ciebie smakowałyby mi woda z kranu, a co dopiero jogurt.

- Woda w kranie owszem jest... - tylko zaczęła, bo rzeźbiarz zamknął jej usta długim pocałunkiem.

Minęła chwila, zanim wysunęła się z jego ramion.

- No i co z tego, że dobrze całujesz? - spytała cicho, patrząc mu w oczy.

- Że możemy powtórzyć? - uśmiechnął się.

- Jesteś obłądnie pewny siebie.

Przeszła do kuchni. Jej kroki były lekkie jak tancerki. Bursztyn na idealnie równym dekolcie świetnie nawiązywał do nowego, trochę pożłoconego koloru włosów.

Nagle stanęła jak wryta.

- No, coś takiego!

Reising zaniepokojony spojrział jej przez ramię.

- Nic strasznego - stwierdził. - Odruchowo chciałaś umyć pudełko po jogurcie.

Pokręciła głową z głębokim przekonaniem.

- Na pewno nie. Nie mam takiego wariactwa. Ale - zastanowiła się - ponad wszelką wątpliwość, skoro kubek jest w zlewie, to w koszu na śmieci trzeba szukać łyżeczki.

Przykucnęła przy pojemniku.

- O, jest! - oznajmiła tryumfalnie.

Reising nie powiedział nic. W ogóle nie zareagował. Wyglądał na nieobecnego z nieruchomą twarzą i wzrokiem utkwionym w nieokreślonej dali.

- Co z tobą? - zaniepokoiła się.

Popatrzył niezbyt przytomnie.

- Nie, nic. Tylko że... - zamrugał oczami jakby obudzony - chyba zobaczyłem coś, co może mieć sens. Wiesz, to musi mi się w głowie odleżeć.

- Więc niech leży.

Podawała mu sławetny wiśniowy przysmak i pociągnęła na górę.

Siedli na fotelach kontiki przy niskim stole z dębowych desek. W pokoju panowała atmosfera świeżości i lekkości, na pewno sprzyjająca potrzebnemu im relaksowi. Luiza w zamyśleniu mieszała gęsty, różowy napój w kolorowym opakowaniu.

- Popatrz, w jogurcie jest trochę jak w życiu. Możesz znaleźć całe wiśnie albo kawałeczki. Nabierasz na łyżeczkę, o, tak - spojrzała pod w światło - i jesteś przekonany, że masz na niej dorodny owoc. Bo wszystko na to wskazuje. A tu znajdujesz zamiast niego dużo mniej, niż się spodziewałeś.

- Tak, lepiej się nie nastawiać - przytaknął Janek.

- A znowu kiedy indziej nie przewidujesz niczego nadzwyczajnego i nagle okazuje się, że dostałeś najlepszą wiśnię.

- Na szczęście tak też bywa.

Przełknęła kilka łyżeczek wiśniowego przysmaku.

- Popatrz, uważałam Sylwestra za absolutny ideał. I on - zaśmiała się - całkowicie był ze mną zgodny w tej kwestii. Jak również reszta jego otoczenia. Jednak w stosunku do mnie zachował się jak zwykła świnka. A teraz miał jakieś sprawy, które musiał ukrywać przy pomocy pięknej lesbijki. No i ta lub jeszcze inna działalność doprowadziła do zamachu na niego. Karina wyszła za księcia z bajki, a w rzeczywistości za całkiem beznadziejnego faceta. Z kolei ona jest postrzegana jako sprytna panienka z prowincji, której udało się złapać męża, ale gorzej poszło z utrzymaniem go przy sobie.

- O, właśnie, w tym przoduje Gondor. Ciekawe, dlaczego.

- Bo jest głupi - wyjaśniła Luiza. - W rzeczywistości to naprawdę wartościowa dziewczyna. - Odłożyła kubek. - Dlaczego, gdy komuś lub czemuś bliżej się przyjrzymy, jest inne, niż miało być?

Reising nie odrywał od niej wzroku. Musiała wiedzieć, jakie robi na nim wrażenie.

- Może dlatego, że zbyt często myślimy życzeniowo - uśmiechnął się. - Ale taką już mamy naturę.

- No dobrze. - Popatrzyła na niego badawczo. - Co z tym twoim pomysłem? Naprawdę jest dobry, czy tylko chciałbyś, żeby taki był?

Janek w zastanowieniu zaczął skubać swoje krótkie, kręcone włosy.

- Może być niezły i parę rzeczy wyjaśnia. Ale muszę się dopiero nim zająć.

- Wyjaśnia śmierć Płonina, Bogockiego, włamanie, napady na rodzinę, SMS-y i catering niewiadomego pochodzenia?

- W jakimś stopniu. Chyba.

- Czy ci pomóc? - spytała rzeczowo.

Zamiast odpowiedzi usłyszała dzwonek komórki. Od Magdaleny.

W telefonie silnie brzmiał jej zdenerwowany głos.

- Dostałam wiadomość! Lepszą niż poprzednie. Wiesz jaką? - Zrobiła, przerwę - *No to cześć!* i ten głupi uśmieszek. Rozumiesz? Idziemy z ciocią na policję!

- No to cześć! - powtórzyła Luiza. - Rany boskie, wiesz, co to znaczy?

Rzeźbiarz wstał z fotela.

- Wiem, jak brzmi. - Położył uspokajająco dłonie na jej ramionach. - Dobrze, że to zaraz zgłoszą. Ja muszę wziąć się za sprawdzanie mojego pomysłu, który zawdzięczam twojemu kubkowi po jogurcie.

- Temu w zlewie? - poinformowała się.
- Tak, temu. Teraz siedź spokojnie i pilnuj wszystkiego. Podniosła na niego oczy.
- Janek, powiedz, czy uważasz mnie za nieogarniętą? Zanurzył usta w jej lśniących miodowych włosach.
- Uważam cię za ogarniętą, może czasem aż za bardzo... Natychmiast wyszedł.

*

Karina Wińska powoli zbliżała się do kafejki z ogródkiem wychodzącym na skwer, gdzie umówiona była z Bartoszem. Szła spokojnym, grzecznym krokiem absolutnie wbrew sobie, ponieważ naprawdę chciała biec jak dziesięciolatka.

Ujrzała go z daleka, chociaż właściwie nie poznała od razu. Oprawę okularów zmienił na ciemniejszą, zamiast opadającej na czoło jasnej, prostej grzywki miał krótko ostrzyżone włosy, co odmłodziło go o dziesięć lat. Na widok byłej żony sprężyste wstał z miejsca i szybko do niej podszedł. Bez słowa, lecz z dużą kurtuazją pocałował ją w rękę.

Gdy usiadła na elegancko przysuniętym krześle, wbrew samej sobie nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy i tego niepowtarzalnego, poważnego uśmiechu. Natychmiast znalazła się w innym, dobrze znanym świecie. W takim, gdzie spojrzenie błyszczących inteligencją oczu tego mężczyzny decydowało, czy naprawdę zasługuje na miano pani Wińskiej, czy raczej jest zwyczajnie bezmyślna i beznadziejna.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Nie masz obowiązku wysłuchiwać zwierzeń byłego męża.
- Chcesz mi się zwierzyć? - Postanowiła zachować uprzejmy dystans.

Przesunął po czole palcami swojej smukłej dłoni.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale pewnie trochę tak to będzie wyglądać. O, dziękuję, idzie twoja kawa. - Skinął głową w stronę kelnerki. - Wiesz, gdy usłyszałem o wypadku, powiedzmy raczej o zamachu, z daleka od was wszystkich tutaj, miałem czas na przemyślenia. Całkiem zasadnicze.

- O czym? - Sięgnęła po filiżankę.

- Bardzo egocentrycznie o swoim życiu, a ściślej mówiąc o tym, co w nim przegapiłem. Na przykład Płonin zostawił nam dwoje swoich następców.

- Mówiłeś, że marzysz o dziecku, ale jeszcze nie teraz.

- Tak, niestety. Dając świadectwo egoizmu i głupoty.

Nastała dłuższa chwila ciszy. Wiński w milczeniu obserwował parę obejmującą się na ławce pod rozłożystą lipą. Potem przeniósł wzrok na czarne, wysoko spięte włosy Kariny.

- Moja Królowna Śnieżka - powiedział cicho.

Nie zareagowała. Chciała zapytać, dlaczego już nie Cinderella, albo po prostu Kopciuch, ale najzwyczajniej w świecie, nie była w stanie.

W końcu zebrała siły, aby ciągnąć rozmowę w sposób, jaki sobie obiecała.

- O czym jeszcze myślałeś? - Udało jej się nadać głosowi obojętne brzmienie.

Poprawił okulary.

- No, cóż. Próbowałem, rzecz jasna, zabawy w analizę sytuacji. I może moje oddalenie odrobinę pomogło w tak zwanym obiektywnym spojrzeniu.

- To znaczy?

- Zgodnie z prastarą zasadą *cui bono* brałem pod lupę każdego, kto na śmierci Sylwestra mógł skorzystać. Z tym, że jego dzieci wykluczyłem od razu. Gdyby bowiem Mikołaj potrzebował pieniędzy, dostałby je od ojca, a Magdalena potrafiłaby je mniej czy bardziej gwałtownie wynegocjować. Malowany pajac, czyli doktorant, stracił najbardziej. Natomiast rektor Bogocki mógłby po spłaceniu spadkobierców traktować uczelnię jak swoją własność. Ale czy mu na tym zależało?

- Zginął, gdy chciał zdobyć więcej informacji w sprawie książki - wtrąciła Karina. - Nie czujesz zagrożenia w związku z tym, że profesor czytał ci fragmenty?

Bartosz Wiński nawykowym ruchem próbował odgarnąć nieistniejącą już grzywkę.

- Absolutnie nie. Nie przywiązywałbym wielkiej wagi do tej sprawy. Raczej przyjaciel Sylwestra mógł wiedzieć więcej, niż sądził, i dlatego stał się kolejną ofiarą. Natomiast w ewidentny sposób zainteresowany sytuacją, jaką mamy teraz, był pan Tomasz Jakubek.

- Jednak? - otworzyła szeroko oczy.

- Tak. Jest to człowiek, który doszedł do swojego majątku przede wszystkim dużą ruchliwością i determinacją przy realizowaniu planów.

- Znasz go?

- Oczywiście. Zależy mu, żeby „Biała Gospoda” słyła z imprez na najwyższym poziomie i nieprzypadkowych gości. Dlatego na przykład daje bonusy spotkaniom integracyjnym dla świata nauki czy kultury. A jeśli kogoś zobaczy w telewizji. I z takiej właśnie okazji spotkaliśmy się parę tygodni temu. Najwyraźniej chciał, żeby atmosfera była pół prywatna. Gdy trochę wypił, zaczął opowiadać.

Do stolika przyniesiono ulubione lody Kariny. Waniliowe z czekoladowym sosem.

- A więc Jakubek - ciągnął Wiński - chwalił się niesamowicie. Z grzeczności wysłuchiwałem, kogo zna, kto u niego bywa. Pokazywał wystawione zdjęcia, w tym bardzo udane z urodzin narzeczonej Roberta Gondora. Mówił, że od dawna jest klientem jego firmy z ogromnym pożytkiem dla swoich finansów. Dawał do zrozumienia, że się przyjaźnią, co rzecz jasna, podzieliłem przez cztery. Oczywiście Gondor jak najbardziej doradzał mu kupno Przeględy, która ponoć jest idealna pod względem merytorycznym i logistycznym. Finansista uważał, iż jego wujek może za cenę, którą uzyska, nabyć coś lepszego dla swoich celów.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Profesor nigdy by się nie zgodził.

- No właśnie. Jakubek po alkoholu trochę przesadził ze szczerością i oznajmił, że jakoby transakcję ma już w kieszeni. Rzucił dumnie hasło: „Nie tak, to inaczej, nie z tym, to z innym”. Wtedy nie rozumiałem, o czym mówi.

- Nieprawdopodobne. Myślisz, że Jakubek...

Do kawiarni wchodziło kilka osób. Między krzesłami kluczyło małżeństwo z córeczką ubraną jak w amerykańskim filmie, za nimi mocno zakochana para dwudziestolatków. Nad stolikiem Wińskich pochylił się szczupły mężczyzna w szarym podkoszulku z mnóstwem nadruków.

- Czy państwo mogą użyczyć mi przypraw? - zapytał cichym, lecz dziwnie przenikliwym głosem.

Nosił nieduże, ciemne okulary, słuchawki i coś do odtwarzania muzyki. Żuł gumę. Gdy Bartosz podał mu flakonik, podziękował uniesieniem dłoni i odszedł w przeciwną stronę ogródka. To dobrze, bo zrobił na dziewczynie niewytłumaczalnie negatywne wrażenie. Właściwie, w jakiś dziwny sposób wywołał lęk.

Jej mąż kontynuował rozważania.

- Może nie w ścisłym sensie. Tomasz, bo niestety musiałem wypić bruderszaft, zapewnił mnie solennie, że ponieważ ma Robercika, nie potrzebuje sobie zawracać głowy szczegółami.

Karina czuła, jak oczy otwierają się jej szeroko.

- Brzmi, jakby rozkazywał Gondorowi. Raczej trudno uwierzyć.

Bartosz Wiński bezradnie wzruszył ramionami.

- Dla mnie też wyglądało to co najmniej dziwnie. Ale przypomniałem sobie, co Jakubek mówił o początku swojej kariery w Warszawie. Ściągnął go tutaj kolega szkolny, gdzieś z Warmii, skąd on też pochodzi. Kolega ten prowadził coś handlowego, był klientem firmy Gondora i to tak szczęśliwie, że wyeliminował z rynku swoją największą konkurencję. Problem polegał na tym, że ów przegrany biznesmen korzystał z tego samego doradztwa finansowego.

- Pamiętam. Co jakiś czas ktoś to wypomina Gondorowi. Tylko podobno niczego nie udowodniono.

- Właśnie. Konkretnie: przekazywania informacji. W tym czasie Tomasz Jakubek świeżo rozwiedziony, nowy w stolicy, pomagał koledze i rzeczywiście mógł sporo wiedzieć.

- Na przykład to, że nie wszystko było w porządku - Karina zmarszczyła brwi. - Podejrzewasz szantaż?

Rozłożył ręce.

- Trudno coś stwierdzić, jeżeli wie się tak mało. Ale w ten sposób wszystkie niedomówienia, jakie mi serwował podchmielony hotelarz, układają się w mniej więcej logiczną całość.

Przy sąsiednim stoliku usiadła grupka hałaśliwych nastolatków. Karina w zamyśleniu nawet ich nie słyszała.

- Będiesz rozmawiał z policją? - zdecydowała się zapytać.

Przetarł okulary.

- Wyśmieję mnie i w dodatku zupełnie słusznie. Nie mam cienia dowodu. W dodatku - potrząsnął głową - szczerze mówiąc, sam nie do końca w to wierzę. Nie umiem sobie wyobrazić Roberta Gondora z zimną krwią mordującego człowieka, który go prawie wychował. To absurd - stwierdził zdecydowanym tonem.

- A jednak ktoś to zrobił - powiedziała niemal bezwiednie.

Bartosz leciutko dotknął jej dłoni.

- Tak, Śnieżko. Masz rację. I nie wiadomo, czy policja go znajdzie. W dodatku my nie możemy w żaden sposób pomóc. A sensacyjnymi teoriami tylko zaszkodzimy - westchnął. - Lepiej zmieńmy temat na lepszy. Powiedz, co u ciebie słychać? Co robisz z wakacjami?

- Nie wiem - odpowiedziała obojętnie. - Myślałam o Mazurach, ale raczej później.

Zdziwiła się, ponieważ ostatnie słowa chyba nie dotarły do jej rozmówcy.

Wiński znieruchomiał.

Przez chwilę nieobecny duchem, myślał o czymś intensywnie.

- Mazury - powiedział wreszcie. - Tak, oczywiście! Jak mogłem być taki bezmyślny! - Jego oczy błyszczały podnieceniem. - Już ci mówię, o co chodzi. Otóż, Jakubek na początku rozmowy, jeszcze w nieco lepszym stanie, kiedy chwalił się zażyłością z Gondorem, pokazał mi jakiś wydruk z rezerwacją załatwioną dla niego nad którymś jeziorem na połowę lipca. W znajomej agroturystyce.

Tego akurat Karina nie umiała sobie wyobrazić.

- On? W agroturystyce? Chyba pomyłka. A gdyby chciał wodę, to jego matka ma chyba wille nad Adriatykiem.

- Weź pod uwagę, że on z nią od dawna nie rozmawia. Poza tym zarezerwował dwa pokoje. Dla siebie i Magdy Płonin! Tak, nie pomyliłem się. W pobliżu ośrodka, gdzie ona kiedyś miała kurs żeglarski. No i co ty na to?

- Trochę bez sensu.

- Przeciwnie - zapalił się jak student. - Jeżeli Gondor chciał nakłaniać kuzynkę do sprzedaży Przeględy, to najlepiej stworzyć sprzyjające warunki. Na przykład w jej ukochanym miejscu na Mazurach. Zauważ jeszcze jedną rzecz. - Twarz Wińskiego, mimo leciutkiej opalenizny, zaróżowiła się z przejęcia. - Magda nic o tych planach nie wiedziała. Rozmawiałem z nią przez telefon trzy dni temu i mówiła, że przyjedzie może jesienią.

Dziewczyna poczuła, jak w środku gorącego dnia ogarnia ją chłód.

- To znaczy... wiedział, że ona tu będzie. O, Boże!

- Oparła czoło na dłoniach. - Teraz chyba masz już z czym iść na policję.

- Też tak sądzę. A raczej będę miał, kiedy udokumentuję to, co ci powiedziałem.

- Pojedziesz na Mazury?

- Bliżej. Do Jakubka. Mam nadzieję nie spotkać tam Gondora i że on nie dowie się o mojej akcji.

- A jeśli się dowie? Pamiętaj o Bogockim. Musisz jeszcze pojechać na policję.

Karina ze zdumieniem patrzyła na byłego męża. Nie pamiętała go tak kreatywnego i zdecydowanego. Czyżby w obliczu zagrożenia stał się innym człowiekiem? A może właśnie teraz jest prawdziwym sobą?

- Do domu dotrę na pewno, a potem jakoś się postaram.

- Jakoś? - Nagle zrozumiała, co powinna zrobić. - Słuchaj, przecież ja spokojnie zaniosę, co trzeba i gdzie trzeba. O mało nie zrzucił filiżanki.

- Absolutnie, w żadnym wypadku, nie. Nie mogę cię narażać. Wykluczone.

- Nie jestem już twoją żoną. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że działamy razem.

- Nie. Zapomnij.

Spojrzała mu w oczy. Długo i głęboko. Ich spojrzenia spotkały się.

- Proszę, pozwól mi pomóc. To dla mnie bardzo ważne.

Może wróciły te chwile z początku ich znajomości, kiedy Wiński, zauroczony, tylko czekał na jej rozkazy. Westchnął bezradnie.

- Królowo, co ty ze mną robisz! Po prostu muszę ci ulec.

- Dziękuję!

Przechyliła się przez krzesło, na moment ich usta spotkały się i trochę dziwne, że ten krótki pocałunek nie zrobił na niej takiego wrażenia, jak powinien. Była jednak szczęśliwa. Mogła mieć swój udział w czymś naprawdę ważnym.

*

Reising wiedział, że chwilowo musi skoncentrować się całkowicie na prowadzeniu samochodu, jeżeli nie chce spowodować nieszczęścia, mimo że jego umysł zaprzęgnięty był nową sytuacją. Czuł, że wreszcie został wyrwany ze stanu kompletnej bezsilności, dręczącej go od wczoraj.

Przypadkowy fakt nasunął mu, prawdę mówiąc, rozpaczliwe skojarzenie, które teraz było jak wyciągnięta na ratunek ręka. Będzie umiał ją chwycić - wygra, nie uda mu się - utonie. Do porażek życie go nie przyzwyczało, ponieważ praktycznie mu się nie zdarzały. Oczywiście nie licząc czterech rozwodów.

Nareszcie dotarł do parku Morskie Oko, w którym lubił biegać Sylwester Płonin i w którym teraz można spokojnie usiąść i po prostu zebrać myśli.

Niezbyt długo wytrzymał na ławce w cieniu i rozpoczął energiczny spacer po alejkach, niezbyt głośno, lecz dobitnie mówiąc do samego siebie. Jakaś babcia rzuciła mu współczujące spojrzenie i głaszcząc po głowie wnuczka, z objaśnieniami pokazała go palcem. Młody człowiek, trzymający za rękę dziewczynę, zachichotał drwiąco, dyskretnie wskazując na czoło. Dwie wysokie, szczupłe studentki w szortach obejrzały się.

- A byłby z niego super facet.

- No, gdyby nie to.

- Szkoda, kurczę.

Nie zwracając uwagi na reakcje otoczenia, rzeźbiarz w końcu wyhamował i padł na wyprażoną słońcem ławeczkę. Przez chwilę tkwił na niej bez ruchu, a potem głęboko odetchnął, szeroko rozkładając ramiona.

- O, Boże! - westchnął głośno. - Wszystko mi się, cholera, zgadza. Wszystko mi się zgadza!

*

W księgarni „Homunkulus” zdecydowanie nie roilo się od kupujących. Adrianna Chociej, po dokładnym sprawdzeniu wszystkiego w komputerze i ostatecznym poprawieniu ułożenia książek, utkwiała wzrok w drzwiach w nadziei, że ktoś je wreszcie otworzy.

Gdy nagle to marzenie zaczynało się spełniać, przywołała najlepszy ze swoich uśmiechów, aby powitać potencjalnego klienta lub choćby rozmówcę, który umie czytać.

Po dwu sekundach jednak wyraz jej twarzy zmienił się diametralnie. Do złudzenia przypominała teraz historyczną już wizytówkę peerelowskich sklepów: ekspedientkę zirytowaną, że zakłócono należny jej spokój.

- Co tu robisz? - prawie warknęła.

- Przyszłam do ciebie - oznajmiła jej matka, zajmując z godnością miejsce na drewnianym fotelu przy wysokim regale.

Najpewniej z emocji, szarpiąc się trochę z zamkiem jasnej torebki, ostentacyjnie wyjęła kilka starannie złożonych kolorowych arkusików.

- Wy tłumaczysz mi to? - spytała dobitnie.

Córka bez słowa wyrwała jej kartki z ręki.

- Jakim prawem grzebałaś w moich rzeczach? - syknęła.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Same spadły z półki, kiedy wstawiłam ci do pokoju róże, które przyniósł posłaniec. Na bileciku było tylko T.J. - uśmiechnęła się krzywo.

- No i co z tego? - Adrianna włożyła ręce w kieszenie bojówek.

Teresa Chociej wyprostowała się.

- To, moje dziecko, że wolno ci oczywiście spotykać się z kim chcesz. Możesz nawet być pod czyimś urokiem. Ja osobiście uważam to za naturalne, jednakże wszystko ma swoje granice.

Dziewczyna przesłała jej uśmiech tyleż słodki, co w tej sytuacji drwiący. Jej ciemne oczy z długim rżęsami patrzyły zza okularów wręcz uwodzicielsko.

- Jakież to granice wyznaczyłaś, droga mamó?

- Elementarnej przyzwoitości. I nie ja osobiście je wyznaczyłam. A to, co robisz, daleko poza nie wykracza. - Nabrała tchu. - Co innego widywać się z bogatym biznesmenem, a co innego pomagać mu w reklamowych przekrętach, oszukując rodzinę.

Córka usiadła naprzeciw, zakładając nogę na nogę i dumnie prezentując lśniąco czystością glany.

- Jakiż to straszny przekręt wykonałam?

Matka poprawiła złote okulary.

- Pomogłaś panu Jakubkowi wprowadzić na przyjęcie Płoninów jego catering w miejsce zamówionego u Izydora Gapki. Znalazłam te oto etykiety z sera, przypraw i jeszcze czegoś, czego na szczęście nie znam. Znakomicie pasują do potraw, które jedliśmy nie wiadomo od kogo. Zważywszy, iż spotykasz się z restauratorem, który energicznie zabiega o względy rodziny twojej ciotki, wszystko się niestety zgadza. Osobiście doskonale rozumiem, za co dostałaś kwiaty.

Adrianna nie spieszyła się ani odrobinę.

- A może one były od jakiegoś Tadeusza Jankowskiego? - Widząc wzniesione do góry oczy matki, uśmiechnęła się jeszcze piękniej. - Rozumiem, śledziłaś mnie.

- Skończyłaś dwa prestiżowe fakultety. Czy po to, żeby siedzieć w bankrutującej księgarni i spotykać się z mężczyzną w nieodpowiednim wieku, który i tak cię tylko wykorzystuje?

Dziewczyna patrzyła na nią już bez uśmiechu.

- Skąd masz pewność, że on mnie nie kocha? Natomiast ja osobiście zapewniam cię, że nie wiem o rzekomych przekrętach Tomasza związanych z niejakim Gapką. A jeśli ciekawia cię etykiety, to może chodzę na przykład wieczorami na kurs gotowania do osiedlowego domu kultury?

*

Janek Reising z pochwały godną wytrwałością usiłował dodzwonić się do Gondora. Bezskutecznie. Numer na przemian albo był zajęty, albo w nagrodę za cierpliwość przemawiała poczta ciepłym, przyjaznym głosem abonenta.

- Nie rób ze mnie idioty - nagrał w odpowiedzi Janek po utracie wszelkiej nadziei. - I ogarnij się.

No, dobrze. Została jeszcze firma doradztwa finansowego, gdzie raczej nie przewiduje spotkać szefa, ale może jakieś strzępy informacji uda się tam z kogoś wyciągnąć.

Stojąc w korku, myślał o jednym. Czy to, co wykombinował, na pewno się zgadza. Owszem wszystko pasuje. Nawet widoczne emocje, które do tej pory same w sobie nic nie wnosiły. Gdy dojeżdżał do królestwa Roberta Gondora, wiedział, że zostały mu do dopracowania tylko szczegóły.

Za szklanymi drzwiami sekretariatu ujrzał pulchną brunetkę w średnim wieku o bardzo sympatycznej powierzchowności.

- Nie, szefa nie ma. - Patrzyła dużymi, bystrymi oczami. - Ale ja przecież pana widziałam w telewizji. Sławny rzeźbiarz Jan Reising, prawda?

- Ma pani znakomitą pamięć - zachwycił się. - Czy Robert nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości?

- Niestety. - Wyglądała na szczerze zmartwioną. - Pan Gondor wyjechał. Spieszył się bardzo.

- No, ale raczej nie na długo.

- Chyba na dłużej, sądząc po biurku. O, Boże! - westchnęła zabawnie. - Ale chlapnęłam. W każdym razie powiedział, żeby w ogóle nikogo mu nie umawiać.

Obok bezszelestnie pojawił się młody człowiek w garniturze i okularach.

- Czym możemy panu służyć? - Uśmiechał się niezwykle życzliwie.

Reising odpowiedział mu tym samym, tylko jeszcze bardziej promiennie.

- Widać, że firmę można spokojnie zostawić i jechać na wakacje. - Uprzejmie się zegnając, wyszedł do windy.

Mrucząc pod nosem różnego rodzaju błogosławieństwa pod adresem finansisty, postanowił jechać na Ursynów do Przemka Rosińskiego.

Po drodze Janek uświadomił sobie, że jego narastająca irytacja jest całkiem bezpodstawna. Robert Gondor nie otrzymał przecież zakazu opuszczania miasta. Ani kraju. Przecież nie był podejrzany. Nikt nie był podejrzany. Każdemu wolno odfrunąć dokądkolwiek chce.

Po dotarciu na miejsce, zgnębiony urodą żelbetowych ścian, pokonał przymusowym spacerkiem pod górę siedem pięter. Żeby się uspokoić, narzucił sobie odpowiednie tempo, a więc u celu wspinaczki był już prawie całkiem zrelaksowany psychicznie.

Bardzo dobrze, ponieważ drzwi otworzyła Nikola, której wreszcie mógł się normalnie przyjrzeć. Poniżej czarnej, bawełnianej bluzki z krótkich szortów, wyglądało opalone zaokrąglenie. Bez najmniejszej wątpliwości chłopięco szczupła, wystrzyżona brunetka była w ciąży.

- Nie ma go. - Wzruszając ramionami, wprowadziła rzeźbiarza do pokoju, w którym na środku stała częściowo spakowana duża torba. - Ja też wyjeżdżam. Do rodziców - dodała.

- Bardzo dobry pomysł. A Przemek gdzie się podziewa? - Mocno ogołocone półki aż kłuły w oczy.

Dziewczyna pogardliwie skrzywiła wąskie usta.

- Jego sprawa. Jest wolny.

- Pokłóciliście się?

Usiadła w rogu złożonej i nakrytej kocem wersalki.

- Powiedział nagle: „Znikamy stąd”. Ja na to, że beze mnie, bo miałam dosyć tych jego nerwów i całej atmosfery. Wtedy on zaczął o moich starych. Niby ja wolę ich śląską kasę od jego intelektu i on mnie nie będzie siłą przy sobie trzymał. - Zaczęła bawić się wełniana poduszka. - No i na tym stanęło.

- Od razu wiedziałem, że to zero - stwierdził autorytatywnie Reising. - Gdzie konkretnie pojechał?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie mówił. Ale ma rodzinę pod Białymstokiem. Jeździliśmy tam takim pociągiem... - zmarszczyła brwi - odchodzi z Centralnego za pół godziny. Jeśli nie, to nie mam pojęcia. Czy Przemkowi coś grozi?

- Najbardziej on sam. - Janek wziął w rękę jej drobną dłoń. - Uważaj na siebie.

*

- Wejdz. - Małgorzata Bogocka, rzucając w kierunku gościa niechętnie spojrzenie, powoli przeszła do salonu. - Młodsza siostrzyczka Sylwestra. Zawsze supergrzeczna. - Skrzywiła się.

Pani Irmina niezrażona położyła na stole sok grejpfrutowy.

- Wiem, że lubisz. Jest dobry na taki upał.

- Świetnie wszystko pamiętasz. Twój analityczny umysł funkcjonuje oczywiście bez zarzutu. Może nawet już wiesz, kto zamordował mojego męża?

Siostra Płonina spokojnie usiadła na kanapie.

- Nie. I liczę, że od ciebie usłyszę coś konstruktywnego.

Kobieta zaśmiała się drwiąco.

- Ode mnie? Raczej ty powiedz, komu chlapnąłaś, że Tadeusz idzie do tego Kotulaka. Ten ktoś wiedział, gdzie on mieszka, był ich wspólnym znajomym, więc pewnie i twoim.

- A może raczej twoim. - Irmina wzruszyła ramionami.

- Nie mam zwyczaju chlapać.

- Jasne! Jak zawsze idealna. - Nieco drżącą ręką gospodyni nalała sok do szklanek. - I taka śliczna, wzorowa, płatałaś się stale przy nas. No i twoja anielska przyjaciółka, piękna Maja. - Na moment jakby zabrakło jej tchu. - Maja Płonin. Też nie żyje. Od dawna. Czy ona na przykład wiedziałaby, co jest w tej jego, pozał się, Boże, książce?

Dobrzyńska bezradnie rozłożyła ręce. Żona rektora przez chwilę w milczeniu oglądała widok za oknem. W końcu spojrziała na Irminę szeroko otwartymi oczami.

- Słuchaj, ale jeśli chodzi o Sylwestra, to... tego, jak nas obie, ciebie i mnie urządził... Ty mu pewnie dawno zapomniałaś, ale ja nigdy, nigdy - podniosła głos - nie darowałam!

Twarz pani Irmy, klasyczna i ciągle piękna, nadal była oazą spokoju. Na jej ustach pojawił się lekko marzycielski uśmiech.

- Ja też mu nigdy nie darowałam.

*

Bartosz przysłał Karinie wiadomość, że już ma to, co trzeba, i za chwilę będzie czekał w domu. Napisał, że jest z niej dumny, ale niech naprawdę uważa na siebie.

Oczywiście, miała zamiar uważać. Unikać odludnych miejsc i zbyt dużego tłoku. Pierwsze było proste o tej porze dnia w centrum Warszawy, z drugim nieco trudniej. Po wyjściu z wydawnictwa rozejrzała się automatycznie. Zobaczyła kobietę z dzieckiem i jakąś starszą panią. To dobrze. Dobrze też, że może szybko chodzić w sportowych sandałach. Wciąż jeszcze nie zdecydowała się na wysoki obcas przyzwyczajona, iż nie powinna być dużo wyższa ze względu na wzrost męża.

Dochodziła do Puławskiej, gdy słyszała dzwonek komórki trzymanej w kieszeni, aby uniknąć nerwowego szukania. Czyżby coś się stało? Zmiana planu? Nie, to Luiza.

- Możesz rozmawiać? Powiem krótko. Jakubek nie żyje. Znaleziony martwy na schodach swojego domu, to znaczy ogrodzonej willi.

- Znowu na schodach?

- Tak, to jakieś chore. Dzwoniła Magda. Była na policji i tam usłyszała. Słuchaj teraz, bo ważne. Sąsiedzi widzieli, jak przedtem jechał do niego brunet o podejrzanym wyglądzie. Nawet zapamiętali samochód i częściowo numer. Sprawdzono, że to Robert. Na razie nie mogą go znaleźć.

- Nie. - Karinie zrobiło się nagle zimno. - To jest...

- Wiem. Niemożliwe - przerwała Luiza. - Też mi się w głowie nie mieści, ale tamten dziadek podobno dokładnie opisał Gondora, który tak mu się nie spodobał, że specjalnie poszedł do Jakubka sprawdzić, czy wszystko w porządku. I sprawdził. Zobaczył zwłoki.

- No tak - powiedziała tylko Karina. - No tak.
- Wobec tego nie przeszkadzam. Trzymaj się, cześć.

Oczywiście, że się trzyma. Do momentu, gdy załatwi wszystko. Potem będzie mogła nawet się rozplakać.

Ale teraz chce jak najszybciej zobaczyć Bartosza. Gdy podbiegła do stojącego na przystanku tramwaju, miała niemiłe odczucie, że ktoś podąża w ślad za nią. Wzięła to za skutek zdenerwowania po telefonie Luizy, ale wsiadając, obejrzała się. Nikogo nie było.

Przechodząc w głąb między hałaśliwie roześmianymi nastolatkami, dotarła do środka wagonu. Wtedy zauważyła stojącego przy kasowniku mężczyznę, którego na pewno знаła i to w jakiś nieprzyjemny sposób. Nie patrzył na nią, więc miała chwilę na zastanowienie.

Tak, oczywiście! Mimo że inaczej ubrany, był to ponad wszelką wątpliwość człowiek, który w kawiarni prosił o przyprawę. Teraz miał biały podkoszulek i torbę na ramieniu. Ta sama szczupła, zacięta twarz. Ale w sumie, o co chodzi? Jeśli ona jest w tym tramwaju, to przecież i jemu wolno. Aby podtrzymać się w racjonalnym myśleniu, Karina postanowiła wysiąść na najbliższym przystanku i patrzeć, jak jej współpasażer jedzie dalej sam.

Rzeczywiście, gdy za chwilę tramwaj stanął, udało jej się jako jednej z pierwszych wyskoczyć na zewnątrz, przebiec na światłach i jeszcze szczęśliwym trafem wpaść do autobusu, który właśnie nadjechał.

Zadowolona ze swojej akcji, oparta o szybę, z uśmiechem patrzyła na rozmawiające dwie starsze panie w kapeluszach, wdzięcznie noszące białe, ażurowe rękawiczki.

I wtedy zamarła, jakby na moment stanęło jej serce.

Zobaczyła nieznanego z kawiarni.

Dzieliły go od niej trzy osoby. Nie miała halucynacji. Wsiadł razem z nią niezauważony, a teraz niestety nie mogło być mowy o przypadku.

Nie zamierzała jednak znowu wyskakiwać. To nonsens.

Jest bezsilna wobec tego człowieka i pewnie niedługo pozna jego zamiary.

Dokładnie co do słowa pamiętała telefon od Luizy.

Rano rozmawiała z mordercą, jeszcze czuje jego dotyk.

Nie, spróbuje nie panikować. To centrum Warszawy w środku dnia.

Przede wszystkim musi dotrzeć do celu. Wsiądzie na przystanku, na którym powinna. Potem między ludźmi nic ma prawa jej się nic stać.

Zaczęła myśleć o Bartoszu. Wkrótce go zobaczy i wszystko będzie dobrze.

Nie odwracając wzroku, z całej siły udając spokój, bardzo skoncentrowana zeszła ze schodków. Nie musiała sprawdzać. Wiedziała, że mężczyzna z torbą idzie za nią. Po kilkunastu krokach, widząc go kątem oka, stanęła przed dużą wystawą. Zmusiła się, żeby patrzeć na nią przez minutę, ale gdyby ją spytano, jaki to sklep, nie miałyby pojęcia.

Rozejrzała się. Jej prześladowca zniknął.

Zdecydowanym krokiem dołączyła do tłumu przechodniów. Wyprzedziła grupkę głośno rozmawiających po angielsku turystów, potem rozkrzywane piętnastolatki. Przyspieszając kroku, usłyszała, że ktoś za nią robi dokładnie to samo. Mimo woli zaczęła biec. Tamten również. Potknęła się, o mało nie upadła i wtedy ujrzała mijającego ją zdyszanego, młodego człowieka w rozpiętym garniturze. Pędził, zapewne spóźniony na naprawdę ważne spotkanie.

Karina odetchnęła z ulgą, prawie śmiejąc się ze swojej obsesji, gdy nagle oblał ją zimny pot. Z prawej strony, w odległości kilku metrów, nieznanomy z kawiarni stał spokojnie i tym razem patrzył na nią zimnym, przenikliwym wzrokiem.

Nie zeszytywniała ze strachu. Przeciwnie. Powtarzając w myśli, że ma już niedaleko, trochę utykając, najszybciej, jak mogła, zbliżała się do rogu ulicy, przy której dawniej mieszkała ze swoim mężem, Bartoszem Wińskim.

Teraz wreszcie skręciła w nią i szczęśliwie udało jej się dogonić jedyne przechodnia, młodego człowieka w szortach, którego wygląd z daleka sygnalizował częste odwiedziny w

siłowni. Na pewno rozsądnie by było mieć go tuż za sobą, tym bardziej, że jej niechciany towarzysz podążał za nimi, stale zmniejszając dystans. Obejrzała się. Sportowiec w niezrozumiały sposób nagle zwolnił, zostając zdecydowanie w tyle.

Mężczyzna był już kilka kroków za nią. Za chwilę czułaby jego oddech na plecach, ale brama była blisko. Karina rzuciła się do niej biegiem, w myśli powtarzając kod domofonu, który na szczęście zadziałał.

Teraz schody. Wysokie i strome, ale wiedziała, że musi pokonać je tak szybko, jak tylko jest w stanie. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła nieznanego jakimś cudem otwierającego drzwi. Szedł za nią na górę, nie śpiesząc się.

Zdyszana wpadła na drugie piętro i chwyciła klamkę pod ozdobną, mosiężną wizytówką jej eksmęża. Była bezpieczna. Odetchnęła.

W przedpokoju nie paliło się światło.

Nie czekał na nią Bartosz.

Może chce zrobić niespodziankę. Wpadła do dużego pokoju i zatrzymała się. Pusto. Jej uwagę przykuł leżący na stole druk z nazwiskiem Gondora i jego zdjęcie z Sandrą z jakiejś imprezy. Zaczęła je oglądać, żeby nie myśleć o lęku, który powoli ją ogarniał i niewytłumaczalnie powstrzymywał przed otwarciem drzwi gabinetu gospodarza.

Wszystko wyglądało dziwnie. Nie tak miało być.

- Bartosz? - zawołała w końcu.

Odpowiedziała jej cisza.

Patrzyła na zdjęcie, prawie go nie widząc. Teraz już wiedziała, że dzieje się coś niedobrego.

- Nie, nie Bartosz. Ja jestem - usłyszała.

Nie musiała odwracać głowy, poznała charakterystyczną, precyzyjną dykcję. Serce biło jej tak, jak nigdy w życiu. Zrozumiała jedno. Nie ma najmniejszego wpływu na to, co się z nią stanie. Podobnie jak nie może już pomóc mężowi. Byłemu mężowi, ale przecież ciągle człowiekowi bliskiemu i ważnemu.

- Zawiedziona?

Nie uwierzyłyby, że może przestraszyć się bardziej, ale wygląd Roberta Gondora spowodował, iż poczuła gwałtowne mdłości. Stał przed nią w rozdartym czarnym podkoszulku. Jego twarz, ręce, ubranie, a nawet częściowo włosy pokryte były lepкими, brunatnoczerwonymi plamami. - Nie jaskrawą farbą, którą oblano Przemka.

Karina próbowała głęboko oddychać. Wiedziała, że ten człowiek jest cały we krwi.

- Co z nim? - spytała z wysiłkiem, odwracając wzrok.

Błysnął tryumfalnie niebieskawymi białkami oczu.

- Z nim? - wzruszył ramionami. - A co ma być? Taśma dobrze trzyma. Nie wstanie z krzesła ani się nie odezwie. Chcesz sobie popatrzeć? - Otworzył drzwi sąsiedniego pokoju.

Ledwie stawiając sztywne kroki, podeszła do gabinetu, w którym wbrew zapowiedzi Wiński siedział przy swoim biurku, wcale niezwiązany, lecz twarzą do okna, bez jednego drgnienia.

Mężczyzna zaśmiał się sarkastycznie.

- A rzeczywiście, zapomniałem. Chciałem go skrępować, ale to już zbyt, bo i tak się nie rusza.

Wiedziała, że musi zobaczyć twarz męża, ale Gondor zdecydowanym ruchem położył rękę na jej ramieniu. Nie mogła ukryć dreszczu, który ją przeszedł.

- Wracaj - powiedział krótko. - Teraz robisz to, co ci każe.

Prawie popchnął ją na fotel i usiadł naprzeciw. Wyciągnął na dywan długie nogi w pobrudzonych dżinsach.

- Może masz ochotę wezwać policję? Bo przecież mnie szukają. I posiadasz twarde dowody rzeczowe. - Patrzył na nią przenikliwie z zaciętymi ustami. - Ależ, nie krępuj się, zadzwoń, zrób z siebie pośmiewisko. - Przechylony do przodu, jakby chciał skoczyć, wyglądał po prostu niebezpiecznie. - Nie zauważyłaś, że to, co ci Wiński mówił, brzmiało debilnie? Nie? No pewnie,

wciąż wielbiąca była żona! Zachwyci się każdą, nawet najtańszą brednią. I przyleci na gwizdek, ryzykując na przykład życie, żeby tylko jemu nic się nie stało. Oczywiście bez wahania osądzając jako mordercę kogoś, kogo przecież zna.

W jego stłumionym głosie brzmiała narastająca wściekłość. Karina, którą ogarniało tak silne znużenie, że czuła już obojętność na to, co z nią będzie, nagle zaczęła go słuchać.

Tak, ma trochę racji. Wobec tego, co mówił Bartosz, była, wbrew postanowieniom, całkiem bezkrytyczna. Urzekł ją swoim zapalem i inteligencją tak, że właściwie nie zastanawiała się nad sensownością jego wywodów. A tak naprawdę, czy ona miała intelektualne prawo go krytykować?

Z gabinetu usłyszała kroki i w drzwiach pojawił się jej były mąż. Wyprostowany, obrzucił ich chłodnym, wzgardliwym spojrzeniem, a następnie bez jednego słowa po prostu wyszedł.

Gondor nie obdarzył go najmniejszym zainteresowaniem. Położył swoje opalone dłonie na poręczach fotela. Długimi palcami obejmował drewniane gałki, jakby chciał siłą utrzymać się na miejscu.

- Więc, aby nie było żadnych niejasności - jego niski, zwykle przyjemny tembr, teraz nasycony był prawdziwym jadem. - Jakubek, owszem, nękał mnie sprawą Przeględy. Również prawdą jest, że pomagał szefowi firmy, która dzięki mnie wymiotła konkurencję. Tak samo prawda, urodziny Sandry w „Białej Gospodzie”. Ale - mówił coraz dobitniej - Tomcia wyrzucałem regularnie, kiedy przychodził z tematem zachęcania Płonina do sprzedaży. Obu firmom doradzaliśmy bez przekazywania informacji. Jedna stosowała nasze zalecenia, a druga nie. Z wiadomym skutkiem. Sandra dała się namówić Jakubkowi na wyprawienie urodzin, o co się pokłóciliśmy, ale w tej sprawie nie miałem już ruchu.

Karina nie myślała o niczym. Tylko słuchała.

- A więc - ciągnął Gondor - nikt nie ośmielił się nigdy mnie szantażować, tym bardziej taki Jakubek. Nigdy mu niczego nie obiecywałem i jak się powinnaś domyśleć, nie zamawiałem żadnego pobytu ani dla siebie, ani dla Magdy. Ten świstek - rzucił pogardliwe spojrzenie w kierunku stołu - wyłudził twój miły od swojego Tomasza, wciskając mu głodny kawałek, że chce ci zrobić niespodziankę i namówić na wyjazd. Potem sfalszował, wpisując moje nazwisko.

- Dlaczego? - otworzyła szeroko oczy.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Nic nie rozumiesz? Rozmawiałem przez telefon z Wińskim o twoich baśniach. Pytałem, czy próbował je gdzieś wydać. Czyli interesowałem się twoją osobą. On w końcu zrozumiał, że już stracił cię ze swojego orszaku. A przecież byłaś jego własnością. - Skrzywił się. - No i postanowił działać, żeby stan posiadania odzyskać. Wprawdzie beznadziejnie głupio, ale trudno. A przy okazji miał usunąć mnie jako ewentualnego rywala. Działalibyście wspólnie, tropiąc przestępcę, i zbliżyłabyś się znowu do niego. Na jakiś czas - dodał mściwie. - Zaniósłabyś te świstki na policję, którą on miał uprzedzić, że jesteś histeryczką, bawisz się w detektywa i żeby cię nie zrazali.

- Czyli miałabym wyjść na kretynkę - stwierdziła bez namiętnie.

Nie miała siły niczego już odczuwać.

- Niestety.

- Skąd to wszystko wiadomo? - spytała zmęczona.

Uniósł brwi.

- Z pierwszej ręki. Twój były mi opowiedział. Sam. No, może troszkę go przycisnąłem, bo byłem w nerwach. Ale nic mu nie jest, wstydzi się, bo cóż innego mu zostało.

Brzęknęła komórka.

- OK. Właźcie! - Gondor odrobinę się uspokoił.

Słychać było szybkie pokonywanie schodów i w drzwiach ukazała się Magdalena Płonin.

Zdyszana stanęła, jak wryta. - Jak ty... Robert, skąd ten wygląd?

Dotknął zlepionych, czarnych włosów.

- To na przykład moje alibi.

Zacisnęła powieki.

- Mam rozumieć - wyskandowała - że w tym czasie zamordowałeś kogoś innego? Konkretnie tasakiem?

- Niezupełnie - powoli wracał do normalnego tonu - choć przez moment takie miałem intencje. Cześć, stary!

Karina, nie ruszając się z fotela, dopiero teraz zauważyła za plecami córki profesora istnienie kogoś, kto też wszedł do mieszkania. Właściwie była pewna, że ma chorobliwe przywidzenia, gdy ujrzała szczupłego mężczyznę w białym podkoszulku, z torbą na ramieniu. Podszedł prosto do niej.

- Jestem Zbychu - pocałował ją w rękę.

Magda Płonin patrzyła na niego jak skamieniała, z rozchyłonymi z zaskoczenia ustami.

- Gruby Zbynio - ogłosiła tryumfalnie. - Ale wyrosłeś.

- Ty wypiękniałaś, Madziula. - Objął ją.

Uśmiechał się szeroko i nikt przy zdrowych zmysłach nie skojarzyłby go z kimś, kto wywołuje chęć ucieczki.

- Bercik chciał, żebym ochraniał jego dziewczynę, bo różnie mogło być. Mamy z żoną firmę detektywistyczną i lepszy jestem w obserwacji, ale jak trzeba, to dla kumpla z piaskownicy robi się wszystko.

Pomylił ją z Sandrą? Chyba oszalał. Zresztą, nieważne. Karina znieruchomiała, czując tylko zmęczenie. Może jeszcze zdziwienie, że nie obchodzi jej, dokąd poszedł jej były mąż.

- Ale się urządziłeś - podziwiał przyjaciela detektyw. - Mów dokładnie, jak to się stało i spadajmy, bo przecież nie będziemy nadużywać gościnności blondyna.

- Dawno chciałam iść na kawę - stwierdziła córka profesora - ale Robert w tej wersji nie może. Gadaj szybko, Bercik.

- Prawie nie ma o czym. - Gondor rzucił jej mściwe spojrzenie. - Wracałem od Jakubka, którego znalazłem nie w „Białej Gospodzie”, tylko w jego nowym domu piętnaście kilometrów dalej, i chciałem jak najszybciej dotrzeć tutaj. Oczywiście wszystko zaczęło się sprzysięgac. Najpierw złapałem gumę i walcząc z bagażnikiem, nie wiem jak, rozdarłem podkoszulek. Potem, byłem już w połowie drogi, pusto, a z naprzeciwka rowerzysta przed nosem skręca do przydrożnego sklepu po mojej prawej. Za późno na hamowanie, wykonałem manewr i oczywiście wysiadłem. Podchodzę do niego z gołymi rękami, a ten wyjął spray, przeciągnął po mnie czerwonym lakierem i od razu zwiął. Okazało się, że to grafficiarz. Dziewczyna wybiegła ze sklepu, chciała mi jakoś pomóc, ale się śpieszyłem, więc wróciła do oglądania powtórki odcinka „Szczęśliwego życia”.

- Dlatego masz alibi - podsumował Zbych.

- Nie wiem, kiedy ktoś sprzątnął naszą chlubę hotelarstwa, ale wynikałoby, że jakoś wtedy.

- I tak ci się udało, bo chłopak mógł mieć niebieską farbę - zauważyła Magda.

- Wyglądałbym tylko jak wariat, a teraz - jak rzeźnik. Zadzwoń do Janka Reisinga, może wie, czym to zmyć i ewakuujemy się.

Karina słuchając, coraz bardziej zdawała sobie sprawę z tego, że jest wśród krewnych i kolegów z dzieciństwa kimś całkiem obcym. Miała zamiar zniknąć możliwie po angielsku. Jeśli rzuci krótkie „do widzenia”, na pewno dadzą jej spokój i pozwolą wyjść. Marzyła o uspokajającym spacerze po wygrzanej słońcem Marszałkowskiej. Koniecznie sama.

Widząc odpowiedni moment, kiedy Magda Płonin zaczęła coś żywo omawiać z detektywem, wstała i już była w przedpokoju.

- Opiszysz to? - Drgnęła zaskoczona. - W następnej baśni?

Gondor niepostrzeżenie znalazł się za nią. Wiedziała, że obłany jest lakierem, a nie krwią, jednak wolała patrzeć w inną stronę.

- Może czarny smok w końcu nie był taki najgorszy? - zapytał cicho.

Zaskoczona odwróciła głowę. W dalszym ciągu wyglądał po prostu makabrycznie.

- Myślałeś o nim jako...

- Myślę, że mam z nim dużo wspólnego.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, zdumiona tym, że mógł mieć sporo racji, gdy usłyszeli Magdę.

- Przez Roberta zapomniałam o najważniejszym. Już mówię, ale wyjdźmy stąd. Otóż, wyobraźcie sobie - zaczęli schodzić po schodach - wyjaśniło się z rektorem Bogockim. - Wszystkie oczy zwróciły się na nią. - Poszedł do Kotulaka z piersióweczką, żeby im się lepiej gadało.

- Bardzo mądrze - wtrącił finansista.

- Zadzwoił, ten otworzył, ale nie chciał rozmawiać. Kazał mu iść precz. Bogocki cofnął się do schodów, zaczęli dyskutować, machać rękami i sam stracił równowagę. Spadając tak nieszczęśliwie się uderzył, że zginął na miejscu. Kotulak natomiast stracił głowę i wlał mu do gardła wódkę z jego własnej flaszki, oczywiście nie zostawiając odcisków palców. Potem wrócił do siebie.

- Skąd to wiadomo? - spytał detektyw.

- W końcu się przyznał.

- Tak po prostu?

- Chyba nie. Powiedział, że nic nie słyszał, bo wziął środek nasenny, więc go zapytali o nazwę i zaproponowali badanie krwi. A on na swoje nieszczęście ma świetny sen i żadnych lekarstw tego typu w domu. Podobno wtedy pękł i opowiedział, jak było.

- Na pewno prawdę?

Córka profesora wzruszyła ramionami.

- To człowiek dobrze po siedemdziesiątce. Podobno drobnej budowy. Nie siłowałby się z Bogockim i nie miał powodu go zabijać. Tylko potem postąpił sprzecznie z moralnością i prawem.

Na zewnątrz przywitało ich lipcowe słońce z ciepłym wiatrem.

- Jadę do Reisinga. Mówi, że ma dobry rozpuszczalnik. - Gondor spojrzął na zegarek. - Odwiesz Karinę? - zwrócił się do Magdy.

- OK. - Przytrzymała dziewczynę za rękaw bluzki. - Ale skąd wiedziałeś, że Wiński jedzie do Jakubka?

- Spytaj Zbynia - Robert błysnął uśmiechem, wsiadając do samochodu.

Detektyw wyglądał jak wcielenie niewinności.

- W kawiarni przyczepiłem wam pluskwę pod stolikiem i posłuchałem sobie. Przecież musiałem ogarnąć, o co tu biega.

- Chyba wolałam cię, kiedy byłeś pulpet - podsumowała jego koleżanka, otwierając Karinie drzwi wozu.

*

Reisingowi dopisało naprawdę wyjątkowe szczęście, ponieważ po drodze na Dworzec Centralny ominęły go wszystkie możliwe korki, które skądinąd znał wyjątkowo dobrze.

Do odjazdu pociągu zostało trochę czasu, gdy pewny sukcesu zaczął szukać miejsca na samochód. Po dwóch bezowocnych okrążeniach wiedział, że dobrą passę ma za sobą. Nie patrząc na zegar, aby oszczędzić nerwy, przypomniał sobie o parkingu podziemnym obok.

W ten sposób już po czasie, wpadł biegiem do głównej hali, gdzie nagle usłyszał coś piękniejszego od najlepszej muzyki. Ogłaszano właśnie dwudziestotryminutowe opóźnienie pociągu do Białegostoku.

Po błyskawicznym sprawdzeniu miejsca odjazdu, zjeżdżając schodami, mógł zastanowić się, w jaki sposób odnajdzie asystenta Płonina na peronie między stłoczonymi wakacyjnymi grupkami i całą dużą resztą pasażerów.

Skuteczna metoda nie istniała. Wymieszany tłum oczekujących na dwa pociągi na sąsiednich torach, raz nieruchomy, gdzie indziej przypominający mrowisko, mógł, a nawet powinien odebrać jakąkolwiek nadzieję na powodzenie.

Rzeźbiarzowi pozostało jedno, iść środkiem i polegać na swoim bystrym wzroku. Nieco otuchy dodało mu ogłoszenie następnych dziesięciu minut, które dostał w prezencie, jednakże po przejściu peronu tam i z powrotem, wysilając do maksimum swoją wypróbowaną spostrzegawczość, nie odniósł sukcesu. Wprost przeciwnie. To była porażka.

W sumie dość łatwa do przewidzenia, właściwie liczył chyba na cud.

Dobrych kilka razy widział prawie identycznego młodego człowieka z pomalowanym irokezem.

Bardzo rzadko w życiu czuł się prawdziwie bezradny, ale właśnie przyszedł taki moment. Otarł pot z czoła. Przecież nie będzie stał i wrzeszczał: Przemek, Przemek! Uspokoiłby nerwy, ale wtedy tamten tym bardziej by się schował.

Zaraz! Ta myśl przypomniał mu o czymś, czego nie mógł zdefiniować.

Schował się?

Gdzieś w połowie trasy poszukiwań miał cień wrażenia... raczej błyskawiczne odczucie, że ktoś się kryje. Potem jakiś pajac odwrócił jego uwagę i pozwolił mu zapomnieć. Co to było? Nawet nie widział nic kątem oka, tylko krótki, słaby sygnał przemknął przez jego świadomość.

Nie było na co czekać. Zawrócił. Skoncentrowany do granic możliwości prawie biegł, nie potrącając ani jednej osoby.

Teraz instynktownie wiedział, gdzie szukać. Zatrzymał się dokładnie w tamtym miejscu. Obok stała jeszcze kolorowa grupa z gitarą. Po prawej filar. A za nim... Jest!

Ledwie widoczny z drugiej strony, obok wielkiego plecaka, ubrany w czarną koszulkę, skulony tak, że nie do poznania, ale Reising nie miał cienia wątpliwości. Położył mu rękę na ramieniu.

- Nigdzie nie jedziesz. Wstawaj.

Rosiński szarpnął się do ucieczki, był jednak bez szans. Przyparty do betonowego słupa zacisnął bezsilnie pięści.

- Gadaj, czemu chciałeś wiać?

- Zawołam policję. - W zmrużonych oczach Przema była tylko nienawiść.

- Proszę cię bardzo.

Właśnie zbliżał się patrol zainteresowany nietypową sceną. Janek uśmiechnął się promiennie.

- Wszystko jest w porządku. Nie będę niczego zgłaszał.

Młody człowiek oddychał ciężko. Jego pociąg właśnie odjeżdżał.

- No i widzisz, jak wyglądasz? - tłumaczył łagodnie rzeźbiarz. - Od razu uwierzyli, że jesteś ćpunem i złodziejem. A teraz mów, jak było.

- Nie! - Wykrzywił się drwiąco chłopak. - Nie będziesz mnie tu trzymać do końca życia.

- Ani mi w głowie. - Przycisnął go mocniej. - Pójdę i podłożę u ciebie laskę dynamitu. Potem przypadkiem znajdę.

- Nikt ci nie uwierzy. Wyleciał mój harley.

- Jeszcze lepiej. Dla zmylenia. Zresztą na pewno był ubezpieczony. A następnie znajdziemy tego, który ci sprzedał narzędzie morderstwa. Krewny Nikoli czy kolega?

Asystent profesora zbladł i zaciął usta.

- To ty włamałeś się do willi i wiem, po co - kontynuował Reising. - Pytam jeszcze raz. Krewny Nikoli czy kolega?

Nastąpiła chwila niedobrej ciszy. Przemek Rosiński wyglądał źle i należało wziąć po uwagę ewentualność, że po prostu zemdleje. Jego prześladowca postanowił się tym nie przejmować. Trzymał go mocno i czekał na efekt.

- Kumpel jej brata - rzekł w końcu Przemo. - Ale ona o niczym nie wie.

- O, mądry chłopiec - pochwalił go Janek. - I kto ci kazał kupić dynamit?

- Nie powiem - wydyszał.

- Owszem, powiesz.

- Nikt mi nie uwierzy. Nie mam dowodów.

W jasnych oczach rzeźbiarza błysnęło zadowolenie.

- Kto wie, elegancie. Może się i znajdują.

*

Karina ze szklanką gorącej herbaty siedziała nieruchomo w rogu tapczanu. W uszach dźwięczał jej potok wymowy Magdy Płonin, która praktycznie przemocą zawlokła ją do małego arabskiego baru. Władowała tam w nią sporą ilość kalorii, która miała zregenerować jej siły nadwątlone ostatnimi przeżyciami.

W zasadzie przez cały czas mówiła, z przerwą na zadanie pytania o uczucie, jakim Karina ewentualnie może darzyć byłego męża. Po usłyszeniu odpowiedzi negatywnej, wystawiła Wińskiemu własną opinię z gatunku tych, po których można jedynie zapaść się pod ziemię lub wybrać inną, bardziej dogodną formę samobójstwa.

Lecz główny wątek stanowiły jej wspomnienia związane z ojcem, dzieciństwem spędzonym z Mikołajem i Robertem, a później przyszła kolej na najsmutniejsze. Utratę matki poprzedzoną walką z chorobą. Opowiadała o ojcu, jego ogromnym zaangażowaniu i wspieraniu żony.

Stwierdziła, że jej, nastolatce, bardzo wtedy pomógł Gondor, który przyjechał z Austrii. Z całej rodziny z nim rozumie się najlepiej. Może dlatego, że są do siebie podobni, nie tylko zewnętrznie. Bo jej kuzyn wcale nie ma takiego trudnego charakteru. Po prostu, jeżeli na przykład odrobinę poniesie go temperament, to przy tej karnacji może sprawiać całkowicie mylne wrażenie.

Tak, Karina chyba nawet wiedziała jakie.

Ale, informowała Magda, to bardzo dobry człowiek. I nie byłby w stanie skrzywdzić dosłownie nikogo.

Właśnie. Nawet, jeśli nie miała absolutnej racji i Gondor, co bardzo prawdopodobne, potrafiłby komuś coś zrobić, to i tak nie ma usprawiedliwienia dla kreowania go na mordercę. Bartosz postąpił niemoralnie, nie wyszedł jednak na głupiego. W odróżnieniu od niej, niestety. Intryga, którą zbudował, była tak beznadziejna, że nikt poza nią nie mógłby się nabrać.

Wziął ją za głupią, a ona pokazała, że słusznie, i teraz musi wstydzić się podwójnie. Za brak rozumu, jak również za rzucanie podejrzeń na niewinnego człowieka. Tak, przecież wybierała się na policję z tymi, pożałuj Boże, dowodami. Fakt, że Robert Gondor bywał w stosunku do niej nieprzyjemny czy złośliwy, nie usprawiedliwia jej ani trochę.

Jak mu spojrzysz w oczy?

O tym akurat będzie miała okazję się przekonać jeszcze dzisiaj, bo wszyscy są zaproszeni do domu Płoninów i podobno przyjdzie ktoś z prowadzących śledztwo. Czyli wreszcie informacje.

Może nie musi się tam pokazywać?

Owszem musi, bo inaczej dodatkowo zasłuży sobie na etykietkę tchórza.

*

- No i...? Masz coś do powiedzenia, czy będziesz produkować inteligentne uśmiechy? - Małgorzata Bogocka prezentowała naprawdę zgrabne nogi, siedząc trochę bokiem na skórzanej kanapie w salonie Płoninów.

Mierzyła nieprzychylnym wzrokiem panią Irmę, która ze spokojem poprawiała ustawienie licznych bibelotów przed rządami książek.

- A my musimy sobie jeszcze cokolwiek mówić? - spytała melodyjnym głosem.

- O, nie, przymusu nie ma! - Zaśmiała się sarkastycznie żona zmarłego rektora, odgarniając z czoła prosto przycięte nad ramionami włosy. - Ale może byś raz pokazała, że stać cię na coś więcej poza wywracaniem oczami. Głęboko intelektualnym, oczywiście.

Siostra Płonina posłała jej głębokie spojrzenie spod długich rzęs.

- Przecież świetnie się orientujesz w branży i w mojej pozycji. Jest zdecydowanie wyższa niż twoja, ponieważ ja robię coś autentycznego.

- A ja nie?

- Przysłowiowe dobre wrażenie. Ale chyba nie o to ci, Gosiu, chodzi?

- Niesamowicie jesteś przenikliwa. - Kobieta sięgnęła po szklanę z wodą. - Od lat traktujesz cudzego męża jak swoją własność i uważasz, że wszystko w porządku.

Irmina Dobrzyńska usiadła naprzeciw w głębokim fotelu. Przez chwilę obie milczały. Widziały panią Teresę, która z krótkim pukaniem weszła przez otwarte drzwi, ale nie zainteresowały się jej obecnością.

- Tadeusz nie był niczyją własnością, ale wiedziałas doskonale, co działo się między nami od pierwszego spotkania. Chyba, że nie zauważyłaś, tak bardzo zajęta moim bratem.

- Przeszkadzało ci to? - spytała wyniośle koleżanka.

- Ani trochę - wzruszyła ramionami. - Dobraliście się pod każdym względem, może prócz urody. Bo tej Sylwestrowi nie brakowało. Wyrównywał nią braki w charakterze. Obludę, egoizm, intryganctwo - uśmiechnęła się z wyższością. - Zresztą sama dobrze wiedziałas i nie robiło ci to różnicy.

Kobieta wyprostowała swoją drobną sylwetkę.

- Nie robiło, bo kochałam Sylwestra od pierwszego roku studiów... - urwała, ponieważ Teresa Chociej chrząknęła znacząco.

- Słysząc gości. Ja osobiście poprosiłabym ich na taras, zanim skończycie.

Bogocka założyła wygodnie nogę na nogę.

- Nie wiadomo, kiedy skończymy. Być może nigdy. - Machnęła ręką. - Niech włączą.

- Wreszcie w czymś się zgadzamy - stwierdziła pani Irmina. - Sądzę, że będzie dobrze, jeśli sobie posłuchają.

- Bardzo chętnie, ciociu. - Magda weszła energicznym krokiem. - A o co chodzi?

Za nią pojawiła się cała reszta. Nikt nie był spóźniony.

- Łączyło nas z Sylwestrem wszystko. Miłość, seks, intelekt. Zostaliśmy po prostu dla siebie stworzeni. Wzięlibyśmy ślub zaraz po dyplomie, gdyby nie twoja kochana przyjaciółka - jadownicie zwróciła się do Dobrzyńskiej - Majeczka o urodzie anioła, a co ważniejsze, z grubą kasą. I raz, dwa. Kupiony, zakontraktowany.

- Gdyby pani była mężczyzną... - zaczął Mikołaj drżącym z wściekłości głosem.

- Ale nie jestem i dlatego wyszłam za Tadeusza. Który akurat był wolny. Ciekawe, jakim cudem, skoro odkąd pamiętam, adorował młodszą siostrzyczkę Sylwestra. Śliczną, grzeczną panienkę, która w dodatku umiała się tak ubrać, że w byle czym wyglądała jak księżniczka.

Wszystkie spojrzenia automatycznie skierowały się na siedzącą w fotelu panią Irmę. Miękki, bladolila materiał jej sukni na pewno nie zasługiwał na miano byle czego, jednak nawet teraz stanowił tylko tło dla jej posągowej urody.

- Trudno mówić o cudzie - zaczęła cicho, lecz dobitnie. - Sylwester załatwił dla całej trójki wyjazd na sympozjum do Budapesztu. Tam z kolei zorganizował tyle alkoholu, że znalazłaś się w łóżku z Tadeuszem. Niezbyt, o ile wiem, przytomnym.

- To prawda.

- Od pierwszego spotkania patrzyłam w niego, jak w obraz i przypuszczałam, że ze wzajemnością. Po Budapeszcie nie mogło już o niczym być mowy. - Uśmiechnęła się gorzko. - Drogi brat wykonał bardzo zgrabne posunięcie. Wydał swoją dziewczynę za swojego najlepszego przyjaciela. No i w ten sposób została mu jeszcze tylko siostra.

- Którą można było pożytecznie zagospodarować - dodała Małgorzata Bogocka.

- Czego oczywiście nie omieszkał uczynić. Ja wtedy

kompletnie zobojeźniałam, myślałam wyłącznie o skończeniu studiów, a Sylwester miał jeszcze jednego kolegę, najzdolniejszego z całej trójki. Bogdan Dobrzyński chodził trochę własnymi drogami, robił karierę. Również polityczną. Dla mojego braciszka był coraz bardziej przydatny - westchnęła. - Przystojny, błyskotliwy, sama nie zauważyłam, kiedy przyjął jego oświadczenia. Dopiero po ślubie zrozumiałam, że miałam go ratować z alkoholizmu, w który stopniowo się pogrążył.

Pani Teresa zamierzała coś wtrącić, unosząc brwi, lecz spojrzenie żony rektora odebrało jej chęć do mówienia.

- Po jego śmierci - ciągnęła pani Irmina - na skutek dewastacji organizmu, przed którą nie można było go uchronić, zaczęliśmy z Tadeuszem romans. Nie mogę więc narzekać na życie, bo byłam kochanką najwspanialszego na świecie mężczyzny. Do ostatniego jego dnia.

Chwilę nieuchronnej ciszy, która nastąpiła, przerwała Małgorzata Bogocka.

- Domyślałam się, ale nie pasjonowała mnie ta kwestia. Z Sylwestrem spotykaliśmy się regularnie od lat. - Uniosła głowę z dumą. - Nie moglibyśmy żyć bez siebie. Przez ostatni rok wymyślił idealnie zakamuflowany sposób na nasze weekendy w „Lancelocie”. To uroczy hotel.

Magda Płonin zareagowała na te słowa bezgłośnie śmiechem, ale zaraz zwróciła się do niej w całkiem poważnym tonie.

- Czy pani sypiała z moim ojcem, zanim został wdowcem? - spytała rzeczowo.

Kobieta zmarszczyła brwi w namyśle.

- No, tak trochę - powiedziała obojętnie.

Słyszając to, Luiza ostentacyjnie wzniosła oczy ku górze, a Mikołaj po prostu wyszedł, głośno trzaskając drzwiami. Gondor z rękami w kieszeniach stał oparty o framugę.

- I jakby nigdy nic znosiłyście ten chory układ? - Nie mógł uwierzyć.

Ciotka spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Może nie całkiem. Na przykład w sobotę, gdy Sylwester na swoją rocznicę zabrał się za wspomnianie przeszłości, powiedziałam, co o nim myślę. Ponieważ zaczął żartować, w zdenerwowaniu zareagowałam jak w dzieciństwie, chwytając, co miałam pod ręką. Pewnie komuś wydałoby się to nawet zabawne. Robert - uznała temat za zakończony - wyglądasz wspaniale z krótkimi włosami, świeży i młodzieńczy. Skąd ta zmiana wizerunku?

- Wymuszona przez życie - błysnął białą uśmiechu - ale chodźmy może na taras, bo tam już czeka ciasto. Od Gapki - dodał krótko.

- Żartujesz! - jęknęła Magda. - Prawdziwe?

- Nie mam pojęcia. Dwa rodzaje.

W drzwiach przepuścił Karinę, ceremonialnie otaczając ją ramieniem. Nie miała dość siły, żeby na niego spojrzeć. Najchętniej ulokowałaby się w najdalszym rogu tarasu, ale to akurat było niemożliwe, bo jakimś zbiegiem okoliczności Gondor, odkąd weszła, cały czas był przy niej.

Nie była zadowolona z tego, co na siebie założyła, czyli długiej, trochę cygańskiej spódnicy sprzed dwóch sezonów i czarnej, bawełnianej bluzki z dekoltem. Czuła się sztywna, spięta i obca.

Nie mogła nawet porozmawiać z Luizą, która w obcisłej, kremowej sukience ozdobionej świetlistym bursztynem, stała w towarzystwie rzeźbiarza.

- Pięknie wyglądasz - usłyszała jak na zamówienie.

- Dziękuję.

Chciała odpowiedzieć uwagą o korzystnej zmianie dokonanej przez obcięcie włosów, ale nie potrafiła dobrać słów.

- Jak zresztą zawsze. W sumie można zrozumieć Wińskiego, że robił z siebie oszołoma, żeby cię odzyskać.

- Nie powinnam była mu uwierzyć - stwierdziła z przekonaniem.

- Sam ci w tym niezłe pomogłem. - Robert podał jej talerzyk z ciastem. - Zachowywałem się jak cham i wariat na przemian.

Całe szczęście, że z obowiązku ustosunkowania się do tej opinii zwolniło ją wejście pani podkomisarz. Uśmiechnięta blondynka, świetnie nosząca swój służbowy strój, była już dobrą znajomą prawie wszystkich obecnych.

- Sprawdzone pana alibi - podeszła do Roberta - ale raczej nie będzie potrzebne. Wszystko wskazuje na to, że śmierć Tomasza Jakubka nastąpiła bez udziału osób trzecich. Przyczyną był zawał.

- Chorował na serce? - skrzywiła się powątpiewająco Magda Płonin.

- Gdybym wiedział, że coś mu dolega, zwołałbym karetkę, ale on funkcjonował jak zwykle - rozważał finansista. - Może bardziej niż normalnie podskakiwał do mnie, opowiadał, że ma dojście do Płoninów i że jeszcze się zdziwię. Może powinienem był coś zauważyć, ale przez myśl mi nie przeszło...

- I nic dziwnego - dokończyła policjantka - ponieważ tragedię w zasadzie spowodował sam denat, stosując bez umiaru środki podwyższające kondycję fizyczną, a zwłaszcza potencję. Te ostatnie wziął niedługo przed zgonem.

- Może być, że miał randkę. - Robert przeciągnął dłonią po włosach. - Wyglądał i pachniał niesamowicie.

Zapanowała ciężka, nieruchoma cisza.

Pani Irmina i Małgorzata Dobrzyńska, siedząc obok siebie jak siostry, równocześnie odstawiły filiżanki z kawą. Luiza zastygła, gładząc łańcuszek srebrnego naszyjnika.

- Cieszył się na spotkanie - wyszeptwała.

Mikołaj Płonin - z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami w malowniczo obszarpanych, markowych dżinsach - patrzył w dal beznadziejnie ponurym wzrokiem.

Za moment jednak wszystkie spojrzenie zwróciły się ku pani Teresie, która najpierw gwałtownie poczerwieniała, a następnie pobladła i ciężko oddychając po nerwowym przeszukaniu torebki, wodą popiła wyjętą z kosmetyczki pastylkę.

- Tylko nie to! - jęknęła córka profesora.

Natomiast Ada Chociej, dotychczas spokojnie i z namysłem degustująca ciasto, bez specjalnego przejęcia patrzyła na matkę. Odłożyła widelczyk i uniosła brwi nad prostokątnymi okularami w czarnej oprawie.

- Owszem - przerwała milczenie swoim niskim, melodyjnym głosem. - Miał randkę ze mną. Umówiliśmy się w „Białej Gospodzie”. Nie przyszedł.

- Spotykałaś się z Jakubkiem? - Gondor zaczął rozpaczliwie potrząsać głową. - Ja chyba zwariuję!

Dziewczyna uśmiechnęła się z wyższością.

- W pewnym sensie, ponieważ on był o tym przekonany. Natomiast moim celem było ustalenie, czy miał jakikolwiek związek z zamachami. Pierwszym, tragicznym, i z następnymi spektakularnymi. - Przeciągnęła uważnym spojrzeniem po obecnych. - Myślę, że gdyby pan Tomasz Jakubek zamieszał się w którąś z tych spraw, wiedziałabym. Umieję pokierować rozmową tak, jak chcę, a odbyliśmy ich sporo. Jeżeli on na dzisiaj planował więcej niż pogawędkę, to świadczy jedynie o jego zaangażowaniu, więc i o wiarygodności mojej opinii.

Reising, do tej pory milczący, przytaknął z głębokim zrozumieniem.

- Pani Kasiu, pani to na pewno potwierdzi? - zwrócił się do policjantki.

- Na sto procent, jeśli chodzi o późniejsze zamachy. Co do pierwszego, nie mamy na niego żadnych wskazań. I tym bardziej polegamy na pani zdaniu.

- Dziękuję. - Adrianna wyprostowana w ogrodowym fotelu, mimo że zwyczajowo w bojówkach i czarnej bluzie, dzisiaj wprost emanowała ciepłem i kobiecością.

- Nie patrz na nią - syknęła Luiza.

- Jesteś zazdrosna? - ucieszył się Janek.

- Chcę powoli nabierać wprawy, bo mogę potrzebować - poinformowała z godnością.

- Przy okazji wyjaśnię coś chyba ważnego - kontynuowała córka nieco uspokojonej pani Teresy. - Mamy znowu produkty od pana Izydora Gapki. Dwa wypieki dość podobne, ale nie takie same, prawda?

- Oczywiście. Ten z prawej jest zdecydowanie lepszy - oznajmiła Magda Płonin. - Pod każdym względem.

- Natomiast ten z lewej jest na pewno od niego - stwierdził Gondor. - Pamiętam, jadłem.

- Właśnie. Podobnie jak wczoraj, kiedy wszystkie dania na nakryciach z najmodniejszej restauracji w mieście pochodziły skądinąd i były zdecydowanie lepsze. Z pewnością niektórzy ta

sytuacja niepokoiła, ale ponieważ wszyscy przeżyliśmy, można było przejść do porządku dziennego nad zagadką i tak nie do rozwiązania.

- Szczerze mówiąc, przypuszczałam, że zamieszany jest Jakubek - wyznała Bogocka.

- Jak najbardziej nie. - Ada uśmiechnęła się z lekkim rozmarzeniem.

Wszyscy wpatrywali się w nią w napięciu, prócz ostentacyjnie patrzącego w inną stronę Mikołaja i Reisinga, z wyraźną satysfakcją obserwującego reakcje obecnych.

- Autorem wszystkiego, co wam tak smakowało, jest kolega Klaudiusza Gapki, syna właściciela biznesu. Panowie założyli się ze sobą, że nikt z gości nie będzie rozczarowany, a nawet wręcz przeciwnie. I tak też się stało.

- Teraz jasne - podsumowała Magdalena. - Ale ten kumpel to przecież geniusz!

Ada Chociej nawet nie odwróciła głowy.

- Tak. To mój chłopak. I twój brat - rzuciła krótko.

Mikołaj dalej sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, jednak bardzo krótko, ponieważ siostra momentalnie zawisła mu na szyi, o mało nie strącając przy okazji z krzesła.

- To ty, Matołku? Kocham cię!

- Właśnie kończy studium gastronomiczne - dodała z satysfakcją jego przyjaciółka.

- Stary, jesteś rewelacyjny! - Gondor podszedł z wyciągniętą ręką, rozpoczynając serię gratulacji. - Gdzie nauczyłeś się tej sztuki?

- We Francji. Miałem zdobywać wiedzę, robić znajomości, a wolałem pracować w restauracjach jako pomoc i szybko awansowałem do kuchni. Potem zmieniałem regiony, poznawałem nowe smaki i czułem się coraz mocniejszy w temacie.

Karina, jak wszyscy zdumiona, czuła jednak, że to, co się właśnie dzieje, jej po prostu nie dotyczy. W zasadzie zawsze lubiła Adriannę, chociaż ta nie uważała jej nigdy za ewentualną partnerkę do rozmowy. Cieszy się, że Mikołaj znalazł swoje miejsce w życiu. Natomiast ona za godzinę wyjdzie stąd i zajmie się własnymi sprawami, na które losy Płoninów nie mają najmniejszego wpływu.

- Świetnie wygląda, prawda? W tej błękitnej koszuli. - Luiza pojawiła się obok, mówiąc najwyraźniej o Robercie.

- Teraz ja jestem zazdrosny - stwierdził rzeźbiarz.

- Wiedziałaś o nich obojgu. Mam rację?

Podrapał się w głowę zakłopotany.

- Nie pokazała dobrze zaskoczenia, kiedy wyszło, że catering był jakiś lewy. Chyba znakomicie ukrywa emocje, gorzej z ich udawaniem. A co do obojga, to zadziwiająco trzymali się zawsze z daleka od siebie, chociaż nie byli pokłóceni. Potem on ciągle przypadkowo był w okolicy, kiedy ona spotykała się z Jakubkiem. No i wszystko razem zaczęło pasować.

Pani Kasia wyszła do ogrodu z komórką przy uchu i wyraźnie zanosilo się na służbową rozmowę, na razie więc dalsze wyjaśnianie zostało odłożone.

- I tak nikt mi nie powie, w co wplątał się mój ojciec. Za co musiał zapłacić życiem - zaczęła rozważać Magdalena. - Nikt nie pokaże mi jego książki.

- Jesteś pewna, że chcesz się dowiedzieć? - spytała niewinnie Bogocka.

Pani Irmina, widząc irytację bratanicy i zamiar udzielenia zdecydowanej odpowiedzi, postanowiła odwrócić ich uwagę.

- Robert, gdzie Sandra? - zapytała głośno.

Zareagował filmowym uśmiechem.

- Z Sandrą zerwaliśmy.

- Jak to? Kiedy? - nie rozumiała.

- Bardzo po prostu. Dzisiaj, u mnie w firmie. Tak, wpadłem tam, szukając namiarów na kolegę. Czy to stanowi problem?

Ciotka potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- No właśnie. - Nalał sok do szklanki Kariny. - Ciekawe dlaczego, kiedy dwoje ludzi rozpoczyna związek, nikt nie pyta o powód? Chociaż może być bardzo różny. A kiedy postanawiają zerwać, zaraz pojawia się zastanawianie nad przyczynami. Uważam to za niespójne i niekonsekwentne.

Pytanie było retoryczne, ale i tak zgromadzono się wokół pani podkomisarz, która wróciła na taras, już gotowa do zaspokajania ciekawości.

- Otóż wyjaśniliśmy sprawę gróźb i ataków fizycznych na niektórych z państwa. Wyszliśmy z założenia, iż ich autor musiał obserwować ulicę Floksową, a dokładnie - posesję państwa i pani Drogosz. Tylko w ten sposób można się było dowiedzieć, że pani Magdalena wybiera się do galerii, i tam zepchnąć ją z ruchomych schodów. Potem powrót tutaj, śledzenie pani Wińskiej. Jechano z nią autobusem i praktycznie wyrzucono z niego. Pojawiło się pytanie, jak można było przez dłuższy czas obserwować państwa domy.

- No właśnie - Luiza była zdenerwowana. - Tu nie ma się gdzie schować

- Jest jedno miejsce. Nieczynny budynek, a raczej kontener spółdzielni „Arabella”, zajmującej się sprzątnięciem, obecnie przeniesionej do Radomia. Sprawdzaliśmy ją zaraz po zamachu, lecz później ktoś, kto posiadał klucze, mógł tam spokojnie przebywać. Zaczęliśmy od przeglądu aktualnych i byłych pracowników. Tutaj dopisało nam szczęście wsparte sugestiami prezesa, który radził zainteresować się zwolnioną przed kilkoma miesiącami Elżbietą Zielską. Była zatrudniona na etacie fizycznym i miała za sobą krótkie leczenie psychiatryczne. Co ciekawsze jednak, jest w wieku pani Magdaleny, mieszkała kiedyś w sąsiedniej kamienicy i chodziła do tej samej szkoły podstawowej.

- Mój Boże! - wyszeptwała córka profesora - Ela Zielska. Nie do wiary. Jak ona mogła!

- Spotkałem ją jakiś rok temu - przypomniał sobie Mikołaj - i dałem jej z grzeczności numer telefonu. Potem zapomniałem.

- Ja zrobiłam identycznie - westchnęła siostra. - Taka była zmarnowana. Ale nie miałam głowy, żeby o niej myśleć.

- Z pewnością spotkania nie były przypadkowe. Dotarliśmy do jej mieszkania na szczęście niedługo po wysłaniu ostatniej wiadomości „No to cześć!”. Wbrew przypuszczeniom nie była to groźba, lecz pożegnanie. Wzięła dostateczną ilość środków uspokajających, żeby nie przeżyć. Znaleźliśmy ją dosłownie w ostatnim momencie.

Irmina Dobrzyńska nie odrywała wzroku od mówiącej.

- Czy potrafi pani to wyjaśnić?

- Myślę, że całkowicie. W dzieciństwie przyjaźniła się bardzo z pani bratanicą. W pewnym momencie zażyłość dobiegła końca.

- Oczywiście. - Magda Płonin nie kryła wzburzenia. - Wszyscy w domu hołubili ją jako biedactwo z ubogiej rodziny, a ona miała charakter wrednej zazdrośnicy. Kiedy zaczęła w klasie opowiadać, że rodzice za mnie odrabiają lekcje, przestałam się do niej odzywać.

- A było dokładnie odwrotnie - wtrącił Mikołaj. - Siostra nigdy nie pozwalała pomóc sobie nawet na milimetr. Natomiast rodzice Ełki mieliby się znacznie lepiej finansowo, gdyby oboje mniej pili.

- Elżbieta Zielska - ciągnęła pani Kasia - nie zdała matury, miała kłopot z ciągłością zatrudnienia. Pracowała jako sprzątaczką na uczelni profesora Płonina, skąd ją również zwolniono. Wtedy powoli zaczęła obarczać państwa rodzinę winą za wszystkie swoje porażki życiowe. Obserwowała dom, nie musiała nawet często kryć się w „Arabelli”, ponieważ jej szary, nieefektywny wygląd sprawiał, iż mogła być prawie niewidzialna. W ten sposób nie zauważyły jej panie wczoraj na Floksowej ani na przystanku, kiedy towarzyszyła pani Wińskiej, którą uznała za przyjaciółkę rodziny, więc również za swojego wroga. Rosiński natomiast, asystent znienawidzonego profesora, był dla niej symbolem dobrobytu, luzu, szczęśliwego życia, więc nastraszenie go sprawiło jej kolosalną radość. Miała komórkę na karty, wysyłała złośliwe SMS-y z różnych numerów, bawiła się państwa nieszczęściem. Oczywiście najbardziej spaleniem pana

samochodu. W końcu wszystko to przestało sprawiać jej przyjemność, poczuła się jeszcze gorzej, aż do decyzji o samobójstwie. No i na szczęście zdążyliśmy. Jest w szpitalu.

- Niesamowite. - Magda Płonin przeczesywała palcami włosy. - Nie mogę sobie tego ułożyć. Elka Zielska prześladowuje mnie i moich bliskich, a ja się tego w ogóle nie domyślam. Gorzej. W ogóle o niej nie pamiętam.

- Wiesz, może to właśnie w jakiś sposób był powód. Broń Boże nie usprawiedliwienie - zastrzegł Mikołaj. - Była tak nijaka, że praktycznie przezroczysta. Wiedziała o tym i może jeszcze bardziej nienawidziła.

- Coś w tym jest, bracie. Ale ze śmiercią ojca nie miała nic wspólnego?

- Na pewno nie. - Policjantka spojrzała na Reisinga, w tym momencie najbardziej zainteresowanego prezentowaniem Luizie skalnego ogródka. - Pan Janek obiecał o tym powiedzieć, ale pewnie za chwilę.

- No dobrze. - Gondor chciał mieć wszystko wyjaśnione. - Wracając do was, Mikołaj, dlaczego się z Adrianną ukrywaliście?

Młody Płonin siedział na drewnianej ławie, obejmując swoją dziewczynę.

- Długa historia, ale będziemy się streszczać. Tak naprawdę spotkaliśmy się na południu Francji u znajomych ojca. Ada jako studentka romanistyki, a ja zwiedzałem kraj i zarabiałem w różnych knajpach, już wtedy całkiem nie na zmywaku.

- Przedtem w Warszawie w ogóle mnie nie zauważałeś.

- Bo byłeś za młoda. A tam na twój widok zapomniałem o umówionej branżowej kolacji.

- Ja po kwadransie nie pamiętałam w ogóle o niczym.

- Szybko zdecydowaliśmy, że będziemy razem.

- Na szczęście moi rodzice o niczym nie wiedzieli.

- Natomiast kolega z Francji radośnie poinformował o wszystkim pana profesora i wtedy się zaczęło. Ojciec stwierdził, że nie życzy sobie jakiegokolwiek dalszego wiązania się z rodziną Dobrzyńskich z racji ich znanych ułomności charakterologicznych. A w ogóle ma w związku ze mną większe ambicje. Powinienem teraz zająć się wyłącznie pracą naukową, inaczej, jak obiecał, zostanę bez niczego z zatrudnieniem włącznie, bo on mnie załatwi.

- Mikołaj chciał na to przystać. Powiedzieć: OK, damy sobie radę. Ale ja uważałam, że lepiej będzie przeczekać, spotykając się w tajemnicy. Romantycznie i bezpiecznie - uśmiechnęła się. - Ale po kilku miesiącach nie wytrzymałmy tej próby. Rozstaliśmy się.

- Nie brakowało wam siebie? - ustalała Magdalena.

- Cóż, kończyłam dwa kierunki, Mikołaj robił doktorat, a naprawdę, o czym tylko ja wiedziałam, przygotowywał całkowitą zmianę swojego życia z nowym zawodem. Udawało nam się mijać, unikaliśmy rodzinnych spotkań.

- Półtora roku temu zaszedłem do „Homunkulusa”. Oczywiście całkiem przypadkiem. Po pięciu minutach wiedzieliśmy, że musimy być razem już do końca życia. Od tego czasu byliśmy nierozłączni i nikt nas nie podejrzewał. Planowaliśmy cichy ślub w sierpniu bez informowania kogokolwiek, ale teraz sytuacja jest inna.

- Mikołaj może prowadzić gastronomię w Przeglądzie, gdy wybudujemy to, co planował profesor, tym bardziej, że specjalizuje się w dietetyce. Ja zaczęłam studiować zaocznie pedagogikę. Chyba mamy szansę stworzyć tam coś naprawdę dobrego.

Irmina Dobrzyńska pokiwała z przekonaniem głową.

- Macie szansę. Tym bardziej, że bardzo chętnie odkupię wasze odziedziczone udziały w uczelni. Magda już się nato cieszy.

Gondor patrzył na kuzyna z nieukrywanym podziwem.

- Już rozumiem, dlaczego wytarosiłeś Jakubka, kiedy byłeś zmuszony tolerować jego randki z twoją narzeczoną.

- Osobiście zawsze uważałam, że Mikołaj nie wdał się w ojca. I bardzo dobrze - odezwała się w końcu z godnością pani Chociey.

- Uwielbiam śluby. - Reising właśnie skończył rozmawiać przez komórkę, która to czynność cały czas wysoce intrygowała Luizę.

- Czy pan nam oznajmi, że morderca jest wśród nas? - spytała rzeczowo Małgorzata Bogocka.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim. Stał w rogu tarasu, tam, gdzie jeszcze wczoraj rozmawiano z nim jako z kloszardem. Teraz w nieskazitelnej, białej koszuli, wyprostowany ze skrzyżowanymi na piersi potężnymi, opalonymi ramionami i zmarszczonymi brwiami, przesuwając po obecnych badawcze spojrzenie swoich niebieskich oczu.

- Obiecałem, że wyjaśnię przyczynę śmierci profesora i dotrzymam słowa nawet, jeśli prawda nie brzmi sympatycznie.

- Wplątał się - stwierdziła z goryczą przyjaciółka Płonina. - Wiedziałam, że kiedyś z czymś przesadzi.

- Był przekonany o swojej bezkarności - dodała jego siostra. - I to go zgubiło.

- Uważał, że jest lepszy od innych, więc wszystko mu się należy - przypomniała Teresa Chociej.

- Gdyby nie ta jego obłuda - wtrąciła Luiza - może ktoś by zapobiegł nieszczęściu.

- Gdyby próbował liczyć się z innymi, może zrozumiałby, co robi i czym ryzykuje - rozważała jego córka.

- Gdyby brał pod uwagę, że może popełnić błąd - zauważył syn - potrafiłby go uniknąć.

- Wiecie, co? - zdenerwował się Gondor. Jego oczy zaczęły niebezpiecznie błyszczeć. - A może byście dali człowiekowi powiedzieć! Bo ja na przykład chciałbym usłyszeć wreszcie coś do rzeczy.

Wspomniany człowiek, zadowolony skończył swoją obserwację.

- Każdy z państwa ma słuszość, ale niestety ona nic nie wnosi. Przyznaję, również długo nie widziałem żadnego punktu zaczepienia. Wszyscy zachowywali się, jak powinni, może tylko Rosiński był wyjątkowo zdenerwowany, ale miał obiektywne powody. Dziwny był kanister w garażu, pełen benzyny. Nikt jej dzisiaj nie gromadzi, a profesor dodatkowo nienawidził tego zapachu. Do czego i komu był potrzebny?

- Takie coś najlepiej przydaje się do podpalania - przypomniał Mikołaj.

- Właśnie. I to, niestety, nic nie upraszczało. A może istniało banalne wytłumaczenie bez żadnego związku z wybuchem? Nie miałem pojęcia, z której strony rzecz ugryźć, aż zdarzył się cudowny przypadek. W niewytłumaczalny sposób, nieoczekiwanie pewien kubek po jogurcie miał dziwną przygodę. Znalazł się w zlewie. Wtedy Luiza stwierdziła - demonstracyjnie zatkała uszy - iż wobec tego należy poszukać łyżeczki w kubku na śmieci.

- To bardzo logiczne - przyznała Magda Płonin.

- Bardzo. I w jednym momencie przestawiło moje tak zwane myślenie. Zrozumiałem, że jeżeli w czymś nie widać sensu, to może patrząc na rzeczywistość, pozamienialiśmy jakieś miejsca. Może trzeba teraz wszystko odwrócić. Spróbowałem i zaczęło wreszcie pasować.

Usiadł przy miodowowłosej kobiecie, tworząc z nią naprawdę malowniczą parę.

- Zacząłem od profesora - mówił, skupiając uwagę wszystkich obecnych. - Niech więc nie będzie ofiarą tylko... wprost przeciwnie.

Zapanowała grobowa cisza. Słuchającym nagle zabrakło oddechu.

- A kanister pełen benzyny - ciągnął - nie żeby ją mieć, lecz żeby jej właśnie nie mieć. Nie mieć w baku. Bo jeżeli on jest pusty, to trzeba natychmiast jechać na stację, a to należy do asystenta. Do Rosińskiego. I to on właśnie miał zginąć - westchnął - z ręki profesora Płonina, który zadzwoniłby z jakiegoś aparatu na kartę do śmiercionośnej komórki z ładunkiem umieszczonej nad kołem samochodu, gdy Przemek byłby już w środku. Na pozbycie się niepotrzebnego telefonu miałby czas, bo któż by podejrzewał niedoszłą ofiarę zamachu, w którym omyłkowo zginął doktorant?

Rzeźbiarz popatrzył na zebranych, których twarze nie wyrażały niczego oprócz zdumienia.

- Następna sprawa. Skąd Płonin wziął ładunek wybuchowy? Najlepiej nie pozyskiwać czegoś takiego osobiście, tylko przez kogoś, kto na pewno nie wsympie. Kto na sto procent będzie milczał? - spojrzał pytająco po zebranych. - Oczywiście umarli. Tym bardziej, że chłopak jest przyzwyczajony do załatwiania szefowi wszystkiego. Nawiasem mówiąc, Nikola, jego dziewczyna pochodzi ze Śląska, czyli to również ładnie przypasowało. - Powoli wypił łyk mocnej kawy. - Co czuł Rosiński? Mimo szoku musiał przypomnieć sobie o dynamicie i oczywiście nie dawało mu spokoju, co się z nim stało. Czy na pewno nadal jest w willi przy Floksowej? Stąd włamanie i poszukiwania z rozpaczliwą nienawiścią, bo powoli miał prawo coś podejrzewać. - Rzeźbiarz skłonił głowę, markując ukłon. - Tyle mojej roz

kminy. Chodź, piękny!

Idąc od strony garażu, oczom wszystkich ukazał się - ubrany jeszcze bardziej pstrokato niż zwykle - nieco speszony asystent profesora Płonina.

- Tak, to prawda - powiedział krótko. - Oto dowód rejestracyjny wozu profesora. - Położył go przed Mikołajem. - Pana ojciec obudził mnie wczoraj i rzucił mi go mówiąc, że mam zaraz jechać zatankować, bo bak jest pusty. Przetarłem oczy, dochodziłem do siebie, spojrzałem przez okno, widziałem, że podchodzi do samochodu, pochyla się, jakby chciał sprawdzić podwozie. Otwiera drzwi, coś rusza przy kierownicy... i wtedy nastąpił wybuch - zakończył stłumionym głosem.

- Ktoś musiał wtedy pomyłkowo wybrać numer tamtej komórki - dokończył cicho Janek Reising. - Niedziela rano, różnie bywa. My nigdy nie dowiemy się, kto to był, ani on nie ma pojęcia, co zrobił. Profesor, z natury dokładny, przewidywał taką możliwość, więc zamontował urządzenie tuż przed tym, gdy miało być użyte. Właśnie to widział Przemek, lecz nie zdawał sobie sprawy, że bomba jednym ruchem zostaje przyczepiona w najlepszym miejscu, nad kołem.

- I kilkadziesiąt sekund ryzyka wystarczyło. Jasne - odezwał się Gondor, przerywając osłupiałe milczenie.

- Ale czy pan może wie, dlaczego miał zginać?

Młody człowiek usiadł obok rzeźbiarza.

- Tak - odpowiedział po chwili. - Najprawdopodobniej tak. - Odetchnął głęboko dla nabrania sił. - Otóż niektórzy mogą mnie mylnie oceniać po wyglądzie. Nosilem się tak już w szkole, po prostu dlatego, żeby nie uchodzić za kujona, ponieważ zawsze i wszędzie - zaakcentował dobitnie - byłem bezwzględnie najlepszy. Płonin dobrze o tym wiedział i spodziewałem się, że będzie mnie wykorzystywać, jednak nie sądziłem, że posunie się do ogłoszenia w zagranicznym piśmie jednej z moich prac jako swojej. Gdy nie wytrzymałem i powiedziałem mu, jaką takie postępowanie ma nazwę, stwierdził, że jeszcze mało wiem o życiu. A on mnie właśnie doucza. Odchorowałem sprawę, a potem zmieniłem taktykę, tym bardziej, że moja dziewczyna zaszła w ciążę. Powiedziałem, iż jestem w stanie oskarżyć go o plagiat, ale w tej chwili bardziej zależy mi na pieniądzu i interesuje mnie suma pięćdziesięciu tysięcy. Może być w ratach. Zgodził się bardzo łatwo, pierwsze dwadzieścia zdążył mi wręczyć. To moja wina. - Głos mu się załamał. - Pewnie sądził, że będę go szantażował w nieskończoność.

- Oszalałeś, chłopcze! - Nie wytrzymała Bogocka. - Twoja wina, że cię prawie zamordowano! Idź do psychologa.

- Dalej - ciągnął nie całkiem podbudowany Przemo - jakieś dwa tygodnie temu, kiedy wyjeżdżaliśmy do rodziny Nikoli na Śląsk, zapytał, czy mógłbym załatwić laskę dynamitu, bo chce w Przeglądzie urządzić grilla z efektami specjalnymi. Nie miałem z tym problemu i w ten sposób przy pomocy kolegi brata dziewczyny przywoziłem śmierć. A potem szło dokładnie, jak pan Reising mówił. Nie dawało mi spokoju, czy to, co przywoziłem, jest w domu. Miało być bardzo dobrze schowane, żeby Aneta, sprzątając, nie znalazła. Profesor powiedział ze śmiechem: „Nie zamknę na klucz w biurku, bo nie chcę siedzieć na dynamicie”. Po wybuchu, absurdalnie, musiałem przeszukać wszystko. Ze złości powywracałem rzeczy. Przepraszam.

Irmina Dobrzyńska skinęła głową.

- Jak widać, pana obawy były całkiem nieabsurdalne. Podejrzewał pan prawdę?

- Chwilami. Ale wydawała mi się zbyt koszmarna i odsuwałem ją od siebie.

Magdalena siedziała nieruchomo, patrząc na czubki drzew.

- No, tak - powtarzała tylko. - No, tak.

Jej brat tylko kręcił głową, a Małgorzata Bogocka kruszyła ciasto na małe kuleczki, ustawiając je na stole w równy rząd.

Poza tym nie padło żadne słowo.

Pani Kasia potrząsnęła jasną grzywką i powiedziała.

- Cóż, usłyszeliśmy właśnie o kilku przestępstwach, na temat których nigdy nie otrzymamy żadnych zeznań. Śledztwo w sprawie śmierci profesora Płonina zostanie zakończone. Ja bardzo dziękuję, panie Janku, a inspektor Stanisław będzie jeszcze dzwonił.

- To my dziękujemy - powiedziała za wszystkich siostra profesora.

Nikt nie chciał kontynuować rozmowy o Sylwestrze Płoninie. Nikt nie miał ochoty na komentarz, ciszę przerywał tylko rozgniewany wróbel na posesji Luizy.

Zmęczony Rosiński bezwiednie skubał wijący się po karku zielony koniec irokeza.

- Słuchaj, kolego - nie wytrzymał Gondor - skoro najwyraźniej dostałeś od losu drugie życie, to może byś je zaczął w sposób godny i zmienił wygląd z idioty na człowieka?

- Mogę spróbować - odpowiedział spokojnie chłopak. - Łatwiej mi będzie zapomnieć.

- Osobiście uważam, że powierzchowność w znacznym stopniu świadczy o człowieku. I mam nadzieję, córeczko, teraz trochę pomyślisz o swoim stylu.

- Ada najpierw ma zamiar zamienić okulary na leciutkie, a ja rzucam palenie - oznajmił Mikołaj. - Robert, a czy tobie nie przydałyby się szkła? - Usiłował mu przerwać obejmowanie jego narzeczonej przy składaniu gratulacji, które właśnie rozpoczął. - Dodałyby ci pozorów kompetencji.

- Jakbyś zgadł! - ucieszył się finansista. - Mam zerówki do komputera w czarnej oprawce i zakładam je dla najbardziej gadzeciarskich klientów.

- Tak się cieszę - pani Irmina podeszła do bratanka - że znalazłeś swoje miejsce w życiu i pasję.

- Ciociu, cały czas mamy wyrzuty sumienia z powodu oszustwa z wczorajszym cateringiem. Zwłaszcza fałszerstwa na anulowaniu zamówienia. Chciałem postawić ojca przed faktem dokonanym i było mi wszystko jedno, jak zareaguje.

- Absolutnie nie mam ci tego za złe, Adriannie jako współniczce również...

Nie skończyła, ponieważ Bogocka podeszła do niej zdecydowanym krokiem.

- No, dobra, moja droga, co masz zamiar zrobić z tymi udziałami? Znasz się na zarządzaniu uczelnią?

Siostra profesora spojrzała pogodnie swoimi dużymi, szarymi oczami Płoninów.

- I to jest coś, o czym jeszcze nie powiedziałam. Domyślałaś się, że byłam kochanką Tadeusza, ale nie przypuszczałaś, że również jego najlepszym doradcą. Od dawna wszystkie ważniejsze decyzje konsultował ze mną.

- Czyli pod twoje dyktando.

- Lekka przesada, ale te, które dotyczyły mojego brata, owszem. Sylwester dziwił się, czemu twój mąż jest taki twardy w postanowieniach i nie liczy się z jego genialnym zdaniem. Może też trochę dlatego chciał mieć Przeglądę, jako rodzaj odskoczni. I to właśnie była - uśmiechnęła się - moja zemsta na nim.

Pani Małgorzata ostentacyjnie obrzuciła ją spojrzeniem z góry do dołu.

- Słodka Irminka Płonin. Coś mi mówi, że zaczynam cię lubić. A skąd wzięłaś pieniądze?

- Odkładałam, inwestowałam. - Wzruszyła ramionami. - Od czego w końcu mam prawie bratanka w branży?

- Więc jeszcze jesteś inteligentna. Wiesz, już widzę, jak tworzymy duet nie do przebiccia i postawimy na nogi tę szkółkę. We dwie damy radę. - Pocałowały się.

Magda Płonin, dotychczas zatopiona w swoich myślach, zerwała się z miejsca.

- Chwileczkę! A ta przekłeta książka? Czy coś wiadomo?

Reising, na którego wszyscy spojrzeli, przeciągnął się w fotelu.

- Wiadomo tylko jedno. Ale za to dokładnie. - Zrobił efektowną przerwę. - Nikt nigdy jej na oczy nie oglądał. Wszyscy tylko o niej słyszeli albo widzieli jakieś luźne notatki. Bartosz Wiński delikatnie sugerował, jakoby miał ją w ręku, ale mnie się w końcu przyznał, że ściemniał. - Karina skrzywiła się nerwowo. - Chciał dodać sobie znaczenia, może w celu zaimponowania komuś. - Spojrzał na nią znacząco.

- To znaczy, wiekopomnego dzieła w ogóle nie było? - jęknęła Bogocka. - On rozprawiał naokoło, że pisze, żeby robić wokół siebie szum.

- A potem powiedziała by, że spalił, bo było zbyt niebezpieczne - dodała pani Irmina. - Cały Sylwester.

- Coś podobnego - kręciła głową. Teresa Chociej. - I jego przyjaciel zginął bez powodu. Za nic.

Mikołaj skinął głową.

- Kompletnie za nic - powtórzył.

Robert Gondor delikatnie musnął włosy Kariny.

- O czym myślisz? - zapytał cicho.

- O tym, że człowiek, który był tak jakby moim ideałem, okazał się kimś... nie umiem znaleźć słów. Ale na pewno znowu dałam się nabrać.

- Nie bardziej, niż ja. Ukochany wujek zastępujący ojca. Jak dobrze, że to moja ciotka wyszła za niego, a nie mama.

- Właśnie - przypomniała sobie. - Dlaczego nie rozmawiasz z własną matką?

Wzniósł oczy do góry, błyskając niebieskawymi białkami.

- Kolejna brednia twojego byłego. Ma blondyn fantazję. - Pokiwał głową z uznaniem. - Chociaż... coś w tym jest, ponieważ faktycznie, kiedy mamusia do mnie dzwoni, nie rozmawiamy. Ona mówi cały czas. Tak długo, aż się zmęczy.

Popołudnie powoli dobiegało końca, goście zaczęli wychodzić.

- Odwiozę cię - stwierdził Robert.

- Dziękuję, poradzę sobie.

- Jesteś kobietą samodzielną i niezależną - domyślił się.

Zrozumiała, jak bardzo nie lubi jego komentarzy.

- Daruj sobie ironię. Miałam ochotę na spacer.

- Przecież możemy pójść razem.

Byli na Floksowej, kilkanaście kroków za posesją Płoninów. Karina stanęła przy żywopłocie Luizy, spojrzała prosto w śniadą twarz wysokiego mężczyzny o filmowej urodzie.

- Wyjaśnijmy sobie coś. - Miała nadzieję, że jej głos nie drży ze zdenerwowania. - Akurat zerwałeś z dziewczyną, a ja jestem jeszcze bardziej singlem, niż byłam. Ale to nie oznacza automatycznie, że mamy spacerować, flirtować, czy cokolwiek innego. Chyba trudno odmówić mi słuszności, prawda?

Sama siebie nie poznawała. Nigdy przedtem do nikogo nie mówiła w ten sposób. W domu przytakiwała nawet młodszej siostrze, a w małżeństwie... dokładnie wiadomo.

- No, prawda - umiał tylko odpowiedzieć Gondor.

Zamierzał oczywiście coś dodać, lecz niestety, nie zdążył.

- Mam autobus! - zawołała i rzuciła się w kierunku przystanku sprintem jak nastolatka, zostawiając rozmówcę samego, razem z jego zaskoczeniem.

Zdążyła wskoczyć w ostatnim momencie i zdyszana padła na siedzenie w końcu pojazdu, czując ogromną ulgę. Nikt jej nie napadnie, nikt jej nie śledzi, nie podsłuchuje. Wszystko jest normalnie. Nikt od niej niczego nie chce, nie oszukuje jej, nie manipuluje.

Jutro zwyczajnie pójdzie do pracy.

A może wreszcie poszukać czegoś innego? Zacznie się spokojnie rozglądać, póki nie jest bezrobotna i może łatwiej zapomni o rodzinie Płoninów, której nigdy nie powinna była poznać. Najwyższy czas rozpocząć życie naprawdę od nowa.

*

- Jakoś nie mogę zrozumieć - Luiza Drogosz otworzyła zacinający się zamek w drzwiach swojego domu - kim naprawdę jesteś. Bardzo wiarygodnym kłozardem, skutecznym Herkulesem Poirot, artystą światowej sławy czy obiektem kobiecych westchnień i posiadaczem nieudanego życia osobistego? Bo cztery rozwody trudno chyba uznać za sukces.

Rzeźbiarz popatrzył w swój rozbrajający sposób.

- Kim akurat trzeba, to jestem. Z małżeństwami mi nie wyszło, bo może za bardzo lubię się zenić. Ty najwyraźniej w ogóle nie, więc mamy temat do przedyskutowania i uzgodnienia.

Rzuciła mu pełne politowania spojrzenie.

- Udowodnię, że umiem zrobić kolację, a ty poczekaj na górze - zarządziła.

Zgodził się łatwo, a na schodach zadzwięczała jego komórka.

Inspektor Karol Stanisław we własnej osobie.

- Słuchaj, stary, udało ci się, chociaż nie miało prawa. Powinieneś być wylecieć powietrze albo spaść z jakichś schodów.

- No, nic straconego. - Janek wolał przytrzymać się poręczy.

- W każdym razie pamiętaj o tym i gratuluję dziewczyny.

- Dziękuję, nie zapesza. Cześć.

Wspomniana dziewczyna postanowiła szybko pokazać ciastu, kto faktycznie rządzi, więc Reising mógł na piętrze z filozoficznym spokojem słuchać znamienych stukotów oraz głośniejszych fragmentów rozmowy gospodyni z nieusmażonymi jeszcze naleśnikami.

- Chcesz mi się stawiać? Naprawdę? Jasne, próbujesz, kto silniejszy!

Za chwilę:

- No i co? Warto było? I teraz będziesz grzecznutki, jeden z drugim!

Po niedługim czasie:

- O, proszę, jakie wszystkie usłuchane. Nie prościej było tak od razu? Gotowe! - krzyknęła wyjątkowo donośnie.

Janek głęboko świadom, iż z pewnością smakować mu będzie danie przypalone na równi z zakalcowatym, przesolone tak samo świetnie jak całkiem mdłe, zasiadł do stołu ozdobionego stertą równo ułożonych naleśników.

Pochwalił je entuzjastycznie, zdumiony ich smakiem, który niezależnie od jego stanu emocjonalnego i związanego z nim braku obiektywizmu, był zaskakująco dobry.

- Poważnie zamierzasz dalej siedzieć w reklamie? - zapytał. - Masz inne talenty, na przykład kulinarne.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Miło, że mnie doceniasz, ale przez przypadek trafiłeś w dziesiątkę. Sylwester nie żyje, kółko, które zatoczyłam, jest zamknięte. Czuję, że powinnam teraz wrócić do siebie sprzed piętnastu lat, przynajmniej częściowo. - Popatrzyła uważnie, jakby chcąc skontrolować jego reakcję. - Dzisiaj coś wymyśliłam. Brzmi może śmiesznie, ale pójdę na studia podyplomowe i stanę się znów inżynierem elektronikiem. Co ty na to?

Rozpromienił się.

- Fantastyczna decyzja. To przecież twój zawód i prawdziwe życie. - Jego oczy zabłyśły radością i podziwem.

Luiza zmarszczyła piękne, równe brwi w głębokim namyśle.

- Słuchaj, musimy porozmawiać. Ja rozumiem. - Machnęła wskazującym palcem. - W związku z moją skromną osobą interesuje cię po prostu seks. I od samego początku patrzysz na mnie jak na towar. Bardzo zabawne, ale ja już z tego wyrosłam.

- Nie jak na towar - wziął ją za rękę i zaprowadził do okna - lecz jak na dzieło sztuki. Jesteś doskonała i intrygująca. W kształcie, ruchu i kolorze. - Przesunął palcami po linii jej włosów. - Ale chodzi nie tylko o seks. Chciałbym - spojrzał poważnie w jej oczy - dokładnie wszystkiego.

- Wszystko albo nic? - uściślała.

- Nie - odpowiedział z przekonaniem. - Po prostu wszystko.

Nastała głęboka cisza. Stali naprzeciw siebie nieruchomo, jakby czas dla nich się zatrzymał.

- Aha. - Jej jasna, pięknie zarysowana twarz na tle złocistych włosów wyrażała ogromne skupienie. - Żądanie realne - zastanowiła się - ale pod jednym warunkiem. Ja dostanę od ciebie dokładnie to samo.

*

Karina postanowiła zajrzeć do sklepu spożywczego. Miała ochotę na bardzo zwyczajne, proste zakupy na kolację, składającą się na przykład z kanapki - obłożonej tanią, lecz przyjaźnie wyglądającą kiełbasą - i z uspokajającej herbaty z mlekiem.

Wyciszona, z umiarkowanym optymizmem nastawiona do świata, odwzajemniając uśmiech drobnej blondynki przy kasie, bardzo sprawnie zrealizowała swoje nienadmiernie oszczędzające plany. Z pełną reklamówką zmierzała w kierunku domu, ciesząc się kojącym klimatem późnego letniego popołudnia, gdy usłyszała sygnał komórki.

Znalazła ją w torbie nadszpiewanie szybko. Wyświetliła się Lila.

O co może chodzić młodszej siostrzyczce?

W telefonie usłyszała wysoki, energiczny głos.

- Czy ja ci już mówiłam, co potrzebuję na prezent ślubny?

- Nie, kochanie, ale zadzwoń jutro - skończyła rozmowę Karina.

Dzisiaj chce mieć wieczór wyłącznie dla siebie i dla swoich myśli. Zwłaszcza tych konstruktywnych.

Wchodząc na podwórko, zrećnie ominęła dwoje biegających dzieci oraz psa i nagle zatrzymała się, nie wierząc własnym oczom. Najpewniej ma halucynacje spowodowane przykrą obsesją, całkiem zresztą łatwą do usprawiedliwienia.

Wydawało jej się bowiem, iż mężczyzna siedzący na murku przed drzwiami jej klatki, uderzając przypomina Gondora.

To nic takiego, przecież każdy może się pomylić.

- Gdzie ty się podziewałaś? Czekam tu sto lat - usłyszała.

Stała jak zaczarowana przez niedobrą postać z którejś bajki.

- Rany boskie, czego ty ode mnie chcesz? - wydusiła z siebie w końcu.

- Koniecznie muszę czegoś chcieć? - zapytał grzecznie.

- Nie dajesz mi spokoju. Jestem zmęczona.

- Pomogę ci. - Wziął od niej zakupy. - A w ogóle, muszę być przy tym, jak obejrzyś to, co posłaniec zostawił dla ciebie u sąsiadki z piętra. Widziałem - oświadczył z dumą. - Miał instrukcję, żeby tak uczynić w razie twojej nieobecności. Nadawca na pewno jest inteligentny i z wyobraźnią - dodał wyraźnie zadowolony ze swojej ironii.

Dziewczyna, idąc powoli po schodach, czuła, że znowu daje się w coś wmanewrowywać. Przecież miało być inaczej.

Pani Zosia zza ściany nie kryła zachwyty. Taki bukiet stanowił prawdziwe wydarzenie. Gałąź storczyków przybrana egzotyczną zielenią i stylowy bilecik: *Życzę Ci dużo szczęścia, moja Śnieżko. Pamiętaj, że zawsze jestem. B.*

- Masz na to wazon? - zapytał rzeczowo finansista.

Wzruszyła ramionami.

- Ja osobiście, jak bardzo dobrze wiesz, nie mam w ogóle niczego. Natomiast Wiola, owszem, jest posiadaczką żółtego kubelka. - Otworzyła łazienkę.

- Nie musi być piękny. Powinien spełniać zadanie.

- Napelnił plastikowy pojemnik wodą i postawił w najchłodniejszym rogu pokoju. - Ale jedzie tym eukaliptusem. Trzeba przyznać, że blondyn się postarał - ogłosił, ustawiając równo kiście delikatnych białych kwiatów.

Mokrymi rękami zwilżył czoło i włosy. Karina nie miała zamiaru taić przed sobą, że robi na niej wrażenie. Bładoniebieska koszula świetnie harmonizowała z jego cerą i kolorem oczu, dobrze ostrzyżone czarne włosy podkreślały kształt głowy i regularny owal twarzy.

Tak, oczywiście, tylko co z tego?

- Dziękuję, ale powiedz wreszcie, po co naprawdę przyszedłeś.

Zastanowił się.

- Może zwyczajnie z tego powodu, że mi się podobasz.

Chyba miała kompletnie dość drwin i całego jego stylu.

Może pójdzie sobie, jeśli ona potraktuje go na luzie. W każdym razie jest taka szansa.

Wzniosła oczy ku górze.

- Bardzo mi miło, tym bardziej, iż nie mam jasnych włosów.

- Czy ja mam napisane na czole: „Piękne są tylko blondynki”?

Pokiwała głową z politowaniem.

- Szczerze mówiąc, tak.

- Musiałaś coś źle przeczytać. Chcesz wiedzieć, czemu rozstałem się z Sandrą?

- Nie - odpowiedziała grzecznie.

- No, więc posłuchaj. Byliśmy ze sobą nie z miłości, tylko dlatego że w zasadzie wszystko nas łączyło. Podobny tryb i styl życia, te same rozrywki, gadżety. Rozumieliśmy się.

- Czy to aby nie przepis na idealne małżeństwo?

- Dziękuję, nie interesują mnie czyjeś przepisy. A jeśli chodzi o mój związek, alarm powinien mi się zaświecić, gdy Sandra przyjęła od Jakubka propozycję urodzin. Po kłótni postanowiłem zapomnieć o sprawie. Niesłusznie. - Zaczął szybko krążyć po niedużym pokoju. - Teraz do mnie dotarło, że wcale nie myśleliśmy jednakowo, a tylko moja dziewczyna chciała i najczęściej potrafiła przystosować się do mnie.

- To chyba dobrze o niej świadczy - zauważyła Karina, czując coraz większe znużenie.

- A więc źle o mnie, bo nie doceniam poświęcenia, dzięki któremu tworzyliśmy parę godną rozkładówki w czasopiśmie na błyszczącym papierze. - Zatrzymał się naprzeciw niej. - Chcę kobiety autentycznej, która zna swoją tożsamość i którą będę za to podziwiał.

- Oczywiście - skinęła głową.

Nie najlepiej znosiła utkwione w niej czarne, lekko skośne oczy.

- Wiem, że ty jesteś inna. Bogata wewnątrz. Daj nam szansę.

Tego zrobiło się już naprawdę za dużo. Nie miała pewności, czy słyszy objawy szaleństwa, czy kpinę, ale wszystko jedno. I tak musi się jakoś uwolnić od tematu i towarzystwa.

- Robert. - Zrozumiała, że po raz pierwszy wypowie działa jego imię. - Wczoraj zerwałeś ze swoją dziewczyną. Nie znajduj teraz na siłę motywów, pomyśl, a jeżeli nie zmienisz swojej decyzji, to wytrzymaj chociaż parę dni jako singiel. Dobrze? Rozejrzysz się, poszukasz ewentualnych kandydatek i spokojnie sobie porozmawiamy. A dzisiaj, wybac mi, jestem zmęczona.

Na szczęście nie zareagował nerwowo.

- Masz prawo do odpoczynku, dlatego pójdę. - Odwrócił się w drzwiach. - Ale wcale nie potrzebuję wymyślać powodów do rozstania i niesłusznie traktujesz mnie jak świra - stwierdził z przekonaniem.

- Oczywiście - powtórzyła.

Wyszedł. Karina bezwładnie padła na tapczan.

Upragniony spokój.

Zamknęła oczy. Po chwili zasnęła.

*

Teresa Chociej powoli nalewała herbatę.

- Osobiście uważam, że powinieneś jeść więcej słodczy, bo troszkę wypełniają sylwetkę i poprawiają nastrój. No tak - przypomniała sobie - ale przecież ty sam najlepiej się orientujesz.

Mikołaj kończył porcję sałatki.

- Mój nastrój nie wymaga żadnej korekty. - Nie odrywał wzroku od Adrianny, która w różowej letniej sukience wyglądała szokująco inaczej.

- Zgodziłam się założyć ciuch kupiony przez mamę w ataku euforii i odnoszę wrażenie, że jestem za kogoś przebrana.

- Może za samą siebie? - zasugerował narzeczonny.

Dziewczyna ostentacyjnie westchnęła.

- Już wchodzisz w konszachty z przyszłą, teściową.

- Jasne. I jarzynki wyszły nam bardzo dobrze.

- Oczywiście pod twoją komendą.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Bo jeśli ktoś ma rację, powinien decydować. Osobiście zawsze byłam zdania, że Mikołaj jest najmądrzejszy z całej rodziny Płoninów - ogłosiła.

- Chyba troszeczkę przegięłaś - zwróciła jej uwagę córka.

- W każdym razie coś w tym rodzaju miałam na myśli.

Adrianna uśmiechnęła się.

- Ustalmy: najbardziej interesujący.

*

Przez uchyloną firankę do pokoju na piętrze wkradało się blade światło księżyca, lekko oświetlając kobietę i mężczyznę na szerokim, jasnoniebiesko zaścielonym łóżku.

- Nie śpisz? - spytała cicho Luiza.

- Wolę patrzeć na ciebie.

Dotknęła masywnego, atletycznego ramienia.

- Najbardziej przypominasz rzeźbę, a rzeźbiarza może potem.

Pocałował jej plecy.

- Zakochałem się w tobie od pierwszego momentu.

Wstrząsnęła płomiennozłotymi lokami.

- Niestety w tamtej wersji byłeś dla mnie nie do przyjęcia, więc musiało to trochę potrwać. O Boże! - krzyknęła. - Przyznałam się! Planowałam inaczej, ale niech już będzie. - Poczula jego usta na swoich, a potem świat przestał dla nich istnieć.

Za oknem panowała gwiazdzista noc. Przez nią z oddali przebijały się odgłosy miasta. Luiza oddychała głęboko.

- Nigdy nie oparła ci się żadna kobieta. Mam rację?

Trochę zwlekał z odpowiedzią.

- Zawsze interesowała mnie jakość, nie ilość. - Przytulił ją. - Prawdę mówiąc, zobaczyłaś mnie akurat, kiedy zniknął Płonin.

- Gdyby żył, poznałabym cię inaczej, ale myślę że finał, byłby dokładnie ten sam.

Przez jakiś czas milczeli.

- Dla mnie to nie jest finał - nieśmiało przerwał ciszę Janek. - Właściwie powinienem zapytać, trzymając w ręce bukiet, ale może...

Potrwało, zanim zrozumiała.

- Co takiego? - jęknęła. - Chcesz, żebym była twoją... którą? Piątą żoną?

- Czy to coś złego?

Zamknęła oczy przestraszona.

- Zastanowię się - obiecała.

*

- Ciasto było świetne, ale bardzo dobrze, że Mikołaj zdążył nam jeszcze podsmażyć tę rybę. Nie mogę zrozumieć; mrożonka, a tak smakuje. - Magda Płonin skrzyżowała nogi na skórzanym siedzeniu kanapy w salonie.

- Masz utalentowanego brata - przypomniała Bogocka, zjadając z talerza ostatnie kęsy.
- Fakt, osiołek jest zdolny. Na szczęście ojciec tego nie widzi, bo dostałby zawału.
- Wiesz, że mówisz trochę bez sensu? - spytała ciotka.
- Ona ma rację, nie zniósłby syna kucharza. Czyli i tak miał przechlapane - oznajmiła

Małgorzata.

Pani Irmina spojrzała na nią krytycznie.

- Gośka więcej nie pije i śpi u nas - zdecydowała.
- Śpię u was - zgodziła się.

Siostra profesora wstawiła butelkę do barku.

- Jeżeli się do niej dobierzesz, pakujemy cię na terapię.

Magdalena oparła się wygodnie o ozdobne poduszki.

- Właśnie sobie myślę, czy by na przykład nie wziąć z Markiem ślubu. Tak - dodała, widząc zaskoczenie - mówiłam, co za różnica z papierem czy bez. No więc równie dobrze można mieć ten papier. Bo właściwie, to... ojciec zawsze głosił zasady: porządek, moralność, legalność, więc uznałam, że dla odmiany ja będę żyła w związku partnerskim.

- W tym nie ma nic złego - zauważyła Dobrzyńska.

- Ale jest bardzo odległe od tego, co twój kochany brat oficjalnie uznawał. A teraz - Magda rozłożyła ręce - jego postępowanie okazało się poniżej wszelkiej krytyki, więc ja nabrałam ochoty na porządek.

- To prawda. Zawsze lubiłaś demonstrować niezależność, przekorę w stosunku do niego.

Nawet nie wiedziałaś, jak bardzo słusznie.

- Niestety. - Bogocka nostalgicznie patrzyła przez okno na rozgwieżdżone niebo. - Sylwester jako człowiek, ponad wszelką wątpliwość, nie był wiele wart. Należy jednak uwzględnić, że jako mężczyzna... Hotelu „Lancelot” nigdy nie zapomnę, bo musicie wiedzieć, że...

- Nie! - krzyknęły jednocześnie. - Nie musimy. Na pewno.
- Robicie się nudne - stwierdziła Gośka z godnością.
- Tak - przyznały chętnie.

Siostra profesora przyniosła z kuchni talerz pełen letnich kolorów.

- Jeszcze się zastanawiam - Magda Płonin wzięła pomidora - nad ewentualnym zgubieniem kilku kilogramów. Ale wtedy to musiałyby już być całkowicie na poważnie. - Skontrolowała wygląd swoich opalonych ramion.

- Masz rację - uznała ciotka. - Powzięcie tego rodzaju decyzji powinnaś dokładnie przeanalizować.

*

Karina wstała przed piątą, zmęczona, z bólem głowy. W sumie nie powinna być zaskoczona, zważywszy na tryb, w jakim funkcjonowała przez ostatnich kilka godzin.

Po zaśnięciu wieczorem, obudziła się koło jedenastej, nie rozumiejąc, o co chodzi i jaka to pora. Planowaną kolację zjadła automatycznie, nie myśląc o niczym, i dopiero wychodząc spod prysznic, wróciła pamięcią do wczorajszego dnia, a zwłaszcza jego zakończenia.

Mężczyzna, którego jeszcze niedawno w sposób uzasadniony uważała za wroga, stał się kimś, wobec kogo miała powód czuć się winna. Następnie złożył jej propozycję nie wiadomo czego, ale na pewno nie do przyjęcia.

Mężczyzna, który nigdy jej się nie podobał. Jest całkowicie nie w jej typie. Więc dlaczego potrafiła czuć się przy nim tak, jak przy nikim innym? Dobrze, bezpiecznie i bardzo kobieco.

Jakim cudem udaje jej się rozmawiać z nim normalnie i bezpośrednio, mimo iż dzieli ich wszystko? Jak to możliwe, że fatalne wydarzenia w ciągu wczorajszego dnia nie zerwały ich wzajemnych stosunków, a nawet jakby ich zbliżyły?

Czy to się nazywa przyjaźń?

Chyba nie do końca tak powinna wyglądać.

Czy ona, Karina Wińska, podoba się temu człowiekowi? Raczej mało prawdopodobne. I wcale nie chodzi o kolor włosów, tylko o to coś, co mają dziewczyny takie jak Sandra. Albo na przykład Lilka. Energię, pewność siebie, ruchliwość no i oczywiście seksowny wygląd. Opowiadanie Gondora o jej bogatej osobowości najśluszej będzie uznać za akt chwilowej desperacji.

Szczęśliwie jutro wszystko się wyrówna i wróci do normalnych rozmiarów. On pójdzie do swojej pracy, on zajmie się firmą. A teraz trzeba postarać się zasnąć.

Nie było to proste, więc Karina wyciągnęła swój zeszyt z zapiskami do nowej baśni. Sama nie wiedziała, kiedy jej postaci zaczęły żyć własnym życiem. Dobry, mądry czarownik niespodziewanie zamienił się w obrzydliwego karalucha. Księżniczka pozwoliła czarnemu smokowi patrzeć na siebie. Był jeszcze dzielny, złotowłosy rycerz, ale na niego autorce nie starczyło już siły.

Spała może ponad godzinę, przez którą dręczyły ją jakieś niezrozumiałe koszmary. Wytłumaczyła je sobie jako efekt nietypowo zorganizowanej kolacji.

Za oknem powoli szarzało. Zbyt wcześnie na zaczynanie dnia, czuła jednak, że nic innego nie pozostało. Żadna racjonalna czynność nie przychodziła jej do głowy, wybrała więc najbardziej obojętną intelektualnie, czyli drobną przepierkę. Cicho odkręciła wodę i włożyła do umywalki pierwszą wyjętą z kosza bluzkę. Gotowa była kontynuować akcję do rana, niespodziewanie jednak, może dzięki rytmicznemu pluskowi ciepłej piany, ogarnęła ją senność. Zdążyła jeszcze odruchowo sprawdzić kran, a potem nie wiedziała, kiedy znalazła się pod kołdrą i przeniosła w inną rzeczywistość, która tym razem oszczędziła jej dręczących, nie do zapamiętania, obrazów.

Tak, coś całkiem odmiennego, choć później, po zastanowieniu niekoniecznie była zadowolona z zamiany.

Śniła jej się wielka pustynia. Ona leżała na ciepłym piasku, zrelaksowana i chyba po prostu szczęśliwa. Obok niej mężczyzna o smagłej twarzy, w jakimś dziwnym stroju, dotykał jej ręki. Wiedziała, że jest z nim od dawna i na pewno będzie do końca życia. Patrzył na nią czarnymi oczami w sposób, który sprawiał, iż czuła się bezpieczna. No i oczywiście adorowana.

Potworny huk. Rozsypało się wszystko.

Przerażona nie wiedziała, gdzie jest i dlaczego sama.

Minęła chwila, zanim zrozumiała, że tamta spokojna, spełniona kobieta, to nie realna ona. Niestety, dotarło do niej również coś innego. Mężczyznę ze snu był Gondor.

Powinna dziękować chłopcom, którzy wystrzelili petardę, pozostałość po „wiankach”, za obudzenie. Jak bowiem mogła choćby nieświadomie kreować tego rodzaju sceny?

Teraz wszystko zamieniło się w przygnębienie i ból głowy.

Jedyne, co pozostało, to kąpiel i mocna herbata.

Ostatnia szansa, by stanąć na nogi. Przynajmniej fizycznie, ponieważ emocjonalnie nie widać dla niej ratunku. Jest zła na siebie i zwyczajnie się wstydzi. Wystarczyło, żeby atrakcyjny mężczyzna łaskawie ją docenił, a już zaczyna snuć jakieś romantyczne wizje. Wprawdzie nie może za nie odpowiadać, ale fakt pozostaje faktem.

Wyszła spod pryszniczka mokra. No, teraz na pewno nie ma nic wspólnego z pustynią. Spojrzała niechętnie w lustro.

- Głupia jesteś i tyle - poinformowała swoje odbicie. - Weź się za coś sensownego, to zapomnisz o bzdurach - poradziła jeszcze. - I wtedy na pewno nie będziesz, tak jak wczoraj, w wątpliwy sposób zaszczycana.

Po wygłoszeniu świątłych sentencji wypila kubek gorącego, czarnego płynu rodem z Indii, zagryzając małą kromką z masłem. Znakomicie wystarczy.

Wzięła głęboki oddech. Jest piękna pogoda. Może warto pójść na spacer i zobaczyć, jak wygląda Warszawa o wpół do szóstej rano.

Na półce powinien leżeć dres z czasów sportowo-rekreacyjnych postanowień. Jest. Najwyżej będzie wyglądała na uprawiającą jogging.

Zawiązała wilgotne jeszcze włosy, po raz kolejny myśląc o ich obcięciu, i lekkim krokiem zbiegła ze schodów.

Bardzo lubiła otoczenie swojego tymczasowego domu, chciała więc jak najszybciej opuścić puste podwórko i zrobić wycieczkę w kierunku Nowego Miasta. Skręcała już w stronę ulicy, gdy została zatrzymana przez znajomego łaciatego kundelka, który chyba miał ambicję wdrapać się jej na głowę. Właściciel, emeryt z parteru, dramatycznie groził mu pięścią.

- Widzisz, dziecko, co mam przez tego drania? Nie dosyć, że wyciąga mnie na dwór o piątej rano, jak w jakiejś kompanii karnej, to jeszcze chce panią zjeść.

- Nic nie szkodzi, jest uroczy. - Lubiła starszego pana.

Przed wszystkim za poczucie humoru.

- I to, co to tam stoi, też chciał oblizać - dodał konspiracyjnym tonem.

Karina automatycznie odwróciła się.

- Jezus, Maria! - powiedziała tragicznie.

Pies usiadł przy niej i zaczął cicho skomleć. Sąsiad w zastanowieniu potarł łysinę.

- Trochę jakby do człowieka podobne - stwierdził uspokajająco.

Dziewczyna bez słowa wróciła i zatrzymała się przy wejściu do bloku. Znowu poczuła zmęczenie, ból głowy, a przede wszystkim bezsilność.

- Dlaczego mi to robisz? - jej głos drżał ze zdenerwowania.

Po prostu nie była już w stanie patrzeć na Roberta Gondora.

- Czy porozmawiasz ze mną? - spytał niezrażony.

Miał na sobie idealnie leżący ciemny garnitur i nieskazitelną białą koszulę z markowym krawatem. Gładko ogolony, wydawałoby się na rozmowę z najbardziej wymagającym klientem, gdyby nie ogromne naręcze róż o wielkich, pąsowych kwiatach.

Nerwowo odgarnęła opadające na czoło ciemne kosmyki. Nie odrywając przestraszonego wzroku od niespodziewanego gościa, bezwiednie ściągnęła z włosów zawiązującą je gumkę.

- Nie - powiedziała tylko. Odruchowo znów spięła wysoko koński ogon. - Nie, nie, nie! - powtórzyła już prawie z rozpaczą.

- Proszę cię, porozmawiaj.

W jego zrównoważonym głosie brzmiała siłą przekonywania, która być może pomagała mu osiągać sukcesy zawodowe. Karina otworzyła drzwi na klatkę schodową. Zrozumiała, że w jakiś sposób musi przez to wszystko przebrnąć. A potem będzie spokój.

W milczeniu pokonała piętra i weszła do mieszkania.

- Zrobię herbatę - ogłosiła z determinacją. - Ale, jak wiesz, z wazonem mam problem - dodała, nie odwracając się.

- Już załatwione - usłyszała.

Nie zauważyła, jak finansista na chwilę gdzieś się zapodział. A teraz stał z dużym, czarnym, plastikowym pojemnikiem w ręce.

- Dobiłem szybkiego targu z panią Zosią - oznajmił. - Należę wodę, mam wprawę.

Tak, oczywiście. Stawiając na gazie czajnik, myślała, jak ma się zachować wobec tego człowieka. Najlepiej asertywnie; żadnych emocji, zero komentarzy osobistych. Powie, że jest jej

miło, docenia i na pewno zostaną dobrymi znajomymi. Co skądinąd będzie całkowitą nieprawdą. Tak, nieprawdą. Czują, jak zaczyna narastać w niej gniew.

Jak on może urządzać sobie taki teatr? Jej kosztem.

Czy naprawdę uważa ją za beznadziejnie głupią babę, której można powiedzieć coś, co kiedyś nazywano chyba czynieniem awansów, i już będzie zachwycona? A jeśli ponadto zobaczy dużą miotłę z kwiaciarni, to na sto procent padnie z wrażenia.

Napełniła szklanki i znalazła jakieś zapomniane wafle.

Bo właściwie, jak zwykle w życiu, wszystko się zgadza. Przecież od samego początku otwarcie ją lekceważył. A teraz chwili bardzo dumny ze swoich sposobów na dziewczyny, chce zwyczajnie dołączyć ją do kolekcji.

A ona ma dość tej całej komedii.

Wniosła tacę do pokoju i ubrana w stary dres usiadła naprzeciw mężczyzny wyglądającego jak z sali posiedzeń Europejskiego Banku Centralnego.

- Słucham cię - powiedziała.

Na razie dobrze wytrzymywała spojrzenie błyszczących, czarnych oczu z niebieskawymi białkami.

- Przede wszystkim chciałem wyjaśnić - zaczął tonem z wyraźną nutą profesjonalizmu - moje wczorajsze zachowanie. Nie było ono podyktowane sytuacją, w jakiej się aktualnie znalazłem. Nie kierują mną również żadne względy, które w jakikolwiek sposób mogłyby zostać uznane za niewłaściwe.

Wstał i wyprostował się uroczyście. Karina patrzyła spokojnie, powtarzając sobie, że przetrzyma każdy jego nietrafiony pomysł.

- Mam ogromny zaszczyt prosić cię o rękę. Jednocześnie obiecuję spełnić wszystkie twoje oczekiwania wobec małżeństwa. Przyrzekam, że nie zawiedziesz się na mnie w żadnym aspekcie.

Tego było za wiele. W żadnym aspekcie! Co mu przychodzi do głowy? Poczowała przygnębienie, znużenie, chłód.

- Wyjdź - odpowiedziała.

Był zdziwiony.

- Rozumiem, że mogłaś zrazić się do tej instytucji, jednak ja, wiesz dobrze, jestem kimś diametralnie różnym od twojego eksmęża.

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz.

- I nie pokazuj mi się więcej na oczy - dodała znacznie głośniej.

Robert Gondor nie spełnił jej życzenia. Przez chwilę milczał ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal.

- Ciągle jeszcze myślisz o tej jasnej, przeredzonej grzywce? - zapytał konkretnie. - O pseudointelekcje z telewizyjnymi spojrzeniami? - Zdumiona Karina aż wstrzymała oddech. - Byle blondi, nieważne, że cię upokarza, a potem oszukuje, ale i tak ciągle będzie najważniejszy na świecie!

Ponieważ stojąc za krzesłem, do tej pory trzymał ręce na jego oparciu, teraz z irytacją zaczął nim dość gwałtownie stukać.

- Czy ty jesteś przez niego opętana, czy masz własny charakter wiecznej niewolnicy? - coraz bardziej podnosił głos.

Kompletnie zaskoczona powoli odzyskiwała zdolność mówienia.

- Proszę cię, nie demoluj mieszkania. I przyjmij do wiadomości, że nie myślę o byłym mężu, natomiast weź pod uwagę coś takiego - odważyła się w końcu - że może niekoniecznie mi się podobasz.

Nie zamordował jej, nie dostał ataku szału, tylko wzruszył ramionami i z pełnym przekonaniem pokręcił głową.

- Akurat niemożliwe w tej sytuacji.

- Słucham? - Oburzona aż poderwała się z miejsca. - Co ty opowiadasz? W jakiej znowu sytuacji! Wysłałam za męża zakochana, jak Kopciuch w królewiczu. I spotkała mnie porażka. Nie jestem, wbrew twoim diagnozom, przybłądą z małego miasteczka, polującą na karierę w stolicy. Więc i teraz nie mam najmniejszego powodu rzucać się komuś z zachwytem na szyję tylko dlatego, że akurat szczęśliwie pasuję mu na żonę.

Nie odpowiedział, zaczął krążyć naokoło pokoju krokiem, z powodu którego dziewczyna przewidująco usunęła się pod ścianę. W końcu stanął przy oknie, popatrzył na witający ich słońcem poranek, po czym całkiem niespodziewanie i z potężnym hukiem uderzył pięścią w drewniany parapet.

Karina odruchowo złapała się za głowę.

Gondor trochę uspokojony, z rękami w kieszeniach, patrzył na nią wzrokiem, jakim pewnie zaszczycał najistotniejsze dla firmy dokumenty finansowe.

- Dobrze - zagryźł wargi. - Powiem ci dokładnie wszystko. Otóż... ponad rok temu, kiedy pierwszy raz mnie spotkałaś, od razu byłem chamski i złośliwy. - Skinęła z głębokim przekonaniem. - I miałem powód, którego nie znasz. Gdy zobaczyłem ciebie, żonę Wińskiego, doznałem szoku. Dziewczyna nie tylko uderzająco piękna, ale jeszcze w jakiś niewytłumaczalny sposób od razu moja, należała, do innego. Nigdy przedtem, ani później, nie czułem niczego podobnego do żadnej kobiety.

Odetchnął z widoczną ulgą. Nie oczekiwał reakcji ze strony znieruchomiałej ze zdumienia rozmówczyni.

- Nie mogłem znieść, że jesteś tak zadurzona w swoim blondynie. Że jesteś nieosiągalna, a ja mogę tylko cię oglądać z daleka. Potem musiałem jakoś sobie to ułożyć, bo jak na złość ciągle z różnych powodów spotykaliśmy się. Zbudowałem więc teorię, w której ty byłaś po prostu sprytną panienką łapiącą męża, i tak uparcie ją lansowałem, aż sam zaczynałem w nią wierzyć.

Karina słuchała. Owszem, zgadzało się wszystko. Prócz tego, co nie do uwierzenia.

- Los i własna głupota włożyły mi w ręce twoje baśnie, które pokazały, jak bardzo nie miałem racji. Tak, dotknięciem różdżki odczarowały mnie. Odważyłem się powiedzieć sobie, że cię kocham. Karina - podszedł do niej - kocham cię i zrobię dla ciebie wszystko.

Poczuła ciepło jego dłoni, tej samej co ze snu.

- Nie umiałem się oświadczyć, ale proszę, nie odtrącaj mnie. Z czasem nabierzesz do mnie przekonania.

Spojrzała na jego śniadą twarz i wpatrzona w nią intensywnie ciemne oczy.

- A właściwie dlaczego uważałaś za wykluczone, że jesteś dla mnie nie do przyjęcia?

Uniósł brwi.

- Jeżeli na mnie działasz w taki sposób, to chociaż odrobina chemii musiała iść i w twoim kierunku.

Zastanowiła się.

- Może i masz trochę racji. Odrobinę.

Chciała coś dodać, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

- Powiedz, że się zgadzasz. - Przytulił ją.

- Mam wybór?

Odgarnął jej włosy.

- Żadnego.

Sen wrócił i trwał dalej. Teraz w ramionach mężczyzny znowu wiedziała, że należą do siebie. Na całe życie.

Skład i łamanie Dariusz Nowacki

Wszelkie podobieństwa nazwisk, postaci i zdarzeń są przypadkowe i nie mają odpowiedników w rzeczywistości

Wydanie I ISBN 978-83-7674-170-3

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 061 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia LEGA